

D i c k s o n H e l e n

Małżeństwo z wyrachowania



Tytuł oryginalny: The Property of Gentleman
Tłumaczyła: Anna Bartkowicz
Seria wydawnicza: Harlequin Romans Historyczny (tom 160)

Rozdział pierwszy

1800

Wychowana w luksusie, Eve Somerville była osobą równie piękną jak bogatą.

Była też namiętna i nieodpowiedzialna, miały ją zmienne nastroje i wewnętrzne sprzeczności, ponosił temperament. Jedyna córka rodziców, którzy ją uwielbiali, rozpieszczali i zaspokajali wszelkie kaprysy, doskonale wiedziała, jaka czeka ją przyszłość. Dobrze wyjdzie za mąż i przez resztę życia będzie szczęśliwa i bezpieczna.

Jednakże w wieku lat siedemnastu przekonała się, że na tym świecie nic nie jest pewne. Jej matka zmarła na gruźlicę, a ojca powaliła straszliwa choroba. Nie ona go jednak zabiła, lecz zginął w wypadku, któremu uległ powóz. Stało się to wkrótce po dwudziestych urodzinach Eve. Na pogrzeb sir Johna Somerville'a przybyli niezbyt liczni dalecy krewni, przyjaciele i znajomi. Ściągnęli do kwitnącego górniczego miasteczka Atwood, położonego w West Riding w Yorkshire i do dworu znajdującego się w starej parani Leeds. Dwór był pięknie usytuowany wśród malowniczych wzgórz i dolin ciągnących się między Atwood a ładnym i równie dobrze prosperującym miasteczkiem Netherley.

Wzdłuż wąskiej, wysadzonej drzewami alei, prowadzącej z dworu Burntwood Hall do kościoła z wysmukłą kremową wieżą, stał w milczeniu szpaler dworskich ludzi, a także górników, którzy, podobnie jak ich przodkowie, pracowali u Somerville'ów, przyczyniając się do wzrostu ich bogactwa.

Majątek dziedziczyli męscy potomkowie rodu, a następnym w linii był kuzyn jej ojca, Gerald Somerville. Snuto więc teraz domysły, co się stanie z majątkiem, gdy we dworze zamieszka nowy właściciel; a także co się stanie z Eve, choć co do tego, że będzie miała dobrą opiekę, nie było wątpliwości.

Kondukt pogrzebowy przedstawiał się wspaniale. Burntwood Hall opuścił szereg eleganckich powozów posuwających się za pełnym przepychu czarnym karawanem, który ciągnęło sześć przybranych piórami karych koni o błyszczącej sierści. Wiózł on trumnę sir Johna Somerville'a i swoją wspaniałością zaświadczał o wszystkim, co nieboszyk osiągnął w życiu.

Eve, spowita w czarne jedwabie, z twarzą ukrytą za czarną koronkową woalką, siedziała obok swej babki ze strony matki, wspaniałej lady Abigail Pemberton. Babka trzymała się prosto i ścisła mocno złotą gałkę laski. Z jej spokoju Eve czerpała siłę zarówno podczas drogi w powozie, jak i później, podczas nabożeństwa w kościele.

Ukryta za welonem twarz babki była poważna, a jej cienkie usta zaciśnięte. Stara dama patrzyła przed siebie, nie okazując w najlżejszy sposób, o czym myśli i co czuje. Została bowiem wychowana w czasach, gdy uczuć publicznie się nie okazywało.

Eve, przyjmując kondolencje, zastanawiała się ze smutkiem, jak będzie wyglądała jej przyszłość bez ojca.

Po pogrzebie żałobnicy wrócili do Burntwood Hall. Ten duży dwór, zbudowany w stylu Tudorów, położony był w zalesionej okolicy na południe od Atwood, gdzie Somerville'owie zamieszkiwali od szesnastego wieku, a podstawą ich fortuny był węgiel, wydobywany tu od niepamiętnych czasów.

Podczas odczytywania testamentu - co uczynił Alex Soames, prawnik ojca Eve - w pokoju znajdowało się niewiele osób: kilkoro wiernych sług, Gerald Somerville, babka oraz Eve, a także pan Marcus Fitzalan z Netherley.

Miał trzydzieści lat, był wysoki i szczupły, miał szerokie, mocne ramiona. Uchodził za zręcznego i obdarzonego twardym charakterem biznesmena, więc nikt rozsądny go nie ig-

norował. Energiczny i dominujący nad otoczeniem, poruszał się swobodnie z niezachwianą pewnością siebie, głowę nosił dumnie i wysoko. Jego włosy, gęste i ciemne, szesane były z czoła, a kości policzkowe, wysokie i wydatne, nadawały twarzy wygląd nieco surowy. Był mężczyzną o uderzającej urodzie - mężczyzną, którego Eve poznała trzy lata temu, lecz od tamtego czasu go nie widziała. Ich ówczesne spotkanie okazało się w najwyższym stopniu nieprzyjemne; Eve nie chciała go pamiętać, gdyż gniew i upokorzenie, których wtedy doznała, wciąż się w niej jątrzyły niby głęboka rana. Było to spotkanie, które pozostawiło plamę na jej reputacji i sprawiło, że straciła człowieka, którego miała poślubić.

Gdy teraz, w dniu pogrzebu, zobaczyła w kościele Marcusa Fitzalana, przeżyła prawdziwy wstrząs. Sądziła, że dobrze zapamiętała jego wygląd, teraz jednak uświadomiła sobie, jak bardzo się myliła. Jego męska uroda po prostu ją poraziła. Eve nie była w stanie oderwać od niego oczu. Marcus Fitzalan zdawał się promienieć swoistym magnetyzmem, emanował wprost zmysłowością. Miał prosty orli nos świadczący o arogancji, a jego usta, Eve wiedziała o tym doskonale, potrafiły być cyniczne lub zmysłowe. Brwi były czarne o zdecydowanym rysunku, a przykuwające uwagę oczy - jasnoniebieskie i czyste. W tych oczach, gdzieś głęboko, czaił się humor; była w nich także czujność, przed którą należało się strzec. Eve z trudem przychodziło uwierzyć, że jest to ten sam człowiek, który trzy lata temu całował ją tak uwodzicielsko i namiętnie.

Kiedy zajął już miejsce po drugiej stronie kościelnej nawy, musiał wyczuć, że Eve go obserwuje, bo odwrócił się powoli. Gdy ich oczy się spotkały, jego czarne brwi uniosły się pytająco. Eve szybko odwróciła wzrok, zawstydzona tym, że na jego widok zdradzieckie serce gwałtownie przyspieszyło, tak samo jak wtedy, gdy Marcus całował ją, a jej się zdało, że szybuje pod niebiosa. Niestety, jakże szybko z tej wysokości runęła na ziemię...

Obecność Marcusa Fitzalana sprawiła, że Eve poczuła się bardzo nieswojo. Robiła więc wszystko, żeby go unikać, nie chciała bowiem stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, do którego miała głęboki żal i pretensję.

Jednak jej zawsze ciekawa nowych ludzi babka, na której prestiż i dystygowane maniery Marcusa Fitzalana uczyniły wielkie wrażenie, z miejsca, gdy tylko tłum żałobników przybył do domu, nawiązała z nim znajomość. Dopilnowała też, żeby Eve uczyniła to samo - całkiem nieświadoma faktu, że ten właśnie mężczyzna odpowiada za hańbę jej wnuczki. Dziwne to było, ponieważ po całej tej niefortunnej historii gościła Eve u siebie, w Cumbrii. John Somerville zdecydował bowiem, że jego córka powinna zniknąć z hrabstwa, gdzie wiedziano o jej skandalicznym postępkach.

Na szczęście reputacja Eve nie została zrujnowana do końca, o incydencie po pewnym czasie zapomniano, i ojciec na powrót wezwał córkę do domu. Jednak postępowanie Marcusa Fitzalana - tak dla niej upokarzające - sprawiło, że żywiła do niego głęboką urazę.

Bowiem on, na drugi dzień po całym zdarzeniu, w błogiej nieświadomości skandalu, jaki spowodował, wyjechał na dłuższy czas do Londynu. Nic dziwnego jednak, skoro uważał Eve za małą kokietkę, której dał ostrą, ale cenną lekcję życia. Ona natomiast była zbyt dumna, by pozwolić mu myśleć inaczej. Duma nie pozwalała jej także pokazać po sobie, jak głęboko ją jego bezwzględne zachowanie zraniło.

- Chodź, Eve, poznaj pana Fitzalana. Trudno mi uwierzyć, że dotąd nie zostaliście sobie przedstawieni, bo przecież on i twój ojciec byli dobrymi przyjaciółmi, a także współnikami w wielu interesach - powiedziała babka i poprowadziła ją w jego stronę.

Eve ogarnęła panika.

- Wolałabym nie, babciu. A poza tym... pan Fitzalan właśnie rozmawia z państwem Listerami. Nie chciałabym przeszkadzać.

Niestety, babka nie dała się odwieść od raz powziętego postanowienia.

- Nonsens, Eve. Chodź. Przecież cię nie zje.

Gdy się zbliżyły, Marcus się odwrócił, a państwo Listerowie oddalili się, by porozmawiać z kimś innym. Twarz Eve, której nie zasłaniała już woalka, była biała jak śnieg i otoczona chmurą ciemnych włosów. Marcus spojrział w tę twarz, ich oczy się spotkały. Pomyślał, że Eve wygląda bardzo młodo i że jest jeszcze piękniejsza niż kiedyś. Zauważył też, jak bardzo drżą jej delikatne wargi.

Zrobiło mu się ciepło na sercu. Przypomniawszy sobie, co czuł, gdy ją obejmował, jak miękkie i podatne były jej usta, gdy pełna czułości namiętnie go całowała. Pamiętał też jej niewinne tulące się do niego ciało. Ogarnęło go przemożne pragnienie powtórzenia wszystkiego, co zdarzyło się trzy lata temu, podczas jarmarku w Atwood, i co sprawiło na nim tak niezatarte wrażenie.

Powróciło wspomnienie czarującej i pięknej dziewczyny, która z szaleńczą i rozbijającą naiwną odwagą próbowała go uwieść. Później okazało się, że miał to być po prostu głupi żart, który dla rozrywki Eve zaplanowała wraz z przyjaciółkami. Jednak nieszczęśliwym trafem mężczyzna, którego miała poślubić, dowiedział się o tej historii i ją porzucił.

Wtedy, trzy lata temu, Marcus potraktował ten incydent z rozbawieniem. Pamiętał, jak bardzo Eve była zaskoczona, gdy odplącił jej tą samą monetą i z mistrzowską maestrią podjął grę. Ponieważ była całkiem niedoświadczona i nie miała pojęcia o prawach rządzących naturą, wpadła w sidła własnej głupoty. Nie potrafiła obronić się przed Marcusem, stała się jego ofiarą, a on zachował w pamięci uległość, z jaką tuliła się w jego ramionach.

Cała ta historia miała poważniejsze konsekwencje, niż się spodziewał, bo wciąż myślał o panie Somerville, wzbudziła w nim bowiem uczucia, jakich nigdy przedtem nie doświadczył.

- Chciałabym panu przedstawić moją wnuczkę, Eve Somerville. - Lady Abigail Pemberton uśmiechnęła się przyjaźnie. - Mówiłam jej właśnie, że, zważywszy na pańską przyjaźń z sir Johnem, to bardzo dziwne, iż nie przedstawiono sobie państwa dotychczas.

Skłoniwszy się lekko, Marcus spojrział na Eve tak, jakby pragnął zajrzeć jej prosto w serce. Jej śliczne oczy były jednak opuszczone, nie dało się z nich odgadnąć uczuć. Zachowując więc niewzruszony wyraz twarzy, Marcus przemówił z chłodną uprzejmością:

- Przeciwnie, milady, poznaliśmy się kilka lat temu, choć wtedy nie przedstawiono nas sobie w sposób formalny.

Świadomy powagi tej chwili, powiedział to tak, by niczego nie sugerować, nie chciał bowiem wprawić Eve w zakłopotanie, jednak ona odebrała to inaczej. Ich spotkanie przed kilku laty było czymś, o czym pragnęła zapomnieć, zatem fakt, że Marcus Fitzalan miał czelność uczynić do niego aluzję, wywołał jej skrywany gniew.

- Bardzo mi miło znów panią spotkać, panno Somerville- mówił dalej Marcus. - Sądzę, że gdyby nie przedwczesna śmierć pani ojca, wkrótce wraz z nim odwiedziłyby pani mnie w Brooklands. - Ujął jej dłoń. - Pozwoli pani, że złożę jej kondolencje. To, co przytrafiło się pani ojcu, było tragedią. Będzie go nam bardzo brakowało.

Eve z chłodną pogardą uniosła podbródek i uśmiechnęła się grzecznie.

- Dziękuję.

Ponieważ lady Abigail Pemberton oddaliła się w tym momencie, by porozmawiać z kimś innym, Marcus spytał tonem towarzyskiej konwersacji:

- Pani babka, jak sądzę, niedawno powróciła z Londynu?

- Tak - odrzekła sztywno Eve, pragnąc jak najszybciej pozbyć się okropnego towarzystwa Marcusa. - Odwiedziła tam moją ciotkę Shonę, siostrę mojej matki, która wraz z rodziną mieszka w Bloomsbury. Wraca teraz do domu w Cumbrii, chciała jednak spędzić trochę czasu z ojcem i ze mną w Burntwood Hall. Niestety, wszystko potoczyło się inaczej, niż się spodziewała. Wdzięczna jej jednak jestem za to, że odwiedziła mego ojca przed wypadkiem.

- Dziwię się, że nie pojechała z nią pani do Londynu, do ciotki.

- Gdyby ojciec czuł się lepiej, zrobiłabym to, ale w takich okolicznościach nie chciałam opuszczać domu, na wypadek. .. gdyby.

- Rozumiem. Pani ojciec często o pani wspominał, a prawdę mówiąc, opowiedział tak dużo, że zdaje mi się, jakbym znał panią przez całe życie.

- Czyżby! - odpaliła. - Zaskakuje mnie pan, panie Fitzalan. Ojciec, pomimo choroby, spędzał tak wiele czasu poza domem, że dziwnym się zdaje, by miał okazję, aby o mnie pomyśleć, a co dopiero rozmawiać na mój temat z człowiekiem całkiem obcym.

- Pani ojciec i ja nie byliśmy sobie obcy, panno Somerville. A my także - uniósł brwi i przytrzymał wzrokiem jej spojrzenie - gdy się nad tym zastanowić, nie jesteśmy sobie obcy.

- Pomimo tego, co między nami zaszło przed laty, jest pan dla mnie kimś całkiem obcym. - W jej głosie chłód z ledwie skrywaną niechęcią szły o lepsze. - Chociaż prawda jest taka, że ojciec, kiedy tylko był w domu, także o panu dużo mówił. Wychwalał pana mądrość, uczciwość i dobre obyczaje.

Ignorując jej ironię i sarkazm, uśmiechnął się ciepło.

- To dla mnie zaszczyt, że pani ojciec tak chwalebnie wyrażał się o mnie. Sądzę przy tym, że tak jak i ja, znajdował nie tylko interes, ale i przyjemność w naszych spotkaniach.

Eve miała już szczerze dość tej rozmowy, dlatego porzucając sztukę towarzyskiej konwersacji, zaatakowała wprost:

- Przykro mi to wyznać, ale jeśli chodzi o mnie, to z trudem mogę uznać nasze spotkanie za przyjemność.

W tym momencie zrozumiał, że łatwowierna i głupiotka panna Somerville, którą poznał przed laty, zniknęła całkiem z tego świata.

- To, co się między nami zdarzyło, miało miejsce dawno temu. Jednak teraz, zwłaszcza po odejściu pani ojca, możemy przynajmniej zostać przyjaciółmi.

- Wątpię w to bardzo, panie Fitzalan. Jest wysoce nieprawdopodobne, by po dzisiejszym dniu nasze drogi jeszcze się skrzyżowały.

- A ja nie mam co do tego pewności, panno Somerville. Atwood i Netherley są położone blisko siebie, a pani ojciec i ja byliśmy nie tylko przyjaciółmi, ale także współnikami w interesach. Moim zdaniem jest wprost nieuniknione, że się jeszcze spotkamy przy jakiejś towarzyskiej okazji.

- Nie obracamy się w tych samych kręgach, panie Fitzalan. Jeżeli jednak przypadkiem się spotkamy, to z góry proszę o wybaczenie, że będę pana unikała.

- Dziwne, przecież podczas ostatniego spotkania nie była pani do mnie aż tak źle nastawiona. - Spojrzał na nią z rozbawieniem. - Przeciwnie, była pani, jak pamiętam, nastawiona raczej życzliwie.

- Pamięta pan zbyt wiele. - Jej oczy zabłyśły gniewem. - Był to incydent, z powodu którego wielokrotnie robiłam sobie wyrzuty.

- Tak, pamiętam również, że gdy oddalała się pani, była już w innym, raczej przykrym nastroju - odrzekł z tłumionym śmiechem.

- Nadal bywam przykra i w pańskim towarzystwie pozostanę taka zawsze. A teraz proszę mi wybaczyć. Muszę porozmawiać z kilkoma osobami.

Eve, nie zważając na to, że jej słowa mogły go obrazić, odwróciła się ku przechodzącej obok przyjaciółce, Emmie Parkinson, i odeszła z nią, zdecydowana nie poświęcać Marcusowi Fitzalanowi choćby jednej już więcej myśli.

Jednak nie było to zadanie łatwe, a może nawet zgoła niewykonalne, Marcus nie był bowiem człowiekiem, którego ot tak, po prostu się zapomina.

Gdy dzisiaj do niej przemówił, ton jego głosu podziałał na nią jak pieszczota. Na jej twarzy pojawił się wtedy leciutki rumieniec, a on się na to uśmiechnął, zdawał sobie bowiem doskonale sprawę, jak na nią działa.

Teraz, kręcąc się wśród żalobników, wciąż była świadoma jego obecności. Choć ostro łajała siebie w duchu, bezwiednie szukała go oczami i przyglądała mu się ukradkiem. Ich oczy spotkały się kilkakrotnie, a wtedy on nawet nie starał się ukryć błysku zainteresowania.

Eve nie była zbyt obyta, a już na pewno nie stykała się ze światowcami pokroju Marcusa Fitzalana. Uświadomiła sobie, że w kontakcie z nim łatwo może stracić grunt pod nogami.

Marcus cieszył się reputacją, co prawda, dyskretnego, ale jednak kobieciarza. Panowała też opinia, że mimo wielkiej ogłady bywa arogancki, zarozumiały i bezwzględny. Posiadał więc te wszystkie cechy, których nie cierpiała. Miała wszelkie powody, by go nie lubić, postanowiła też, że za nic nie zmieni swojej opinii o nim.

Czekając, aż Alex Soames zacznie odczytywać testament, Eve ponownie poczuła na sobie oceniające, wręcz obraźliwe spojrzenie Marcusa. Patrzył na nią, a z jego postawy była tak wielka pewność siebie, jakby był panem i władcą wszystkiego wokół.

Był ich sąsiadem i współnikiem ojca w interesach, był człowiekiem, którego ojciec bardzo lubił, posiadał też spory majątek ziemski i kilka kopalni; toteż nie było nic dziwnego w tym, że zjawił się na odczytanie testamentu.

Fitzalanowie - inaczej niż Somerville'owie, którzy z pokolenia na pokolenie dziedziczyli rodowy majątek - twardo musieli walczyć o dobrobyt i pozycję. Pierwszym był dziadek Marcusa, który dostrzegł wielkie perspektywy stojące przed węglem w kraju z dynamicznie rozwijającym się przemysłem, i dzięki ogromnej pracy pierwsze większe pieniądze zarobił na górnictwie.

Wtedy kupił pięćdziesiąt akrów ziemi w sąsiedztwie dóbr Somerville'ow i uruchomił własną kopalnię, zwaną Kopalnią Atwoodzką. Po jakimś czasie był już właścicielem wielu kopalń, a także imponującej rezydencji Brooklands. Jednakże później, po serii niepowodzeń i po śmierci dziadka, Kopalnia Atwoodzką dostała się w ręce Johna Somerville'a.

Piękne oczy Marcusa spoczęły na sztywno siedzącej przy stole Eve. Nie miała już na głowie kapelusza, więc jego wzrok padł najpierw na jej włosy, tak jak jego ciemne i lśniące, a potem na pięknie zarysowane brwi i wdzięczną łabędzią szyję. Skórę miała gładką i śmietankowo białą, a na policzkach płonął lekki rumieniec. Tajemnicze fiołkowe oczy przykuwały wzrok, ciągnęły Marcusa niczym magnes. Wargi miała soczyste, a brodę nieco wysuniętą i znamionującą upór. Była piękna, szczupła i pełna życia; łagodny zarys jej młodych piersi rysował się pod stanikiem czarnej sukni. Choć wyraz twarzy zdradzał niewinność, jednak w jej spojrzeniu kryły się odwaga i niezależność. Marcus uświadomił sobie, że ta młoda kobieta nie jest już głupiutką panią i obdarzona jest równie silnym i buntowniczym duchem jak on. Przeczynał, że w tej z pozoru kruchej istocie napotkał osobę, która doskonale do niego pasuje.

Kiedy Soames poinformował już, jakie to hojne zapisy John Somerville zostawił swoim sługom i gdy ci opuścili pokój, pozostali żalobnicy zamarli w oczekiwaniu na to, co prawnik powie dalej.

Szczególnie Gerald Somerville, kuzyn ojca Eve, z trudem opanowywał podniecenie. Wpatrywał się w Soamesa z zapartym tchem, gdyż wiedział, że ma odziedziczyć tytuł i objąć w posiadanie majątek sir Johna, dzięki czemu na zawsze pożegna się z doskwierającym mu od lat ubóstwem. Była to chwila, na którą długo czekał. Szczęśliwie dla niego jej nadejście przyspieszył wypadek, w którym zginął sir John.

Gerald nienawidził biedy i marzył o bogactwie, śnił o wszystkim, co człowiekowi mogą zapewnić pieniądze. Nie takie, które umożliwiają normalną egzystencję, bo taki stan uważał za ubóstwo właśnie, lecz naprawdę duże pieniądze. Gardził swoim przyzwoitym domem rodzinnym i nudnym życiem rodziców. Mając świadomość, że jest spadkobiercą sir Johna, czekał niecierpliwie, a dowiedziawszy się o niedomaganiu kuzyna, zaczął zacierać ręce. Czekał na jak najszybszy koniec bogatego krewniaka, spędzał czas w londyńskich domach gry, do których zaczął uczęszczać po śmierci rodziców. Uważał przy tym, że hazard może okazać się drogą prowadzącą do bogactw i potęgi, których tak pragnął.

- Droga Eve, to, co zaraz ujawnię, może wprawić cię w szok. Musisz przy tym zdawać sobie sprawę, że testament twego ojca został spisany w bardzo trudnym momencie jego życia - powiedział łagodnie Soames, patrząc ze współczuciem na Eve, którą znał od urodzenia. Wiedział, że w dzieciństwie była rozpieszczaną jedynaczką, której pozwalano na wszelkie kaprysy, i że skończyło się to trzy lata temu, gdy przez własną głupotę została skompromitowana, a zaraz potem zmarła matka, pogrążając ją w żalobie i bólu. Jej smutek wzrósł jeszcze, kiedy wkrótce potem u sir Johna wykryto śmiertelną chorobę.

Siedząc sztywno na brzeжку krzesła, Eve usiłowała zapanować nad rosnącym niepokojem. Dotychczas uważała, że odczytanie testamentu będzie zwykłą formalnością. Miała przy tym pewność, że wie, co ten testament będzie zawierał i że nie ma powodu się martwić. Wiedziała, że choć majątek dziedziczą mężczy potomkowie rodu, ojciec zatroszczył się o to, by jej nie stała się krzywda.

Nagle jednak poczuła napięcie i strach. Z tonu Soamesa wyczuwała bowiem, że nie jest tak, jak być powinno.

- Szokiem? Dlaczego szokiem? - zapytała z trudem. - Co ma pan na myśli? Ojciec zatroszczył się o mnie należycie, prawda?

- Tak... rzeczywiście... ale być może nie w taki sposób, jak tego oczekiwałaś.

Soames skupił wzrok na Geraldzie, który wpatrywał się w niego z wielkim napięciem.

- Ziemia, dom i inne nieruchomości, zarówno tutaj, jak i w Londynie, zostały zapisane panu.

Eve czekała, czując, że z każdą sekundą jest jej coraz zimniej. Starła się nie patrzeć na Geralda, który próbował ukryć swój tryumfujący wyraz twarzy. Wiedziała, że zostało dla niej niewiele, spodziewała się jednak znacznej sumy.

- Ty, Eve - mówił dalej Soames - masz otrzymywać roczną rentę w wysokości dwóch tysięcy funtów.

Gdy zamilkł, czekała, że powie coś jeszcze, ujawni jakiś nowy zapis, w końcu jednak uświadomiła sobie, że nic takiego się nie stanie. Serce podeszło jej do gardła.

- Ale... ale to niemożliwe - wyjąkała. - Musiała zajść jakaś pomyłka. Majątek mojego ojca...

Przecież był niezmiernie bogatym człowiekiem. Musi być coś więcej.

- Nie ma żadnej pomyłki - odrzekł spokojnie Soames. - Główna część majątku sir Johna nie ma nic wspólnego z posiadłością. Są to udziały w kopalniach węgla oraz spółkach handlowych i przemysłowych. Partnerował mu w nich pan Fitzalan i jemu sir John przekazał je przed śmiercią. Eve zbladła jak kreda, uniosła dłoń do kołnierzyka swojej czarnej żałobnej sukni. Była oszołomiona, nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

W pokoju zapadła cisza. Wreszcie Gerald, zadowolony z tego, co odziedziczył, a równocześnie wściekły, że nie wszystko przeszło na niego, zaczął z ożywieniem dyskutować z prawnikiem, nie zwracając przy tym uwagi na rozczarowanie i cierpienie Eve.

Lady Pemberton siedziała z nieporuszoną twarzą w końcu pokoju. Jedyne jej dłoń zaciśnięta mocno na złotej gałce łaski świadczyła o tym, co czuje.

Marcus, przypatrując się Eve, zauważył, jak zbladła z przerażenia i chwyciła się dłonią za gardło. Cios, jaki zadał jej ojciec, ciężko ją dotknął.

Jego serce zmiało. Zaprzagnął podejść do Eve i wypowiedzieć słowa pocieszenia, chciał odpędzić z jej twarzy cierpienie i smutek. Jednak zimna wrogość, której nawet nie próbowała ukrywać, kiedy ich sobie przedstawiano po pogrzebie, jasno dowodziła, że panna Somerville nie przyjmie jego współczucia.

- Czy to wszystko? - zapytała zaskakująco spokojnym głosem. - Przy całym swoim bogactwie mój ojciec nic więcej mi nie zostawił? Uznał, że przez resztę życia mam głodować?

Soames zakaszłał nerwowo i spojrzał w leżące na stole papiery.

- Nie... nie jest aż tak źle.

- Więc proszę mi powiedzieć: gdzie mam mieszkać?

- Gdy ci wszystko wytłumaczę, sprawa się wyjaśni. Twój ojciec nie zostawił cię w tak złej sytuacji, jak się wydaje. Bo, jak wiesz, zawsze leżało mu na sercu twoje dobro. Są jednak pewne warunki, które trzeba spełnić... jest klauzula, która może ci się wydać dziwna.

- Warunki? Jakiego rodzaju?

- Ty i pan Marcus Fitzalan macie się pobrać w przeciągu sześciu miesięcy po jego śmierci.

Eve się zdało, że to jakiś senny koszmar.

- Jeżeli oboje się na to zgodzicie - mówił dalej Soames - Kopalnia Atwoodzką, której twój ojciec był jedynym właścicielem, stanie się waszą wspólną własnością.

Te słowa okazały się druzgocącym ciosem dla Geralda. Pobladał jak kreda, wydał gniewny okrzyk i zerwał się na równe nogi, a wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

- O nie! Tak być nie może! Nie mogę się na to zgodzić. Kopalnia jest główną częścią majątku sir Johna i z pewnością wchodzi w skład jego posiadłości.

- Prawda wygląda inaczej, panie Somerville. Sir John nie zakupił ziemi, lecz wziął ją w dzierżawę. Jak powszechnie wiadomo, Kopalnia Atwoodzką, największa i najbardziej rentowna kopalnia w okolicy, została stworzona przez dziadka pana Fitzalana, a pani Fitzalan po śmierci swego męża, za pokrycie długów i stosowną rentę, wydzierżawiła ją sir Johnowi. Umowa dzierżawy obowiązywać będzie jeszcze przez piętnaście lat, a roczna renta obliczana jest w zależności od ilości wydobywanego węgla. Ma pan rację, twierdząc, że była to główna część majątku sir Johna, natomiast życzeniem sir Johna było, by kopalnia wróciła do rodziny Fitzalanów. Pod warunkiem, że pan Marcus Fitzalan poślubi jego córkę.

Eve, po raz pierwszy tego dnia, popatrzyła na Geralda. Jego rodzice nie żyli, a dom, w którym mieszkał także jego młodszy brat Matthew - spokojny, łagodny młody człowiek, którego dobrze znała i bardzo lubiła - znajdował się ponad trzy mile od Burntwood Hall. Gerald jednak prze-ważnie mieszkał w Londynie, dlatego nie widziała go od kilku miesięcy.

W przeszłości bywał częstym gościem w Burntwood Hall, jednak Eve i jej ojciec mieli o nim niepocholebne zdanie. Podczas ostatniej wizyty Eve zauważyła, jak bardzo zmienił się jego stosunek do niej. Najwyraźniej Gerald zdał sobie sprawę, że ma do czynienia już nie z dzieckiem, lecz z młodą kobietą. Zupełnie jakby nie był krewnym, wpatrywał się w nią pożądliwym wzrokiem.

Teraz Gerald podobał się jej jeszcze mniej. Kiedyś uważała, że ze swoimi złocistymi włosami jest piękny jak grecki bóg. Obecnie jednak nabrał ciała, był bardziej korpulentny, a rozwiązłe życie wyraźnie odbiło się na jego wyglądzie.

Zepsuła go przez swe bezgranicznie uwielbienie matka, reszty dopełniła skłonność do hulawczego życia i wpatrujące się w niego kobiety. Uważał, że wystarczy, by mrugnął, a każda znajdzie się w jego łóżku. Bawił się nimi, a potem odrzucał niby zniszczone zabawki.

Zamieszany był także w liczne skandale, a ojciec Eve nie raz musiał się za niego wstydić.

Eve zauważyła, że Gerald patrzy na przemian to na nią, to na Marcusa Fitzalana pełnymi nienawiści oczami. Na ten widok serce zaczęło jej bić mocniej.

Odwróciła od niego wzrok i napotkała zimne, jasnoniebieskie, nieustępliwe spojrzenie Marcusa.

Chłodny i pewny siebie, wpatrywał się w nią bezczelnie, zaś ona znajdowała się na skraju załamania.

Rozdział drugi

Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony, jednak Eve podejrzewała, że musiał być tak samo jak ona zszokowany i przerażony testamentem jej ojca. Chociaż z drugiej strony John Somerville w ostatnim okresie swego życia bardzo ciężko chorował, czy nie było zatem możliwe, że Marcus - korzystając z bliskiej przyjaźni - perfidnie uknuł to wszystko? W Atwood i Netherley dla nikogo nie było tajemnicą, jak bardzo pragnie, żeby kopalnia wróciła do jego rodziny. Na tę myśl Eve poczuła obrzydzenie. Z trudem opanowując gniew, zapytała:

- Czy pan o tym wiedział? Czy mój ojciec omawiał to z panem?

- Nie, nie omawiał.

Nie dał po sobie poznać, jak wielką czuje wdzięczność do sir Johna za to, że otworzył mu furtkę do ponownego objęcia w posiadanie stworzonej przez Fitzalanów kopalni. Pragnął tego z powodów głównie sentymentalnych, gdyż dochody z innych jego przedsięwzięć wystarczały, by utrzymać Brooklands i żyć w dobrobycie.

Ożenek z córką sir Johna nie stanowił dla niego żadnego problemu. Zgoda Eve także, ponieważ Marcus miał pewność, że pomimo wrogości, którą do niego żywi, uda mu się ją przekonać. Cóż, posiadał ogromny wpływ na kobiety, tak ogromny, że dla niego samego stanowiło to zagadkę. Żadna, spotkawszy go choć raz w życiu, nie była zdolna o nim zapomnieć. Ale żadna też nie zdołała dotychczas nakłonić go do małżeństwa - gdyż miłością jego życia była praca. Dlatego właśnie dla Kopalni Atwoodzkiej gotów był spełnić wszelkie warunki testamentu.

Eve wpatrywała się w niego wzrokiem pełnym gniewu i zdumienia. Uważała, że ojciec powinien był wyzwać Marcusa Fitzalana na pojedynek, zastrzelić go za to, że ją tak haniebnie poniżył i upokorzył. Tymczasem on zaaranżował dla niej małżeństwo z tym człowiekiem!

- Nie mogę się na to zgodzić - powiedziała z wściekłością, nie panując nad sobą dłużej. - Co mój ojciec sobie myślał?! Jak mógł wymyślić coś takiego?! Dlaczego nie powiedział mi o swoich zamiarach?

- Być może zrobiłby to... gdyby nie ten wypadek - stwierdził Soames.

- Tak czy siak, jest to niedorzeczne. Proszę pozwolić, że stwierdzę to całkiem jasno: nigdy, przenigdy nie zgodzę się na takie warunki.

Marcus w milczeniu odszedł od okna, gdzie dotychczas stał, i zbliżył się do stołu.

- Czy nie powinnaś tego przynajmniej rozważyć? - powiedział prawnik. - Kiedy minie szok i kiedy uświadomisz sobie, co to znaczy dla was obojga... Eve, czy to naprawdę takie niedorzeczne?

- Tak... dla mnie tak. To oburzające, że ojciec spodziewał się, że wyjdę za mąż na takich warunkach. Wiem, że w przeszłości sprawiałam mu kłopoty, jednak niczym, naprawdę niczym nie zasłużyłam na takie potraktowanie. Najwyraźniej ojciec miał chore nie tylko ciało, ale także umysł... albo kierowała nim jakaś złośliwość. Wygląda bowiem na to, że obmyślił to wszystko ze szczegółami.

Marcus popatrzył na nią gniewnie.

- Tak, to prawda - powiedział - pani ojciec obmyślił wszystko dokładnie. Ale nie był niespełna rozumu. Nie był też złośliwy, panno Somerville. Jest pani niesprawiedliwa, rzucając na niego takie oskarżenia. Jako człowiek honoru, jako człowiek uczciwy, jako człowiek, który zawsze miał na sercu dobro innych, z pewnością przemyślał dokładnie warunki, które dla pani są tak wstrętne - zakończył chłodno, mierząc ją lodowatym wzrokiem.

Odpowiedziała mu pełnym gniewu spojrzeniem, oburzona, że to on właśnie ma czelność udzielać jej reprimendy niby niegrzecznemu dziecku. Żałowała jednak, że w rozdrażnieniu użyła słowa „złośliwość”. Marcus miał rację. Jej ojciec był człowiekiem troskliwym, łagodnym i kryształowo uczciwym, złośliwości było w nim tyle co nic, ale to nie ten człowiek miał prawo jej o tym przypominać.

- I pan o tym wie, prawda, panie Fitzalan? - zapytała oskarżycielsko, zrywając się z miejsca. - Sądząc po ilości czasu, jaką spędzaliście razem, musiał pan bardzo dobrze poznać mego ojca. Wiedział pan, jak mało życia mu pozostało. Czy więc zamiarem pańskim było wkraść się w jego łaski i przekonać go, by zwrócił panu dzierżawę Kopalni Atwoodzkiej? W końcu wszyscy wiedzą, jak bardzo pan pragnie położyć na niej rękę.

Marcusa ogarnął gniew. Jego szczupła twarz pociemniała, a oczy zwęziły się ostrzegawczo. Eve wyczuła, jak wielki wysiłek włożył w to, żeby się opanować.

- Myli się pani, panno Somerville. Oskarżano mnie w życiu o wiele rzeczy, plotkowano o mnie przez lata i snuto na mój temat różne domysły. Pozwoli pani sobie jednak powiedzieć, że wbrew temu, co pani o mnie myśli, uzyskiwanie czegokolwiek pochlebstwem lub podstępem nie leży w mojej naturze. Zapewniam panią, że tak nisko nigdy bym nie upadł. Darzyłem pani ojca najwyższym szacunkiem, wiedziałem, że jest bardzo chory, nie wiedziałem jednak, jak bardzo. Byliśmy przyjaciółmi, a ja sądziłem... miałem nadzieję... że pożyje jeszcze długie lata. - Mówił głosem spokojnym, ścisłym. - W każdym innym momencie, i gdyby pani była mężczyzną, przywołałbym panią do porządku za taką obrazę. Nie jest to jednak chwila ani okazja, by to uczynić.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony, panie Fitzalan. Nie odwołuję jednak tego, co powiedziałam. - Starła się mówić równie spokojnie jak on, choć jej gniew rósł z sekundy na sekundę.

- Jest to pani dobre prawo. Rozumiem, że ma pani powód, by być zszokowaną tym, co zawiera testament pani ojca i że po tak tragicznej stracie jest pani wyprowadzona z równowagi. Na karb tego kładę pani wybuch.

Nie obrażę się więc i zignoruję afront, jaki mi pani uczyniła. - Mimo tych pokojowych słów, usta mu się zacisnęły, a oczy zabłysły.

Już otworzyła usta, by w wielkim gniewie i nienawiści mu się przeciwstawić, jednak się powstrzymała. Zagryzła wargi i odwróciła wzrok, uznała bowiem, że rozsądniej będzie na razie zamilknąć.

Wszyscy obecni zdumieni byli, że Eve mówi tak bez ogródek, nie widzieli też usprawiedliwienia dla takiego zachowania. Jednak, podobnie jak Marcus, kładli to na karb jej przygnębienia i rozdrażnienia. Tylko Gerald pozostał czujny, mierząc ich oboje bezwzględny spojrzeniem.

Marcus postanowił zapomnieć o całej sprawie - miał też nadzieję, że pozostali obecni postąpią tak samo. Spojrzał na prawnika i zapytał:

- Co stanie się z zapisem, jeżeli się nie pobierzemy? Starał się przy tym zignorować nienawiść płonącą w oczach Geralda, wiedział bowiem, jak bardzo chciał on wejść w posiadanie Kopalni Atwoodzkiej i jak bardzo czuje się oszukany, gdy okazało się, że posiadłość została uszczuplona o najbardziej lukratywną część. Bez niej nie zdoła spłacić swych długów zaciągniętych na uprawianie hazardu. Wiedział też, że Gerald pożyczał te pieniądze od bezwzględnych lichwiarzy na bardzo wysoki procent.

- Wtedy nie dostaniecie nic - brzmiała odpowiedź pana Soamesa.

- Nic! - wyszeptała Eve. - To co ja teraz zrobię? Gdzie mam mieszkać?

- Jeżeli nie dojdzie do twojego małżeństwa z panem Fitzalanem, oczywiście otrzymasz roczną rentę i będziesz mieszkała ze swoją babką w Cumbrii.

- A co będzie z kopalnią? - zapytał Marcus porywczo.

- Kopalnia trafi w ręce pana Geralda Somervillea aż do czasu wygaśnięcia umowy dzierżawy, kiedy to pan Somerville zadecyduje, czy dzierżawa ma być wznowiona.

Gdy Gerald zorientował się, że być może nie wszystko stracone, w jego oczach pojawił się zimny błysk. Plan był prosty, należy zapobiec małżeństwu Eve z Marcusem Fitzalanem, co Geraldowi wydawało się łatwe, skoro jego kuzynka patrzyła na wyznaczonego jej testamentem męża z nieukrywaną wrogością.

- Zdaję sobie sprawę, że nikt nie może was zmusić do małżeństwa - mówił dalej Soames - to ma być wasza decyzja. Proszę was jednak, byście się nad tym poważnie zastanowili.

- Może pan na to liczyć - powiedział Marcus z ponurą miną.

Eve spojrzała na niego gniewnie.

- Dzień, w którym pana poślubię, panie Fitzalan, będzie dniem, w którym piekło zamarznie. Nie pasujemy do siebie. - Spojrzała na prawnika. - Czy mój ojciec, stawiając takie warunki, przedstawił jakieś wyjaśnienie?

- Niestety, nie potrafię powiedzieć, co go do tego skłoniło. Nigdy się pewnie tego nie dowiemy. Sądzę, że gdyby żył nieco dłużej, wyjaśniłby ci wszystko. Jak wiesz, twój ojciec i ja byliśmy od wielu lat przyjaciółmi. - Soames uśmiechnął się ciepło. - Znałem go dobrze i jestem przekonany, że nie postawiłby tych warunków bez uzasadnionego powodu. Wiedział, że wkrótce umrze i dlatego bardzo pragnął zapewnić ci odpowiednie zamążpójście.

- Co by było, gdyby pan Fitzalan ożenił się z kimś innym przed śmiercią ojca? - Eve bardzo żałowała, że tak się nie stało.

- Twój ojciec wiedział, że pan Fitzalan nie ma żadnej panny na widoku, a biorąc pod uwagę, że został mu co najwyżej rok życia, nie sądził, by pan Fitzalan znalazł sobie kogoś w tym czasie. Eve, spojrzawszy na Marcusa, wyczuła, że zastanawia się właśnie, co dla niego i dla niej będzie oznaczała utrata kopalni. Następnie wyobraziła sobie swoje życie u babki w dzikich, skalistych i niemal bezludnych pustkowiach Cumbrii. Myśl ta nie była przyjemna.

Marcus znów spojrzał na Eve i zmarszczył czarne brwi. Zdawał się odgadywać jej myśli. Lecz ona, czując, że ojciec ją zdradził, nie była w stanie rozumować jasno. Wstała nagle, chowając zaciśnięte dłonie w fałdach sukni, nie chciała bowiem, że "by ktoś zauważył ich drżenie.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała z godnością i podeszła do drzwi.

Nie chciała słyszeć nic więcej, pragnęła zostać sama.

Jednak Marcus wiedział, że czas ucieka i trzeba coś postanowić, dlatego pośpieszył za nią. Gdy znaleźli się w dużym, wyłożonym ciemną boazerią holu, zamknął za sobą drzwi i rzekł stanowczo:

- Proszę zaczekać, panno Somerville. Nie możemy sprawy zostawić w ten sposób.

Eve zatrzymała się i odwróciła. Stała z Marcusem twarzą w twarz, dojmująco świadoma jego obecności.

Nieskazitelnie skrojony surdut opinał gładko jego szerokie ramiona, a lodowato-błękitne oczy patrzyły na nią twardo. To spojrzenie sprawiło, że poczuła się nieswojo. Ten człowiek zapewne ocenia, czy nadaje się na żonę, pomyślała z sarkazmem.

W chwilę później, odzyskawszy kontrolę nad emocjami, wyprostowała ramiona i podniosła głowę, by dać do zrozumienia, że nad sobą panuje. Taka postawa wzbudziła w nim podziw.

- Domyślam się, że nadal jest pani w szoku.

- Tak. Jestem zarówno zszokowana, jak i rozczarowana. Nie mam pojęcia, co skłoniło mojego ojca do zrobienia czegoś takiego - oznajmiła spokojnie. - Chyba że naprawdę postradał zmysły. Musiało tak być, sądząc po warunkach testamentu. Sprawy mają się jednak tak, panie Fitzalan, że ja wcale nie pragnę męża. I zapewniam pana, że kiedy go zapragnę, wyboru dokonam sama. Marcus pobladł. Doskonale wiedział, dlaczego Eve piętrzy takie trudności. Wciąż była rozgoryczona i upokorzona tym, co wydarzyło się między nimi przed trzema laty. I dziwił się temu, bo do incydentu doszło przecież z jej winy.

- Musimy sobie coś wyjaśnić, panno Somerville - odrzekł z gniewem. - Ja nie potrzebuję żony, pani nie potrzebuje męża, jeżeli jednak chcemy zachować kopalnię, musimy dostosować się do życzeń pani ojca. No i wykorzystać to jak najlepiej.

- A skąd pan wie, że właśnie tego chcę? - powiedziała lodowatym tonem. - Jeżeli o mnie chodzi, kopalnia to ostanía rzecz, o jakiej w tej chwili myślę. Małżeństwo jest dla mnie czymś bardzo ważnym, więc z pewnością nie rzucę się w nie na oślep, nie wyjdę za człowieka, który potraktował mnie tak okropnie. Nie powierzę mu siebie, nie oddam swej przyszłości w jego ręce. Poza tym to dla mnie wielce niepoehlebne, że zamierza mnie pan poślubić wyłącznie dla kopalni, panie Fitzalan.

- To samo mogę powiedzieć i ja, panno Somerville. Tak jednak stanowi testament pani ojca. - Marcus popatrzył na nią twardo. - Czy zawsze jest pani tak trudną osobą?

- Potrafię być wprost niemożliwa, gdy coś - spojrzała na niego - albo ktoś wyprowadzi mnie z równowagi.

- Naprawdę? - Tak.

- No cóż, jeżeli testament pani ojca ma być wykonany, będę musiał się do tego przyzwyczaić. Proszę mi powiedzieć, czy dobrze pani zna Geralda Somerville'a?

- Niezbyt. Wiem, że Gerald przebywał ostatnio w Londynie i wrócił dopiero w zeszłym tygodniu. Przez całe lata spotykaliśmy się często, nie mogę jednak powiedzieć, że go dobrze znam. Moja babka nie považa go zbyt. Gdy była w Londynie, wcale się z nim nie widywała.

- To zrozumiałe - uśmiechnął się sarkastycznie - bo pani kuzyn prowadzi życie, jak to mówią, światowe, a słówko to zastępuje wszelkie nieuprzejme, ale dużo właściwsze określenia. Gerald to szczwany lis, kieruje się tylko własną korzyścią, namiętnie przy tym uprawia hazard, obraca się wśród londyńskich dandysów i odwiedza cieszące się złą sławą przybytki. Do tego znany jest z bezwzględności, więc żadną miarą nie wolno go lekceważyć.

- Zdaję sobie z tego doskonale sprawę.

- Gerald dotąd dysponował skromnymi środkami, jednak śmierć sir Johna wyniosła go w górę. Niestety, odziedziczony majątek skazany jest na zaturę, bowiem na pani kuzynie ciąży, wiem to z całą pewnością, wręcz astronomiczne długi.

- Czy sądzi pan, że sama do tego nie doszłam? Wygląda jednak na to, że dobrze zna pan Geralda. Czyżbyście uczęszczali do tych samych przybytków?

- Starannie dobieram przyjaciół, panno Somerville - odrzekł Marcus zjadliwie. - I Gerald do nich nie należy. Jednak wszyscy wiedzą, że wydaje znacznie więcej, niż wynoszą jego dochody. Mam wątpliwą przyjemność należeć do tego samego klubu co on i na własne oczy widziałem, jak w ciągu godziny przegrał prawdziwą fortunę.

- Prawdziwą fortunę? - powtórzyła zdumiona. - Czy mogę zapytać, ile?

- Trzydzieści pięć tysięcy funtów.

- Ależ to ogromna suma!

- Rzeczywiście. Nie jest to coś, na co można machnąć ręką.

- I co on wtedy zrobił? Był w stanie zapłacić?

- Nie, bo jego niewielki majątek już miał obciążoną hipotekę. W obliczu ruiny każdy inny by się zastrzelił, ale nie Gerald Somerville. On wybrał inną drogę: pożyczył pieniądze od pozbawionych skrupułów lichwiarzy, którzy, dowiedziawszy się o śmierci pani ojca i wiedząc, że Gerald jest jego spadkobiercą, zażądali astronomicznego procentu. Ci ludzie są bezwzględni i nie okazują żadnej łaski tym, którzy są niewypłacalni. Słyszałem, że wywierają na niego ogromną presję. Nie dziwię się więc, że tak się rozżłościł na wieść, że Kopalnia Atwoodzką do niego nie należy. Jest naprawdę w tarapatkach. Rozpaczliwie potrzebuje tej kopalni, bo inaczej nie spłaci długów i nie pozbędzie się tych ludzi.

- Nie miałam pojęcia, że sytuacja Geralda jest aż tak poważna. - Była głęboko poruszona tą wieścią.

- Dlatego spadek po pani ojcu to dla niego dar niebios. Jednak pani ojciec, nie darząc Geralda estymą, postarał się, żeby nie zdobył fortuny, decydując się na dzierżawę, a nie zakup kopalni. Mimo to pani kuzyn odziedziczył naprawdę spory majątek, doprowadzony przez sir Johna do kwitującego stanu. Jeżeli Gerald będzie rozsądny i poradzi się prawnika, jak ma postąpić w sprawie długu, to majątek będzie nadal dobrze prosperował. Jeżeli jednak nie zmieni trybu życia, to obawiam się, że wkrótce wszystko popadnie w ruinę lub pójdzie pod młotek. W ten sposób przepadnie cały dorobek pani ojca.

- To okropne! - Myśl, że jej ukochany dom dostanie się w ręce lichwiarzy, wprawiła Eve w wielki gniew. Nie mogła jednak nic na to poradzić.

- Dlatego właśnie pani ojciec, który nie cenił Geralda już od czasu jego dzieciństwa, w taki, a nie inny sposób uporządkował swoje sprawy majątkowe.

- Szkoda tylko, że uznał mnie za jedną z tych „spraw”, a nie za coś znacznie ważniejszego - zauważyła Eve z goryczą. - Wydaje mi się, że miał mnie za taką samą własność jak Kopalnię Atwoodzką.

- Ale własnością znacznie cenniejszą - uśmiechnął się Marcus, a twarz mu złagodniała.

- Czyżby? - zapytała zimno. - Miło mi, że pan tak myśli, panie Fitzalan, nie zmienia to jednak faktu, że nie może pan mieć jednej własności bez drugiej. - Uśmiechnęła się drwiąco. - Czy też, mówiąc dokładniej, nie może pan mieć kopalni beze mnie, zaś ja bez kopalni nie stanowię dla pana żadnej wartości.

- Jest pani wobec mnie niesprawiedliwa, panno Somerville - stwierdził z irytacją. - Nie jestem człowiekiem tak wyrachowanym, za jakiego mnie pani uważa.

- Mam wszelkie powody sądzić, że taki właśnie pan jest -zripostowała gwałtownie. - A co będzie, jeżeli nie zgodzę się wyjść za pana? Skoro mój ojciec miał o panu takie dobre zdanie, to dlaczego nie pozostawił panu Kopalni Atwoodzkiej tak po prostu? Wiedział przecież, jak bardzo pan jej pragnie. Mógł ją panu zapisać bez żadnych warunków, nie byłoby wtedy żadnych komplikacji, a ja nie stanęłabym przed okropną perspektywą małżeństwa z człowiekiem, którego nie wybrałam, z człowiekiem, którym mam wszelkie powody pogardzać.

- Pani ojciec wiedział... podobnie jak ja... że pani dostrzeże sens w tym, o co panią prosi. Jestem skłonny podzielać zdanie pana Soamesa.

- W jakiej sprawie?

- Ano w takiej, że gdyby nie jego przedwczesna śmierć, ojciec wyjaśniłby to pani. Pani i mnie. Sir John najprawdopodobniej obawiał się, że pani, gdy zostanie sama, padnie ofiarą jakiegoś łowcy posagów.

- Co takiego? Przecież dwa tysiące funtów rocznie to żadna fortuna, panie Fitzalan.

- Dwa tysiące funtów to mnóstwo pieniędzy dla mężczyzny, który nie ma nic, panno Somerville. Być może warunki, które postawił pani ojciec, były sposobem na to, żeby zapewnić pani odpowiednią przyszłość. Proszę nie zapominać, że John pragnął wyłącznie pani spokoju i szczęścia. Musi pani w to uwierzyć.

- I dlatego zasugerował, żeby został pan moim dozorcą, czy tak, panie Fitzalan? - zapytała zjadliwie.

- Pani mężem, nie dozorcą.

- Tak czy siak, wyznaję, że nic z tego nie rozumiem. Zawsze sądziłam, że znam mojego ojca, lecz wychodzi na to, że się myliłam. Chętnie bym się dowiedziała, dlaczego, znając moje zdanie o panu, posunął się do swoistego szantażu, by zmusić mnie do małżeństwa. Sprawa wygląda bowiem tak, że jeżeli nie spełnię jego życzenia, na co mam ogromną pokusę, skorzysta na tym Gerald, i to ogromnie.

- To prawda. Błagam więc panią, żeby się pani poważnie zastanowiła nad życzeniem swego ojca.

Eve westchnęła głęboko. Była kompletnie zdezorientowana. Od śmierci matki, a potem przez chorobę ojca, odsuwała od siebie myśl o przyszłości. Nie chciała się zastanawiać, co będzie, gdy stanie się to, co nieuniknione. Teraz jednak przyszłość nadeszła, a ona była nieprzygotowana do życia, które ją czekało.

Musiała jednak dać jakąś odpowiedź Marcusowi.

- Zawsze wiedziałam, jak wiele dla ojca znaczyła Kopalnia Atwoodzka i inne interesy. Nigdy jednak nie sądziłam, że oddanie pracy i lojalność wobec pana wpłyną na jego postępowanie wobec mnie, jego córki. Proszę mi wybaczyć, ale muszę to przemyśleć. Potrzebuję trochę czasu dla siebie.

- Doskonale to rozumiem. Nim odejdę, chciałbym tylko pani powiedzieć, że gniew jest złym doradcą. Proszę nie pozwolić, by wpłynął na pani decyzję. I proszę lekkomyślnie nie wyrzekać się tego, co się pani należy... Cóż, oboje mamy wiele do przemyślenia. Wrócę do Burntwood Hall, kiedy pani przyjdzie do siebie po tych szokujących informacjach, i wtedy porozmawiamy, co należy zrobić.

- Tak, tak, dziękuję. Do widzenia, panie Fitzalan.

Gdy odchodziła, odprowadził ją wzrokiem. Ich dzisiejsze spotkanie przypominało rundę bokserskiego meczu, podczas której Eve ujawniła tak bujny temperament, jakiego dotąd nie spotkał u żadnej innej kobiety.

Zachowywała się jak jędrza, Marcus wyczuwał jednak, że łatwo mogłaby się przemienić w czarodziejkę. Gdy lady Abigail przedstawiała mu ją po pogrzebie, doznał wstrząsu, w jej oczach zauważył bowiem coś, co przyspieszyło bicie jego serca, poczuł też wielkie podniecenie - takie samo jak wtedy, przed trzema laty, gdy znalazła się na jego łasce. Wyglądała bardzo młodo, prawie dziecinnie, jednak był pewien, że za tymi pozorami kryje się dojrzała, zmysłowa kobieta, która tylko czeka na wyzwolenie.

Marcus Fitzalan powrócił do pokoju, w którym byli zgromadzeni żałobnicy. Wchodząc, zmierzył lodowatym spojrzeniem Geralda Somerville'a, a ten odpowiedział tym samym. Dla obu było oczywiste, że są śmiertelnymi wrogami.

Informując Eve o sprawkach Geralda, Marcus mówił tylko to, o czym wiedział z całą pewnością. Świetnie pamiętał ów wieczór w klubie, podczas którego Gerald, grając w karty, stanął w obliczu ruiny. Był tego naocznym świadkiem. Gerald również to wiedział i nienawidził go za to serdecznie.

Teraz na widok Marcusa jego oczy zabłyśły ponuro. Zdawał sobie sprawę, że przez niego może stracić upragnioną kopalnię i ta myśl wprawiała go w furję.

Marcus pogardzał ludźmi tego pokroju i unikał ich jak ognia. Wiedział, że Gerald może posunąć się do strasznych rzeczy, na przykład skompromitować Eve i w ten sposób skłonić ją do małżeństwa z sobą. A wszystko to w celu zagarnięcia Kopalni Atwoodzkiej. Dlatego tym mocniej postanowił, że wkrótce wróci do Burntwood Hall i uratuje Eve, przekonując ją do małżeństwa, które zaplanował dla nich jej ojciec.

Tego samego dnia, pod wieczór, Eve wymknęła się z domu i poszła na cmentarz, by w samotności odwiedzić po raz ostatni grób rodziców. Kiedy otwierała cmentarną furtkę, wokół panowały cisza i spokój, a przepływające chmury przysłaśniały wschodzący Księżyc.

Gdy szła cmentarną ścieżką, ogromne, zimne, szare, pokryte porostami nagrobki rzucały groteskowe cienie. Wreszcie zatrzymała się przy świeżo usypanej, pokrytej kwiatami mogile. Kwiaty zaczynały już więdnąć i tracić swoją delikatną urodę. Jutro też będą martwe, pomyślała i pogrzyżyła się w bólu i tęsknocie za rodzicami.

Padła na kolana, jej ciałem wstrząsnął szloch. Kompletnie zagubiona, wciąż nie mogła pojąć, dlaczego ojciec, który przecież ją kochał, zachował się tak srogo, dlaczego zdradził swoją córkę. Płacząc gorzko nad grobem, nie zdawała sobie sprawy, że przy bramie ktoś stoi i obserwuje ją w milczeniu.

Marcus też przyszedł na cmentarz, by złożyć ostatnie wyrazy szacunku człowiekowi, który był mu więcej niż tylko przyjacielem i któremu tak wiele zawdzięczał. Widząc jednak klęczącą, złamaną bólem postać, zatrzymał się przy bramie. W zapadającym zmierzchu z trudem rozpoznał szczupłą sylwetkę Eve Somerville i serce ścisnęło mu się z żalu i litości. W pierwszej chwili chciał do niej podejść, pomyślał jednak, że okazałby się intruzem. Płacz dobrze jej robi, uznał. Zrobiło mu się przykro na myśl, że w ogromnym domu nie ma nikogo, kto mógłby ją pocieszyć. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, przytulić, ukoić...

Natychmiast jednak uświadomił sobie, że nie może tego zrobić. Zaklął w duchu. Nie miał wątpliwości, że Eve Somerville nieświadomie przebiła się przez twardą skorupę i znalazła drogę do jego serca, co dotąd nie udało się żadnej innej kobiecie.

Z trudem oderwał oczy od pochylonej, złamanej bólem postaci i odszedł. Wiedział jednak, że tego widoku nie zapomni do końca życia.

Rozdział trzeci

Po powrocie z cmentarza, czując ogromną wewnętrzną pustkę, Eve schroniła się w swoim pokoju. Skuliła się w dużym fotelu, zamknęła oczy i zapadła w niespokojny półsen. Przeniosła się w dawne czasy, na jarmark w Atwood, gdzie jako siedemnastolatka poznała Marcusa Fitzalana. Zdumiewające było to, że pamiętała każdy szczegół tamtych wydarzeń i wszystkie jego słowa. Dotychczas bowiem, z powodu upokorzenia, którego doznała, skwapliwie odsuwała je od siebie.

Wszystko zaczęło się jako głupi dziewczęcy żart. Musiała jednak przyznać, że nie był on z tych, które przystoją miłej, przyzwoitej, dobrze wychowanej młodej damie.

Somerville'owie tradycyjnie zjawiali się na jarmarku, jednak w tym roku matka nie czuła się dobrze i została w domu w towarzystwie męża, dlatego Eve pojechała do Atwood z panią Parkinson, żoną miejscowego dziedzica. Jej córka, Emma, była najlepszą przyjaciółką Eve. Jarmark w Atwood był najważniejszym w roku wydarzeniem towarzyskim. Zjeżdżano całymi rodzinami na dwudniowe święto. Miał również znaczenie gospodarcze, gdyż sprzedawano tu bydło i płody rolne. Przyjeżdżali też wędrowni Cyganie i rozstawiali kolorowe wozy na pobliskich łąkach.

Dla uczestników jarmarku przygotowano liczne atrakcje: teatrzyki kukielkowe, figury woskowe, strzelnice, kręgle. A także rozrywki, które Eve mniej się podobały - na przykład szczucie psami uwiązanego niedźwiedzia, walki kogutów i walki bokserskie zawsze przyciągające tłumy. Eve jednak unikała ich, uważała je bowiem za odrażające.

Handlarze ustawiali stragany i nakłaniali gości do rozstawiania się z pieniędzmi; dzieci baraszkowały naokoło, zakochani spacerowali pod rękę wśród kolorowych budek. W powietrzu unosił się apetyczny zapach gotowanego jedzenia, a ojciec Eve zawsze ofiarowywał organizatorom wołu, którego pieczono na otwartym ogniu.

Eve, wraz z Emmą Parkinson i Angellą Lambert, przybyła na jarmark wczesnym popołudniem. Eve i Emma bardzo się przyjaźniły, natomiast z Angellą koleżeńskie stosunki nie układały się najlepiej. Angella korzystała z każdej okazji, żeby wprowadzić Eve w zakłopotanie. Była uparta i dbała wyłącznie o własną korzyść. Szczerej z natury Eve nie przychodziło do głowy, że powoduje ją zazdrość. Angella zazdrościła jej bogactwa i prestiżu rodu Somerville'ów, a także powodzenia u młodych mężczyzn, choć sama na nie nie mogła narzekać. Kierowała się jednak egoistycznym pragnieniem skupienia całej uwagi na sobie, nic innego jej nie obchodziło.

Angella i Emma różniły się ogromnie. Emma, szczupła i delikatna brunetka, wyróżniała się łagodnością i spokojem, natomiast Angellę, również brunetkę, wręcz rozsadzała energia, a jej zmysłowość wprost rzucała się w oczy.

Siedząc na trawie w ciepłym lipcowym słońcu - pod baczny okiem pani Parkinson rozmawiającej z kilkoma starszymi damami - dziewczęta mówiły o mających wkrótce nastąpić zaręczynach Eve z Leslieem Stephensonem, przystojnym najstarszym synem mieszkającego w okolicy baroneta. Nawiasem mówiąc, Leslie wprawdzie pojawił się na jarmarku, jednak całkiem wciągnęły go zmagania zapaśników, które odbywały się nieopodal miasteczka.

Wszystko wskazywało na to, że Leslie Stephenson uważa Eve za osobę czarującą, a ona nie mogła wprost uwierzyć, że udało jej się dokonać takiego podboju. Jednak Leslie zbyt długo zwlekał z formalnymi oświadczeniami, co zaczynało niepokoić Eve.

Eve i Emma słuchały entuzjastycznych peanów Angelli o pewnym młodym człowieku, który mieszkał w jej rodzinnym miasteczku Little Bolton, położonym w połowie drogi między Atwood a Netherley. Angella uważała siebie za autorytet we wszystkich sprawach - a zwłaszcza za znawczynię mężczyzn, wśród których miała ogromne powodzenie.

- Są ważniejsze sprawy w życiu - powiedziała Eve, znudzona pełną ferworu opowieścią Angeli o nieznanym jej młodzieńcu.

Angela spojrzała na nią gniewnie.

- Możesz tak sobie mówić, skoro jesteś już prawie zaręczona z dziedzicem dużego majątku i tytułu. - Sięgnęła do pudełka z cukierkami, które podarował im Leslie, zanim zniknął.

- Ty też pewnego dnia upolujesz dobrą partię, Angelo - odrzekła Eve. - Mężczyźni ciągną do ciebie jak pszczoły do miodu. Umiesz flirtować, wiesz, jak z nimi rozmawiać. Wkrótce będziesz miała męża. Chociaż wiesz, z drugiej strony, jeżeli będziesz się tak objadała cukierkami, to utyjesz i zaczniesz ich odstraszać.

To ostrzeżenie było żartem, jednak Eve czuła się dość nieswojo, bowiem Angela zawsze starała się zająć uwagę Lesliego, a jemu, na nieszczęście, zdawało się to pochwlebiać.

- Jeżeli mój mąż okaże się choć w połowie tak bogaty i przystojny jak Leslie, to się nim zadowolę - odrzekła Angela z niezmaconym spokojem... i nagle gwałtownie ożywiła się, w pobliżu pojawił się bowiem jeździec na potężnym kasztanie.

Ciemnowłosa mężczyzna zaiste prezentował się znakomicie. Świetnie zbudowany i silny, o wyrazistej męskiej twarzy, ruchami cudownie harmonizował z końskim klusem. Musiał być powszechnie znany i ceniony, bo kłaniano mu się z szacunkiem.

- Boże drogi - szepnęła podniecona Angela. - To Marcus Fitzalan.

Kiedy przejeżdżał obok, Emma posłała w jego stronę ukradkowe spojrzenie. Jednak na Eve nie zrobił wrażenia. Kiedyś już go widziała, kiedy przyjechał do Burntwood Hall, jako że przyjaźnił się z jej ojcem i był jego współnikiem w interesach, jednak nigdy nie został jej przedstawiony.

Marcus Fitzalan zdawał się nieświadomy zamętu, jaki wzbudził w sercach młodych dam. Myśli zajęte miał czym innym, ale gdy do jego uszu dobiegł nieopanowany chichot Angeli, spojrzął w ich stronę. A jego spojrzenie podziało na dziewczęta jak nagły podmuch wichru: mroził, odpychał, a zarazem zawłaszczał.

- Boże! Co za przystojny mężczyzna! - westchnęła zachwycona Emma.

- I na dodatek dobrze wie, że jest przystojny - dodała Angela.

- Ciekawe, co on tutaj robi. Eve wzruszyła ramionami.

- Naprawdę nic mnie to nie obchodzi. - Starła się o obojętny ton, chociaż dziwne emocje, jakie ją ogarnęły, dowodziły, że męski powab Marcusa Fitzalana nie pozostawił jej obojętną.

- Ciekawe, czy zostanie na tańcach - powiedziała Emma.

- Nawet jeśli tak, to jestem pewna, że nie będzie tańczył - oznajmiła Eve. - Jest na to zbyt wyniosły. I założę się, że raczej skona, niż zatańczy z którąś z miejscowych dziewcząt.

Oczy Angeli zwężyły się. Przyszedł jej do głowy dziwaczny pomysł.

- Ale nas nie można do nich zaliczyć, prawda? W każdym razie nie w tym sensie, który miałaś na myśli, Eve. Sądzę, że powinniśmy jakoś zwrócić na siebie uwagę pana Fitzalana. Może uda się nam unicestwić tę lodowatą zbroję, w którą się stroi.

- Co proponujesz?

- Żeby jedna z nas poprosiła go do tańca.

- Angelo! Ależ to byłby skandal! - oburzyła się Eve.

- Tak... ale bardzo zabawny. Sądzę również, że to powinnaś być ty - dodała zdecydowanie, patrząc na Eve wyzywająco.

Eve wyprostowała się gwałtownie i wpatrzyła się w nią z niedowierzaniem. Zwykle propozycje Angeli, nawet jeśli były nieco ekstrawaganckie, nie szokowały jej ani nie dziwiły, ale ta była wręcz skandaliczna.

- Och nie! Nie mogłabym. To, co proponujesz, jest niedorzeczne, Angelo, i wielce nieobyczajne. Jeżeli w ogóle mam tańczyć, a pani Parkinson na to pozwoli, to będę tańczyła z Lesliem.

- Pod warunkiem, że będzie miał ochotę na taniec. - Pochwyciwszy gniewne spojrzenie Eve, dodała: - Och, tylko pomyśl. Leslie poświęcił ci dzisiaj tak mało uwagi, że będę zdziwiona, jeżeli w ogóle cię odszuka. Wydaje mi się, że wcale mu się nie spieszy z oświadczeniami. Wiesz dobrze, że nie może się na to zdecydować od wielu tygodni.

- To nieprawda - wbrew oczywistym faktom zaprotestowała Eve. Cóż, dla nikogo nie było tajemnicą, że Leslie gra na zwłokę.

- Pomyśl tylko Eve - szybko mówiła Angela - gdy Leslie zobaczy, że zainteresował się tobą ktoś taki jak pan Fitzalan, i to tak bardzo, że poprosił cię do tańca, zrobi się na pewno zazdrosny i prędzej ci się oświadczy.

- Ale przecież sugerujesz, że bym to ja poprosiła pana Fitzalana do tańca, a nie on mnie.

- Tak czy siak, może to jest to, czego potrzebuje Leslie. No wiesz, dla zaostrenia apetytu. Zapewniam cię, że jeżeli Marcus Fitzalan się tobą zainteresuje, Leslie natychmiast odwiedzi twój ojca z wiadomą prośbą.

- Naprawdę tak sądzisz? - Eve wciąż nie była przekonana do pomysłu Angeli.

- Oczywiście.

- Tak samo obudzę w Lesliem zazdrość, jeśli zatańczę z kimś innym. Nie musi to być wcale pan Fitzalan. - Na samą myśl o tym, że miałyby podejść do tego onieśmielającego mężczyzny, robiło jej się słabo.

- Ale to nie dałoby tego samego efektu. Poza tym wszyscy wiedzą, jak bardzo pan Fitzalan przyjaźni się z twoim ojcem, więc będzie ci znacznie łatwiej to zrobić niż mnie czy Emmie. Oczywiście, jeśli uważasz, że nie potrafisz go oczarować i skłonić, by poprosił cię do tańca, to daruj sobie. - Angela położyła się na trawie i zamknęła oczy, udając całkowity brak zainteresowania dalszym przebiegiem sprawy.

Eve, chociaż miała niejasne wrażenie, że pada ofiarą jakiejś manipulacji, podjęła jednak wyzwanie, bardzo bowiem chciała udowodnić Angeli, że ta się myli. Podrażniona ambicja, niestety, przeważała.

Kiedy grupa skrzypków zagrała i kiedy zaczęły się tańce, korzystając z tego, że pani Parkinson spuściła ją z oka, ruszyła w stronę Marcusa Fitzalana - całkiem nieświadoma złośliwego uśmiechu tryumfu, który pojawił się na ustach Angeli. Mówiąc wprost, fałszywa przyjaciółka patrzyła na Eve jak na jagnię prowadzone na rzeź.

Pan Fitzalan stał w dużej grupie uczestników jarmarku i rozglądał się wokół. Ubrany cały na czarno, pomijając śnieżnobiały halsztuk, przypominał drapieżnego jastrzębia. Zdenerwowana Eve zatrzymała się na chwilę. To, co zaczęło się jako głupi żart, przestało już być zabawą. Bardzo żałowała, że wiedzioną głupim impulsem, dała się podpuścić Angeli.

Kusiło ją, żeby minąć pana Fitzalana i pójść dalej, czuła jednak, że Angela bacznie ją obserwuje, więc głupia duma nie pozwoliła na rejteradę. Dobrze wiedziała, że jej postępek będzie bardzo niestosowny i że rodzice, gdy się o nim dowiedzą, będą wstrząśnięci i ogromnie rozgniewani. Na nic zdały się jednak podszepty rozsądku. Wkroczyła na arenę, czując się przy tym jak Daniel wchodzący do jaskini lwów. Nie pomyślała wcale, choć dobrze wiedziała, jak wiele dla kobiety znaczy reputacja, że tak skandaliczne zachowanie może mieć wpływ na całe jej życie.

Z niepokojem w sercu podniosła wzrok na pana Fitzalana i napotkała parę lodowatoniebieskich oczu. Nie miała pojęcia, że ten mężczyzna dostrzeże w niej uosobienie dziewczęcej delikatności. Marcus Fitzalan zauważył bowiem jej zdrową cerę, widział także, jak skromnie wygląda w różowej sukience z wysokim stanem i z dekoltem, ukazującym urocze wzgórki młodych piersi.

Dostrzegł ją zaraz po przybyciu na jarmark i wziął za jedną z wiejskich dziewcząt, które przybyły w poszukiwaniu rozrywki.

Eve, zbierając się na odwagę, spojrzała mu w twarz. Wiedziała, że musi coś powiedzieć, bo gdyby się teraz oddaliła bez słowa, uznalby to za dziwne.

- Czy pan przed chwilą przybył na jarmark, panie Fitzalan?

Marcus patrzył na nią zafascynowany. Wprawdzie odpychał go jej chłodny ton, ale pociągała uroda.

- Tak. A pani? Dobrze się pani bawi?

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się. - Bardzo dobrze. Marcus wiedział, na czym polega flirt i zawsze uważał go za rzecz niesmaczną - chyba że flirtowała z nim właściwa kobieta. Ale osoba, którą miał przed sobą, nie była kobietą, tylko bardzo młodą dziewczyną, więc gdyby się nie uśmiechnęła, oddaliby się po prostu. Jednak jej uśmiech całkiem go rozbroił. Marcus zapragnął dowiedzieć się o niej czegoś więcej i nacieszyć jej towarzystwem. Intrygowała go. Być może, pomyślał, przed powrotem do Netherley przyda mi się mała przygoda.

Eve poczuła się nieco swobodniej.

- Co teraz nastąpi? - zapytała niewinnie.

- Kolejna walka. - Spojrzał na przęcającego się na ringu potężnego brutala o nagiej piersi i potężnych ramionach.

Pobladła z ogarniającego ją wstrętu, Eve utkwiała wzrok w bokserze oczekującym na przeciwnika. Pięści miał zaciśnięte i pomazane krwią, bo poprzedni rywal zwlókł się z ringu ze złamaną szczęką i rozbitym nosem.

Pragnąc stąd odejść, odwróciła się ku Marcusowi, ale w tej samej chwili otoczył ich podniecony tłum. Musiała więc pozostać na miejscu, oniemiała na dźwięk ryku, który wyrwał się ze stu gardeł, gdy na ring wkroczył drugi bokser. Prerażona i bliska mdłości, uświadomiła sobie, że będzie musiała tu zostać i patrzeć na brutalną rzeź.

Zebrała się jednak w sobie, pamiętała bowiem, że spoczywa na niej bezlitosny wzrok Angeli.

- Panie Fitzalan, na którego boksera pan postawił? - Zastanawiała się przy tym, czy lubi on tak pełen przemocy sport. - Uważa pan, że wygra ten, który już raz zwyciężył, doprowadzając przeciwnika do opłakanego stanu? - Wskazała nieszczęśnika, który trzymał się za złamaną szczękę i któremu opatrywano rany na twarzy.

- Czy może jego rywal?

- Na nikogo nie postawiłem. Nie uprawiam hazardu. Nie wrzuciłbym do puli nawet pensa, gdybym był całkowicie przekonany, że wygra ten osiłek - spojrzał na ring - a jego rywal skończy równie źle jak jego poprzednik.

- Nie zgadzam się z panem, że nowy zawodnik stoi na z góry straconej pozycji. - Eve skinęła głową w kierunku boksera, który właśnie wchodził. - Podejrzewam, że będzie dzielnie walczył o swoją sławę. Przyznaję, dotychczasowy zwycięzca jest silny i giętki, ale jego rywal, co prawda, nieco otyły i niezbyt potężnej postury, jest jednak pełen ognia, a taki zapal potrafi działać cuda.

- Mówi pani jak znawca. - Marcus popatrzył na nią z rozbawieniem. - Lubi pani takie walki?

- Nie. - Skrzywiła się z obrzydzeniem na widok dwóch mężczyzn, którzy zaczęli okładać się pięściami. - Po raz pierwszy z bliska obserwuję zmagania bokserów i jest to widok, wyznać muszę, nad wyraz okropny.

- Podzielim pani zdanie. Preraża mnie zamiłowanie do przemocy. Chodźmy, nie musimy tu stać i patrzeć, jak dwaj ludzie wybijają sobie z głów rozum... jeżeli go w ogóle mają, w co można wątpić, skoro oddają się tak brutalnemu zajęciu.

- Marcus wziął ją za ramię i odprowadził na bok.

Tłum rozstał się przed nimi. Uszli spory kawałek, aż wreszcie Marcus zatrzymał się w miejscu, gdzie przywiązany do drzewa stał jego koń.

- Dziękuję. - Eve westchnęła z ulgą. - Nie dałabym rady zbyt długo oglądać tej walki... Co za wspaniały koń! - Ożywiła się na widok pięknego rumaka i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać jego długą jedwabistą szyję.

- Tak. Jest wyjątkowy. Lubi pani konie?

- O tak... - W ostatniej chwili ugryzła się w język, by nie pochwalić się znaną w całej okolicy stajnią ojca. Nie powinna przecież ujawniać, kim jest.

A zaraz potem przestraszyła się, że Marcus zamierza już ją pożegnać.

- Pan... pan jeszcze nie odjeżdża?

- Muszę. Do Netherley jest daleko.

Ogarnęła ją panika, bowiem gdy się obejrzała, zobaczyła Angelę, która patrzyła na nią niczym kot na mysz. Eve wiedziała, że jeżeli nie doprowadzi planu do końca, narazi się na jej jakże irytujące kpiny.

- Och, ale... ale ja... - Umilkła zawstydzona. Ubawiony jej zmieszaniem Marcus czekał, co powie dalej.

Eve spojrzała w stronę kapeli i tańczących ludzi.

- Ja... ja myślałam, że pan zechce zatańczyć.

Sama nie wierząc, że wyraziła tak zuchwałą prośbę, uniosła głowę, nieświadoma, że wpatruje się w Marcusa szeroko otwartymi oczami.

Lecz jego twarz była nieprzenikniona. Nie wiedziała, zdziwił się, rozbawił, oburzył?

- Nie - odparł krótko.

- O... rozumiem.

Eve cofnęła się, jakby uderzył ją swą odmową. Zapragnęła jak najszybciej wypłatać się z tej okropnej sytuacji. Co prawda, postąpiła nazbyt śmiało, jednak takie zachowanie wobec damy było niesłychaną, poniżającą obrazą. Po pierwszym szoku poczuła jednak gniew. Jak śmiało odmówić jej tak bez ogródek?! A zarazem poczuła się głęboko rozbawiona. Angela będzie wprost zachwycona, że nie udało się jej oczarować Marcusa i skłonić do tańca. Pragnąc wycofać się j z godnością, zrobiła krok do tyłu.

- Doskonale, panie Fitzalan. Ponieważ zdaje się pan nie pragnąć mego towarzystwa, pożegnam pana. Proszę mi wybaczyć, że pana trudziłam.

Marcus chwycił ją za ramię. Kątem oka dostrzegał jej przyjaciółki; wiedział, że chichoczą, szturchają się i czekają, co się stanie dalej. Oczy mu się zwężyły, skinął lekko głową, patrząc na rozkoszną, zarumienioną z oburzenia Eve.

Nie był głupcem i doskonale wiedział, o co tu chodzi. Z jakiegoś znanego tylko sobie i przyjaciółkom powodu ta dziewczyna prowadziła z nim grę. Uśmiechnął się więc z rozbawieniem, zdecydowany dać nieznanej pannie trochę więcej niż chciała. Ale nie tutaj, wolał bowiem dokonać słodkiej egzekucji poza zasięgiem wzroku dwóch rozchichotanych dzierlatek.

- Tego nie powiedziałem. Przeciwnie, pani towarzystwo wielce mnie raduje. Chodzi o to, że nigdy nie tańczę przy takich okazjach. Ale może przespaceruje się pani ze mną ścieżką wzdłuż rzeki?

Eve wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Serce biło jej mocno. Ta propozycja była tak niespodziewana, a jego głos tak niewiarygodnie uwodzicielski, że oniemiała. Oczy Marcusa uśmiechały się, nakłaniały ją, żeby powiedzieć „tak”. Ogarnęły ją dziwne, słodkie, a zarazem niepokojące emocje.

- No ale ja... ja nie powinnam... Ja...

Uśmiechnął się zachęcająco i powiedział łagodnym, perswazyjnym tonem:

- Ależ musi się pani zgodzić. Wychodzi na to, że teraz ja panią wabię. Nieprawdaż?

Zamieniliśmy się rolami...

Eve odetchnęła głęboko. Była przerażona i zszokowana tym, że Marcus tak łatwo ją przejrzał.

- Och... ja nie... to znaczy...

- A czy to ma znaczenie? - Roześmiał się cicho.

Gdy prowadził konia ścieżką nad rzeką, czuł, że wygrał, tymczasem Eve nie zorientowała się jeszcze, że przegrała.

To, że jej nieobecność mogła zauważyć pani Parkinson i że Leslie mógł powrócić, nie interesowało jej w tej chwili. Szli w słońcu, ciepłym i dobroczynnym dla kochanków - choć jeszcze nie byli kochankami - a Marcus prowadził ją coraz dalej. Malutkie owady trzepotały nad powierzchnią wody, a odgłosy muzyki i radosnego gwaru coraz bardziej cichły.

Rozmawiali o rzeczach błahych, o Atwood i jego mieszkańcach, dopóki Eve nie zorientowała się, jak daleko zaszli. Wpadła w panikę. Zaczęła się zastanawiać, co powiedzą rodzice, gdy się dowiedzą o jej postępkach. Wiedziała dobrze, że nie powinna przebywać sam na sam z mężczyzną, który nie jest jej narzeczonym, a już z całą pewnością nie wolno jej spacerować z nim wzdłuż rzeki na wprost ukrytej za drzewami.

Zatrzymali się, a Marcus poluzował wodze i pozwolił koniowi napić się wody. Oparty swobodnie o drzewo, założył ręce na piersi, w milczeniu obserwując Eve. Zdjął surdut i rozluźnił halsztuk, a jego mięśnie z każdym ruchem napinały się pod miękkim lnianym płótnem koszuli. Powiał wiatr. Eve włosy opadły na twarz. Uniosła więc rękę i z roztargnieniem odgarnęła je za uszy, przeczesując przy tym palcami, całkiem nieświadoma, jak bardzo był to uwodzicielski gest. Marcus stał nieruchomo, wpatrując się w nią zaborczo. Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że Eve zarumieniła się i zabrakło jej tchu.

- Ja... ja muszę wracać. - Chciała uciec, lecz nie była w stanie się poruszyć. - Moje przyjaciółki zaczną się o mnie niepokoić.

Marcus wziął ją pod brodę.

- Spójrz na mnie.

Podniosła na niego wzrok, oddychając szybko, jej rozchylone wargi były wilgotne i miękkie, cudowne oczy szeroko otwarte i jasne, drobne piersi falowały pod sukienką. Stanowiła uosobienie wabiącej niewinności, jednak dla mężczyzny tak pełnego żądzy jak Marcus niewinność stała się zbyt słabą zaporą wobec mocy wabienia.

- Wie pani, jak bardzo to niewłaściwe, że jest pani ze mną sama. Żadnej przyzwoitej młodej damie, wie pani o tym doskonale, nie przyszłoby do głowy spacerować z obcym mężczyzną. Co sprawia, że sądzi pani, iż jest bezpieczna?

Eve zarumieniła się, jej fiołkowe oczy zaszyły mgłą. Wiedziała, że nadeszła chwila, by powiedzieć, kim jest i zapewnić Marcusa, że nie było jej zamiarem, by sprawy zaszły tak daleko. Nie mogła jednak wydobyć głosu. Miała tylko nadzieję, że Marcus pozwoli jej odejść, a potem zapomni i o niej, i o tym nieszczęsnym zdarzeniu.

Jednak w jego oczach pojawił się płomień namiętności. Porażona tym Eve zwątpiła, czy będzie miała siłę mu się oprzeć.

- To oczywiście, że nie jestem jedną z tych przyzwoitych, dobrze wychowanych młodych dam - powiedziała drżącym głosem. - Przekonał się pan, jak bardzo jestem bezpośrednia, gdy poprosiłam pana o taniec. I wie pan, że moja znajomość etykiety jest niedostateczna. Ja... ja przypuszczałam, że mając do czynienia z kimś takim jak pan, z człowiekiem o takiej pozycji, będę całkiem bezpieczna. Wszystko to było okropną pomyłką... - Zamilkła na chwilę. - Ja... ja

muszę wrócić do swoich przyjaciółek. Nie powinnam była tutaj przychodzić. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam.

Patrzyła na niego bezradna i przerażona, tymczasem on przysunął się do niej, kierowany nieopanowanym impulsem, by ją posiąść. Z jej zachowania wnioskował bowiem, że powrót do przyjaciółek jest, tak naprawdę, ostatnią rzeczą, jakiej pragnie.

- Doprawdy? - zapytał kpiąco. - Jest pani tutaj ze mną, bo pani tego chce. Pragnie pani tego samego co ja. Proszę nie zaprzeczać, bo nie uwierzę i proszę się tak nie spieszyć do przyjaciółek. Marcus powinien był zauważyć wyraz paniki w jej oczach, usłyszeć drżenie w głosie, jednak jedyną rzeczą, która zaprzętała jego uwagę, były jej usta - miękkie i kuszące. Odgarnął włosy z twarzy Eve i jego usta zamknęły się na jej ustach, zanim zdążyła zaprotestować.

Zbyt oszołomiona, by stawić opór, sztywna i bezwolna, pozwoliła się pocałować. On jednak, niezadowolony brakiem prawdziwej reakcji, objął jej kibić i mocno przyciągnął do siebie.

- Nie chcę takich niewinnych pocałunków, moja panno - powiedział cicho schrypniętym głosem. - Jestem pewien, że potrafi pani lepiej całować.,

Z drażniącą powolnością zaczął pieścić jej wargi, a potem pocałował znowu. I tak się stało, że naiwna i niedoświadczona Eve, zamiast wyrwać się i uciec, zupełnie przestała myśleć i poddała się instynktowi. Okazało się, że na pieszczotę Marcusa odpowiadają nie tylko jej wargi, ale całe ciało. Przyłgnęli do siebie, oszołomieni rozkoszą.

Eve uwiódły usta Marcusa, stała się niewolnicą jego dotyku, jego pieszczot, niewoliła ją także obietnica tych sekretnych, tajemniczych rzeczy, które wprawiały jej ciało w drżenie. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nikt jej nie powiedział, co się zdarza, kiedy kobieta i mężczyzna są z sobą tak blisko. Nigdy dotąd nie całował jej żaden mężczyzna, a pierwszy w życiu pocałunek okazał się dla niej wstrząsającym przeżyciem. Uczucia, które Marcus w niej obudził - ustami, dotykiem, spojrzeniem - były całkiem niezrozumiałe, lecz zarazem cudowne.

Nie zaślepiły jednak Eve aż tak bardzo, by nie zdołała się otrząsnąć z cudownego oszołomienia. Natychmiast też przypomniała sobie, że postępuje źle, bardzo źle, i że musi bezzwłocznie z tym skończyć.

- Proszę... musi mnie pan puścić - szepnęła. - Nie wolno panu tego robić.

Marcus zdawał się nie słyszeć jej prośby. Nadal szukał jej ust, a jego palce pieściły miękkie wznórki piersi. Eve odepchnęła go i cofnęła się, patrząc na niego błagalnie. Równocześnie jednak pragnęła tego, co chciał jej dać, pragnęła z intensywnością, jakiej dotychczas nigdy nie doświadczyła.

- Proszę... to niewłaściwe... nie powinniśmy. Gdyby ktoś się dowiedział, że byłam z panem sama... to niestosowne... konwenanse...

Marcus trochę oprzytomniał i wpatrzył się w nią zdumiony.

- O czym ty, do diabła, mówisz? Dlaczego towarzyska etykieta miałaby dotyczyć ciebie, takiej rozpustnicy?

Na tę zniewagę policzki Eve zapłonęły.

- Jak pan śmie! Nie jestem żadną rozpustnicą!

- Ale nieźle ją naśladujesz.

- Nieprawda! - wybuchnęła, starając się opanować szalony łomot serca.

- Więc kim, u licha, jesteś?

Przez moment Eve chciała skłamać, wiedziała jednak, że i tak wcześniej czy później prawda wyszłaby na jaw. Zresztą zawsze, bez względu na sytuację, wolała trzymać się prawdy.

Odwróciła się, zamierzając odejść bez słowa, Marcus jednak chwycił ją za ramię. Usiłowała się wywinąć, lecz trzymał mocno.

- Kim jesteś? - zapytał lodowatym tonem.

Eve spojrzała mu twardo w oczy. W jej wzroku nie było już śladu kokieterii. Zmobilizowała się, by stawić czoło nieprzyjemnemu obrotowi sprawy. Już nie było dzikiej czułości między nimi, tylko trudne do wytrzymania, wręcz groźne napięcie.

- Jestem... Eve Somerville. - Głos jej drżał, lecz nie odwróciła wzroku. - Jestem córką sir Johna Somerville'a.

Marcus zacisnął szczęki, twarz mu pobieliała.

- Dobry Boże! A cóż to za szaleństwo? Czy to prawda? Czy pani naprawdę jest Eve Somerville?

- Tak. - Wzdrygnęła się, słysząc w jego tonie irytację i widząc zimny błysk w lodowatoniebieskich oczach. Nigdy nie czuła się tak upokorzona. Uciekła wzrokiem.

- Proszę na mnie spojrzeć! - Gdy niechętnie go posłuchała, mówił dalej: - Nigdy bym się nie spodziewał, że poznam córkę sir Johna w tak niesłychanych okolicznościach. Czy pani postradała rozum? A może w ogóle go nie ma? - Położył dłonie na jej ramionach i potrząsnął silnie. - Czy pani nie widzi, że to, co pani zrobiła, to niebezpieczne szaleństwo?

- To był błąd - wyznała z rozpaczą.

- Pani błąd. To pani jest winna temu, że się tutaj znalazła. Co panią skłoniło do takiego postępu? No, proszę powiedzieć, nie trzymać mnie w niepewności. - Odsunął ją od siebie, nerwowo przeczesał palcami włosy. - Dlaczego mi pani nie powiedziała, kim jest?

Eve zapragnęła, żeby rozstała się pod nią ziemia. Nigdy nie czuła się tak okropnie.

- To... to miał być żart... taka zabawa... to wszystko. Moje przyjaciółki zachęciły mnie, żebym pana poprosiła do tańca...

Marcus patrzył na nią tak, jakby sądził, że postradała zmysły.

- Żart? Zabawa? - Wpatrywał się w nią, jakby całkiem postradała zmysły. - Czy naprawdę jest pani aż tak impertynencka, żeby mi wmawiać, że to był żart? Mój Boże, czy pani nie ma wstydu? Czy pani nie rozumie? Czy nie przyszło pani do głowy, że przez swoją głupotę może pani zrujnować reputację nie tylko sobie, ale także mnie? I jest pani zaręczona. .. to znaczy spodziewa się pani oświadczyć Lesliego Stephensona. Czy tak?

Był wręcz przerażający w tej pełnej furii reprimendzie, lecz Eve, mała złośnica, też wpadła w gniew. Pełna oburzenia odrzuciła do tyłu głowę i spiorunowała go wzrokiem.

- Tak, panie Fitzalan. Lecz...

- Miejmy więc nadzieję - przerwał jej brutalnie - że o tym nie usłyszy, bo w przeciwnym razie zniweczone zostaną pani matrymonialne plany. Teraz proszę wracać do domu, do matki, panno Somerville. Matka musi się o panią zamartwiać. Na miejscu pani ojca, gdybym się dowiedział o tym epizodzie... a może być pani pewna, że sir John o nim się dowie, bo zamierzam mu wszystko powiedzieć... więc na jego miejscu spuściłbym pani zdrowe lanie.

Tego było Eve już za wiele.

- No to mogę tylko dziękować Bogu, że pan nie jest moim ojcem!

- Rzeczywiście, powinna pani dziękować za to Bogu. Moim zdaniem jest pani rozkapryszoną, zepsutą, bezmyślną smarkulą. Pogardzam takimi ludźmi jak pani. Zachowała się pani jak skończona idiotka. Nie miała pani pojęcia, co pani robi, na co pani się naraża, czyniąc w sposób tak oburzający awanse dżentelmenowi w moim wieku i z moim doświadczeniem. Być może następnym razem, zanim rozpocznie pani podobną grę, dobrze się pani zastanowi. A ja radzę pani nauczyć się elementarnych zasad, bo jest ich pani całkiem pozbawiona.

Eve próbowała jakoś przełknąć jego słowa. Nikt nigdy dotąd tak do niej nie mówił, nikt tak jej nie obraził. Marcus patrzył na nią ze złością i bez cienia litości. Jednak ona stała przed nim,

dumna i pełna młodzieńczej odwagi. Nie panowała nad sobą i nie miała pojęcia, jak ślicznie wygląda z zarumienioną z gniewu twarzą i błyszczącymi oczami.

- A co z pana postępowaniem? - rzuciła oskarżycielsko. - Przecież bez względu na to, kim jestem, nie powinien pan być mnie wykorzystywać. Chyba że takie właśnie ma pan zasady!

- Nigdy nie wykorzystuję bezbronnych młodych dam, ale pani nie robiła takiego wrażenia. Jeżeli zdaje się pani, że może pani ze mną igrzać, to muszę powiedzieć, że mnie pani wcale nie zna.

- Po pańskim obraźliwym ataku na moją osobę wcale pana znać nie chcę. Byłoby interesujące wiedzieć, do jakiego stopnia byłby pan dżentelmenem, panie Fitzalan, gdyby pan na czas się nie dowiedział, kim jestem.

- Gdybym nie był dżentelmenem, panno Somerville, to nie miałyby najmniejszego znaczenia, kim pani jest. Po prostu wykorzystałbym pani wdzięki tu i teraz. A z pani reakcji wiem, że gdybym nie wypuścił pani w porę z uścisku, to przy odrobinie delikatnej perswazji uległaby mi pani całkowicie, odrzucając ostrożność na cztery wiatry i nie myśląc o konsekwencjach. Pozwoliłaby pani sobie powiedzieć, że rzadko nie korzystam z tego, co mi się tak jawnie oferuje. Biorąc jednak pod uwagę pani wiek oraz to, że jest pani córką sir Johna, z którym pozostaję w głębokiej przyjaźni, muszę odrzucić pani ofertę.

- Och... jak pan śmie mówić do mnie w ten sposób?! Wiem, co pan myśli...

- Nie sądzę, proszę pani. Gdyby pani wiedziała, co myślę, odwróciłaby się pani na pięcie i uciekła. A teraz proszę wracać do przyjaciółek, zanim rozpoczną poszukiwania i oskarżą mnie o to, że panią kompromituję. Poznawszy panią, nie wyobrażam sobie rzeczy bardziej deprymującej niż żądanie pani ojca, bym postąpił jak dżentelmen i panią poślubił.

Rozdział czwarty

Eve bez słowa odwróciła się i odeszła. Serce miała ciężkie ze wstydu, czuła się bezradna i przygnębiona. Nigdy dotychczas w swoim siedemnastoletnim życiu nie doznała takiego wstrząsu i upokorzenia. Wracając pośpiesznie między ludzi, zorientowała się, że świadkiem jej postępuku była nie tylko Angela, lecz także Leslie Stephenson, który wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

Niezdolna się bronić, niezdolna wypowiedzieć choćby słowo, szła szybko dalej, zbyt zawstydzona, zbyt rozgniewana i upokorzona, by rozmawiać z kimkolwiek. W pewnym momencie dostrzegła przez łzy, że Angela patrzy na nią z nieskrywanym uśmiechem tryumfu. Cóż, Angela wiedziała doskonale, że związek Eve z Leslieem Stephensonem legł w gruzach. Natomiast Marcusa, pozostawionego samemu sobie, ogarnął wielki gniew. Był wściekły na siebie, wpadł bowiem we własną pułapkę. Eve miała rację. Zanim dowiedział się, kim ona jest, sądził po jej zuchwałym zachowaniu, że miała już przedtem kochanków. Dlatego zachował się wobec niej tak obcesowo. Widział przecież wyraźnie, jak bardzo pragnęła jego pocałunku, uznał ją zatem za doświadczoną uwodzicielkę.

Teraz jednak doszedł do wniosku, że jego obowiązkiem jest powiadomić o jej zachowaniu sir Johna i jego żonę. I to natychmiast.

Marcus Fitzalan bezzwłocznie rozmówił się z ojcem Eve. Gniew i zdumienie jej rodziców nie miały granic. Wiedząc, że towarzystwo w Atwood nigdy nie wybacza ani nie zapomina takich przewinień, a także pragnąc, żeby Eve nie stała się obiektem kpin, odesłali ją do babki do Cumbrii, gdzie miała zostać, dopóki sprawa nie ucichnie.

I już nigdy nie zobaczyła matki, gdyż ta zmarła przed jej powrotem do Atwood. Rozpacz Eve była ogromna, tym większa, że czyniła sobie gorzkie wyrzuty, bo nie czuwała przy matce w

godzinie jej śmierci. Pograżona w bólu, spędzała samotne dni w Burntwood Hall. Czasami tylko wybierała się do Londynu, do ciotki Shony, albo też do babki do Cumbrii.

Wciąż miała żal do rodziców, że zignorowali rolę pana Fitzalana w całej sprawie. Podejrzewała także, że nie powiedział ojcu, jak naprawdę wyglądało ich spotkanie podczas jarmarku, do jakiej bliskości między nimi doszło.

Natomiast Leslie Stephenson zrezygnował z zamiaru oświadczenia się Eve i poślubił Angelę. Stało się więc tak, jak panna Lambert sobie to ukartowała.

Eve wprost nie pojmowała, jak ktoś, kto deklaruje przyjaźń, mógł postąpić tak podle. Angela zrobiła to z zazdrości. Dopilnowała, żeby wszyscy zobaczyli Eve z panem Fitzalanem, uradowała się, gdy ten odmówił jej tańca, a potem zniknął wraz z nią za drzewami. Kiedy wszystko wyszło na jaw, Leslie ożenił się z nią. W rok po ślubie zginął w wypadku podczas konnej jazdy, a Angela została bogatą młodą wdową.

Aż do tamtego okropnego dnia Eve uważała Angelę za przykrą chwilami, ale jednak przyjaciółkę, więc jej zdrada zabolala nawet bardziej niż to, że Leslie ją odtrącił. Nie widziała Angeli od tamtej pory i nie była w stanie wybaczyć jej takiej podłości. W rozmowach z Emmą, z którą przyjaźniła się nadal, nigdy o niej nie wspominały, traktując ten temat jak tabu.

Eve miała też nadzieję, że nigdy więcej nie spotka Marcusa Fitzalana. Nie oszczędził jej niczego: uświadomił, że jest idiotką, zepsutą, rozkapryszoną, egoistyczną pannicą. A ona musiała w duchu przyznać, że w jego oskarżeniach jest ziarno prawdy.

Wiedziała też, że Marcus rozbudził w niej pożądanie. Po całej tej okropnej historii pozostawił ją z dziwnym bólem wzbierającym w ciele, z ostrym pragnieniem, z nową, trudną do wyjaśnienia potrzebą w sercu. Patrząc teraz wstecz, dochodziła do wniosku, że właśnie wtedy skończyło się jej dzieciństwo. Po tym wydarzeniu na zawsze przestała być tamtą beztroską impulsywną dziewczyną.

Z niespokojnej drzemki nasyconej okropnymi wspomnieniami wybiło ją pukanie do drzwi. Eve z ciężkim westchnieniem wstała i podeszła do drzwi. Była zaskoczona, gdy zobaczyła babkę, która przed udaniem się na nocny spoczynek przyszła z nią porozmawiać.

Lady Pemberton zwykle działała na nią onieśmielająco, dzisiaj jednak zdarzyło się tyle, że Eve zupełnie o tym zapominała. Faktem było jednak, że podczas każdej wizyty babki Burntwood Hall stawał się cichy i smutny, a obecność starej damy dawała się zauważyć wszędzie, od strychu aż po piwnice.

Zawsze padały te same pytania i odpowiedzi, obowiązywały te same sztywne zasady, do których trzeba się było stosować. Babka wymagała, żeby Eve godzinami jej czytała, zmuszała do haftowania, czego nie znosiła, i bezustannie ganiła jej matkę za to, że daje córce zbyt wiele swobody. Wszyscy w domu oddychali z ulgą, gdy babka wracała do Cumbrii.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Eve, ale muszę z tobą pomówić. - Weszła do pokoju i usiadła w fotelu przy kominku.

- Oczywiście, babciu. - Eve nie dała po sobie poznać, że wolałaby tę rozmowę odłożyć na później.

Podeszła do okna, rozsunęła ciężkie story i wyjrzała na zewnątrz. Za kościołem migotały ciepłe światła Atwood, w oddali wznosiły się zabudowania Kopalni Atwoodzkiej i charakterystyczne dla tutejszego krajobrazu hałdy.

Eve pograżona była w dziwnym odrętwieniu. Jeszcze nie w pełni dotarły do niej wydarzenia tego dnia ani to, w jaki sposób zaważą na jej przyszłości. Wiedziała jednak, że testament odmienił jej tak dotąd bezpieczne życie, popchnął ją w otchłań prawdziwej katastrofy. Jak ojciec

mógł jej to zrobić? I dlaczego? Dlaczego pragnął, żeby poślubiła pana Fitzalana, gdy sama myśl o tym napawała ją przerażeniem?

Z drugiej jednak strony perspektywa, że Kopalnia Atwoodzką dostanie się w ręce Geralda, napelniała jej serce ogromnym bólem. Gerald nie znał się na górnictwie, więc wkrótce doprowadziłby niezwykle rentowną kopalnię do ruiny, podobnie jak z całą pewnością zniszczy majątek ziemski jej ojca. Mogła uratować przynajmniej kopalnię...

Aż do dzisiaj nie zdawała sobie sprawy, jak była jej droga. Traktowała ją tak lekko, mimo że ojciec był z niej niezmiernie dumny. Uważał ją za perłę majątku Somerville'ów, na co zresztą ciężko zapracował. Matka żartowała, że łatwiej by zaakceptowała jako rywalkę inną kobietę niż tę nieznośną kopalnię węgla.

Eve wiedziała, że opuszczając Burntwood Hall, stanie się niczym wyrwana z korzeniami roślina. Można ją przesadzić gdziekolwiek, bo zawsze będzie to obce miejsce. Jednakże sama myśl, że mogłaby stracić kopalnię, i to na rzecz Geralda, napawała ją bólem wprost nie do zniesienia. Nie, nie może wypuścić jej z rąk! Ojciec zapisał jej połowę kopalni, lecz mogła ją przejąć jedynie poprzez ślub z Marcusem Fitzalanem.

Ale to przecież jest niemożliwe! Marcus Fitzalan! Nie, nie! Musi istnieć jakiś inny sposób na to, by uchronić kopalnię przed przejściem w ręce Geralda! Nie mogę wypuścić jej z rąk! - postanowiła Eve z rozpaczą.

Wiedziała oczywiście, że jako mężatka nie będzie mogła w oczach prawa być właścicielką kopalni, jednak Marcus Fitzalan, bez względu na swoje wady, był człowiekiem, który dotrzymywał słowa. Eve czuła, że uszanuje wolę ojca i nie pozbawi jej schedy.

Przez cały dzień myślała, jak wyplatać się z tej okropnej sytuacji. Dylemat zaiste przypominał kwadraturę koła: jak uchronić kopalnię przed Geraldem, unikając zarazem małżeństwa z Fitzalanem i zamieszkania z babką na pustkowiu w Cumbrii.

Jednak im dłużej się nad tym głowiła, tym bardziej stawało się jasne, że jeżeli chce zatrzymać Kopalnię Atwoodzką - czyli zachować jakąś część przeszłości - to musi poślubić Marcusa Fitzalana. Wprowadziła się przed tą decyzją, lecz żadne inne rozwiązanie nie przychodziło jej na myśl.

- Wszystko to było dla ciebie okropnym wstrząsem, Eve - powiedziała wreszcie babka.

- Tak, to prawda, babciu. Zawsze mogłam polegać na ojcu, wiedziałam, że jest mi bezgranicznie oddany. Nie rozumiem, dlaczego mi to zrobił. Czy wiesz, z jakiego powodu tak postąpił? Czy rozmawiał z tobą o tym? Pan Fitzalan próbował mi to wyjaśnić, ale ja i tak nic z tego nie pojmuję.

- Tak, ojciec omawiał ze mną tę sprawę. - Zmieszana babka odwróciła wzrok. - Było to przed rokiem, podczas mojej wizyty w Burntwood Hall.

- Więc przez cały czas wiedziałaś, co on zamierza?

- Pragnął zasięgnąć mojej opinii.

- A ty zaakceptowałaś jego zamiar. Uznałaś, że poślubienie pana Fitzalana leży w moim najlepszym interesie?

- Tak, w istocie. Dlaczego miałabym sądzić inaczej? To dobry, uczciwy człowiek, poza tym wiesz, że ojciec ogromnie go cenił.

Nie powiedziała, jak bardzo zabolął ojca okrutny postępek Lesliego Stephensona, który porzucił Eve. I jak się martwił tym, że jego córka od tego czasu nie okazywała żadnego zainteresowania małżeństwem. Ale kochał ją ogromnie i chciał mieć pewność, że po jego śmierci nie będzie zdana na igraszki losu. Jego zdaniem, istniał tylko jeden mężczyzna wart jego pięknej, pełnej

temperamentu córki. Był nim obdarzony równie mocnym i prawym charakterem Marcus Fitzalan.

Wiedział, że używając Kopalni Atwoodzkiej jako przynęty, może sprawić, by tych dwoje połączyło swoje losy. Myśl, że jego przyjaciel zaopiekuje się Eve, była dla niego ogromną pociechą.

- Wiem, Eve, że to dla ciebie niełatwe i że masz prawo odczuwać gniew. Powiedz mi jednak, co czujesz do pana Fitzalana? - zapytała prosto z mostu babka. - Wyjdiesz za niego?

- Och babciu... jak mogę za niego wyjść? Przecież prawie go nie znam.

- Temu łatwo zaradzić. Oczywiście byłabym szczęśliwa, mając cię u siebie w Cumbrii, jednak dla twojego dobra radziłabym ci dostosować się do życzeń ojca, zostać tutaj i wyjść za męża.

Z jej sposobu mówienia Eve, ku swemu zdziwieniu, zrozumiała, że babka nie chce, by zamieszkała u niej w Cumbrii. A przecież w przeszłości zachęcała ją do wizyt u siebie.

Wyczuwając jej myśli, lady Pemberton surowo spojrzała na wnuczkę.

- Nie masz powodu do obrazy, Eve. Wiesz, jak zawsze mnie cieszą twoje wizyty i tak będzie do mojej śmierci, ale dla młodej dziewczyny, która ma przed sobą całe życie, Cumbria nie jest dobrym miejscem zamieszkania. A wiesz, że u ciotki Shony w Londynie długo byś nie wytrzymała. Po kilku tygodniach znudziłoby ci się miejskie życie i zatęskniłabyś za West Riding.

Cóż, babka miała rację. Evę zawsze chętnie jeździła do stolicy, jednak ciągle przyjęcia i bale szybko zaczynały ją nudzić, a wtedy nie mogła się doczekać powrotu do domu.

- Tak, babciu... ale ja nie chcę wyjść za pana Fitzalana. Jest dla mnie obcym człowiekiem. Dziwi cię to zapewne, zważywszy na bliską przyjaźń, jaka łączyła go z ojcem, ale tak jest. Sporo o nim słyszałam i wiem, że nigdy nie wzbudzi mojej sympatii. A poza tym jest taki stary.

- Bzdury. Trzydziestka to żadna starość. Eve, moja droga, przecież kiedyś musisz wyjść z mężem.

Więc dlaczego nie za pana Fitzalana? To prawda, że nie został, tak jak ty, pobłogosławiony szlachecką krwią, ale na moje oko nie ma w nim nic plebejskiego. Pochodzenie ma skromne, jednak dzięki małżeństwu jego ojca z córką pana Henry'ego Woodrowa, dzentelmena i zamożnego biznesmena z Netherley, jego obecna pozycja jest doskonała. Pan Fitzalan to człowiek wielce wpływowy, jest właścicielem dużego majątku i odnosi sukcesy w biznesie, jak słyszałam, ma też piękny dom zbudowany przez dziadka. Powiadają, że to wspaniała rezydencja. Jestem pewna, że decydując się na to małżeństwo, wiodłabyś całkiem przyjemne życie.

- Być może. Pod warunkiem, że się na nie zdecyduję. Chociaż wygląda na to, że nie mam wielkiego wyboru - powiedziało ostro, jak nigdy nie zwracała się do babki.

Budząca respekt dama skarciła ją wzrokiem, tym razem zrezygnowała jednak z reprimendy, uznała bowiem rozdrażnienie Eve za usprawiedliwione. To był dla jej wnuczki naprawdę ciężki dzień.

Ta zaś mówiła dalej:

- Poza tym nikt nie bierze pod uwagę, że być może pan Fitzalan wcale nie chce mnie za żonę, bo uznał, że kopalnia nie jest tego warta. Gdyby tak się stało, to nie sądzę, by szybko znalazł się ktoś na jego miejsce. Moja okrojona scheda raczej nie zwabi roju konkurentów.

- Nonsens. Dwa tysiące funtów rocznie to dla wielu młodych mężczyzn prawdziwa fortuna. Zapominasz też, Eve, że po mojej śmierci staniesz się naprawdę zamożna, choć nie aż tak, jak bym chciała, bo mam także innych spadkobierców. Nie nastąpi to jednak zbyt szybko, bo zamierzam żyć jeszcze sporo lat. Mimo to radzę ci poważnie zastanowić się nad małżeństwem z panem Fitzalanem. Wbrew temu, co przed chwilą powiedziałaś, on poświęci wszystko, żeby tylko Kopalnia Atwoodzką wróciła do jego rodziny, więc łatwo przystanie na małżeństwo z tobą.

Jestem pewna, że gdy podejmiesz właściwą decyzję i nie powtórzysz przedstawienia, jakie dziś dałaś, oskarżając tego biedaka o spiskowanie w celu wyłudzenia kopalni od biednego Johna, to wszystko potoczy się doskonale.

- Nie powiedziałam panu Fitzalanowi nic, na co by nie zasługiwał.

- Twoje opinie, Eve, jakie by nie były, są niesprawiedliwe i bezpodstawne. Powinnaś mieć więcej rozumu i nie słuchać głupich plotek. Twój wybuch był po prostu skandaliczny i możesz być pewna, że w innych okolicznościach zganiałabym cię surowo.

- Ale ja go nie Kocham... i wątpię, czy mogłabym kiedykolwiek pokochać... sądząc po tym, co o nim się mówi. - I po tym, co sama o nim wiem, ze wstydem dodała w myślach.

- Miłość? A co ma do tego miłość? Opowiadasz bzdury - obruszyła się lady Pemberton. - A jeżeli już tak koniecznie pragniesz miłości, to przyjdzie ona wraz z małżeństwem. Obecnie młodzi ludzie mają znacznie więcej swobody niż za moich czasów, kiedy to małżeństwa aranżowało się dla dobra rodziny. I w naszej sferze nadal powinno to obowiązywać. Ślub ma zapewnić korzyść, bogactwo i wysoki status małżonkom oraz ich rodom. Jeżeli my, Brytyjczycy, nadal mamy pozostać silnym narodem, wybitne rodziny, w tym i nasza, muszą podtrzymywać tę tradycję.

- Tak było, ale już nie jest, babciu! Twoje czasy przeminęły. Wszystko uległo zmianie! - Gdyby nie rozgoryczenie i frustracja, Eve nigdy nie pozwoliłaby sobie na taki wybuch wobec lady Pemberton.

- Ale wcale nie na lepsze - stwierdziła surowo. - Powinnaś, młoda panno, zostawić emocje na boku i skorzystać z mojej rady. Małżeństwo to zbyt poważna sprawa, żeby decydować o nim pod wpływem czegoś tak błahego jak romantyczna miłość. Nazwij to postawą staromodną, jeśli musisz, ale jestem przekonana, że dzieci powinny w sprawach małżeństwa zdawać się na rodziców. Co prawda, twój ojciec powinien był w odpowiednim czasie poznać cię z panem Fitzalanem, wtedy uniknęlibyśmy tego całego zamieszania.

- Tyle że ja wcale nie chciałam go poznać.

- Twoi rodzice, Eve, bardzo ci pobrażali. Pozwalali nawet, byś uganiała się konno po okolicy niby jakaś chłopczyca. Mimo to jesteś dobrą dziewczyną - dodała miękko, wiedziała bowiem, w jak okropnym stanie ducha jest jej ukochana wnuczka. - Ciesz się, że wyrosłaś na rozsądną młodą damę, znacznie rozsądniejszą i bardziej dystygowaną niż twoje kuzynki, córki Shony i Mary.

- Dziękuję, babciu. - Eve wiedziała, że w jej ustach była to nie lada pochwała.

- Posłuchaj, Eve. - Babcia spojrzała na nią uważnie. - Pewnie sądzisz, że jestem dla ciebie surowa, a może nawet okrutna, gdy proszę, abyś poważnie zastanowiła się nad małżeństwem z panem Fitzalanem. Zapewniam cię jednak, że przyświeca mi ta sama intencja co twojemu ojcu: dbamy o twoją przyszłość. Jeżeli się uprzesz i odmówisz, to poza roczną rentą oraz biżuterią matki i innymi drobiazgami, które wcale nie stanowią fortuny, stracisz wszystko na rzecz Geralda, tego niepoprawnego marnotrawcy. Nie możesz odrzucić tej szansy, musisz zachować część majątku po biednym Johnie, gdyż ta część, moim zdaniem, jest czymś najlepszym, co mógł ci zostawić.

- Ależ babciu, jak możesz tak mówić! Ten zapis o kopalni jest... jest taki okrutny! - znów wybuchnęła Eve. - Jeśli go odrzucę, kopalnię zniszczy Gerald, by więc ją ratować, muszę oddać się w niewolę człowiekowi, którego nie znam, nie szanuję... i nie cierpię! - zakończyła z płaczącą emfazą.

- Och, drogie dziecko, mówiłam ci już, że powinnaś odrzucić emocje i zacząć myśleć... - Znana z surowości lady Pemberton spojrzała na nią z wielką łagodnością. - Pochodzę z Cumbrii i nie znam się na górnictwie, wiem jednak, że w tej okolicy stanowi ono fundament życia

społecznego. Wiem także, że węgiel jest jednym z najważniejszych i przynoszących największe zyski towarów w Anglii. Jego znaczenie gospodarcze jest ogromne. Sama widziałam, jak tworzono kopalnie w Dolinie Atwoodzkiej, a twój ojciec twierdził, że Kopalnia Atwoodzką nie ma sobie równej. Handel rozwija się bardzo szybko, a badania wykazały, że istnieją jeszcze ogromne zasoby węgla. Moja droga, mogłabym powiedzieć o społecznej misji, jaka spada na dziedziczkę tak nadzwyczajnego dobra, mogłabym wspomnieć o obowiązkach wobec narodu, jakie dźwiga na sobie szlachecka córka, ale powiem inaczej: byłabyś idiotką, gdybyś wypuściła to wszystko z rąk.

Eve po raz pierwszy w życiu poczuła dla babki szczerą podziw. To, że się o nią troszczyła, było czymś oczywistym, ale tak rozległe spojrzenie na całą sprawę bardzo jej zaimponowało.

Wprawdzie nie usłyszała nic nowego, ale żeby staromodna dama tak dobrze orientowała się w ekonomii...

Nie zmieniało to jednak istoty rzeczy.

- To brzmi jak ultimatum, babciu, jak zło konieczne.

- Nie, nie. Nie to mam na myśli. Po prostu musisz to rozważyć. - Lady Pemberton mocno stuknęła łaską o podłogę. - Niech Gerald sobie odgrywa pana na włościach, ty jednak musisz objąć kontrolę nad kopalnią.

- Wraz z panem Fitzalanem oczywiście.

- Tak. Wiesz, że ojciec nie postawiłby takich warunków, gdyby nie leżało mu na sercu twoje dobro. Zawsze chciał, żebyście się z panem Fitzalanem pobrali, wymyślił więc sposób, by do tego doprowadzić. Eve, weź to, co ci się oferuje, i nie zadawaj pytań. Gdyby sprawy przedstawiały się inaczej, ojciec z pewnością pozwoliłby, żebyś poślubiła kogoś, kogo sama wybierzesz. Wiedział jednak, że wkrótce go zabraknie, by cię więc chronić przed cynizmem i okrucieństwem tego świata, zrobił to, co uznał za najlepsze dla ciebie.

Eve wciąż czuła w sobie bunt, jednak spojrzawszy na wszystko chłodnym okiem, doszła do wniosku, że babka miała rację. Jeżeli chce zachować dumę i majątek, który jej się z urodzenia należy, to nie ma wyboru.

- Obiecuję pomyśleć o tym poważnie, babciu. W tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej.

Babka poszła spać, Eve natomiast udała się do gabinetu ojca, by napisać listy do osób, które nie mogły przybyć na pogrzeb. Po chwili jednak w pokoju zjawił się Gerald. Eve nie miała wyboru, musiała z nim rozmawiać, choć w jego oczach czaiła się kpina, a w głosie pożądanie.

Wzdrygnęła się na jego widok, bo bardzo go nie lubiła. Sama myśl o nim przejmowała ją dreszczem.

On natomiast, choć był tego świadom, zdawał się tym nie przejmować. Po prostu to ignorował. Na widok Eve na jego wargach pojawił się krzywy uśmieszek. Patrzył jednak wzrokiem twardym, a w chwilę później jego czujne oczy spoczęły pożądliwie na miękkich wzniesieniach jej piersi. Wpatrywał się w nie beczelnie. Eve zmierzyła go lodowatym spojrzeniem. Od czasu jego ostatniej wizyty w Burntwood Hall wiedziała, że go pociąga, przez co poczuła do niego jeszcze większą odrazę.

Siedząc w dużym fotelu przed kominkiem, Gerald założył niedbałe ręce na gwałtownie ostatnio rosnącym brzuchu i leniwie wyciągnął przed siebie nogi, a w jego spojrzeniu pojawił się zimny błysk wyrachowania.

- Wybacz, Eve, że zakłócam twoją prywatność, ale przed powrotem do domu... a wyjeżdżam jutro... chciałem z tobą pomówić. Wprawdzie niedługo tu wrócę i zamieszkać na stałe, pragnę ci jednak powiedzieć, że Burntwood Hall nadal jest twoim domem. Możesz tu przebywać jak długo zechcesz. Nie zamierzam cię stąd wyrzucić. - Mówił jak ktoś prawdziwie współczujący i hojny.

Oczywiście, prawda była inna. Już jakiś czas temu Gerald dostrzegł w Eve piękną i godną pożądaną kobietę. Obmyślił sobie, że dostęp do niej będzie łatwiejszy, jeżeli ona zamieszka w Burntwood Hall. A co ważniejsze, miała posłużyć jako narzędzie do pozyskania Kopalni Atwoodzkiej, która trafiłaby w jego ręce, gdyby Eve nie wyszła za Marcusa Fitzalana. Obecne położenie Geralda było wprost okropne. Po przegranej w karty i pożyczeniu ogromnej sumy trzydziestu pięciu tysięcy funtów od ludzi, którzy wiedzieli, że jest spadkobiercą sir Johna Somerville'a, nie był w stanie spłacić długu przed otrzymaniem spadku. Lichwiarze, którzy dowiedzieli się o śmierci sir Johna, zaczęli wywierać na niego potężną presję i Gerald musiał jak najszybciej zdobyć pieniądze, bo w innym wypadku groziły mu straszliwe konsekwencje: bezwzględna licytacja całego dobytku, totalna kompromitacja, wyrzucenie z towarzystwa i rzecz najstraszliwsza - więzienie dla dłużników. Wszystko to doprowadzało go do rozpaczki. Jego wierzyciele, prawdziwi specjaliści w swojej dziedzinie, choć wyglądali elegancko i kulturalnie, znani byli z okrucieństwa i bezwzględności. Niejeden oporny dłużnik skończył w Tamizie z kamieniem u szyi lub zasztyletowany w ponurym londyńskim zaułku, a wieści o takich zdarzeniach szybko dyscyplinowały innych.

Gerald wiedział, że dzięki dochodom z Kopalni Atwoodzkiej mógł zyskać odpowiednie kwoty na spłatę lichwiarzy, dlatego na wieść o śmierci sir Johna doznał ogromnej ulgi. Niestety, testament zniweczył jego nadzieje. Miał wprowadzić inne wyjście, bo mógł sprzedać po dobrej cenie część odziedziczonej ziemi, ale wówczas z bogatego dżentelmena przemieniłby się w drobnego hodowcę. A to zupełnie nie odpowiadało jego wybujałym ambicjom.

Zatem jego los zależał od Eve. Gerald liczył, że przeważy jej miłość do Burntwood Hall i z tego powodu nie zastosuje się do życzenia ojca i nie poślubi Marcusa Fitzalana. Jeżeli jednak będzie chciała zdecydować się na to małżeństwo, to istnieją jeszcze inne sposoby, by mu zapobiec.

Gerald tak rozpaczliwie pragnął kopalni, że nie zamierzał cofnąć się przed niczym.

- To bardzo hojne z twojej strony, Geraldzie. - Spojrzała na niego zimno, a świadomość utraty wszystkiego, co znała i kochała, stała się jeszcze bardziej gorzka.

Mając się na baczności, czekała, co Gerald powie dalej, wzdrygając się przy tym pod jego spojrzeniem, natrętnym, wręcz bezczelnym, jakby Gerald szykował się do podboju. Choć nie pokazała tego po sobie, po prostu zaczęła się bać.

- Muszę ci powiedzieć, że nie zamierzam wypuścić z rąk Kopalni Atwoodzkiej - z wielką pewnością oznajmił Gerald. - Spodziewałem się, że będzie ona stanowiła część mojej schedy.

- Mój ojciec, a przedtem ojciec i dziadek pana Fitzalana, pracowali zbyt ciężko, doprowadzając kopalnię do rozkwitu, żeby teraz, w tak głupi sposób, oddać ją w ręce kogoś, kto nie doceni jej wartości. Ty, Geraldzie, jesteś znany z tego, że wydajesz więcej, niż wynoszą twoje dochody. Mam jednak nadzieję, że docenisz ten dom i będziesz o niego dbał lepiej, niż dbasz o własny, który, jak rozumiem, ma wkrótce, z powodu twoich długów, zostać sprzedany na licytacji.

Oczy Geralda zwęziły się.

- Nie ma strachu, Eve. Docenię ten dom. I wiem doskonale, ile jest warta Kopalnia Atwoodzką.

- No tak. Tego jestem pewna. Znasz jej wartość co do pensa. Krążą plotki, że jesteś bardzo zadłużony i potrzebujesz ogromnych pieniędzy na spłacenie długu zaciągniętego po przegranej w karty - stwierdziła zjadliwie.

Gerald zmarszczył gniewnie brwi.

- Skąd o tym wiesz?

- Wiem o tobie bardzo dużo.

Gerald wzruszył ramionami. Domyślił się, że źródłem tych informacji był Marcus Fitzalan, którego niech piekło pochłonie.

- Nie zaprzeczam, bo w istocie nie mam ku temu powodu.

- Spodziewałam się, że nie zaprzeczysz.

Gerald zignorował jej sarkazm, wiedział bowiem, że okazując gniew, nic nie zyska.

- Powiedz mi, Eve, czy zdecydowałaś już, co zrobisz? Czy poślubisz Fitzalana?

- Nie, jeszcze nie zdecydowałam. A kiedy zdecyduję, to on, a nie ty, będzie pierwszym, który pozna moją decyzję.

- Zapewniam cię, że wcale nie musisz za niego wychodzić. Widziałem, jak rozgniewał cię testament ojca i że wcale nie spodobała ci się sugestia zawarcia małżeństwa z Fitzalanem.

Rozumiem twój gniew. Pamiętam, jak przed trzema laty ten człowiek omal cię nie zniszczył. Nic dziwnego, że wciąż się nie znosicie... Wybacz mi, Eve, ale Marcus Fitzalan jest nudziarzem i całkiem nie pasuje do takiej pełnej życia i pięknej istoty. Bo muszę wyznać, że wyrosłaś na bardzo piękną kobietę.

Wstał i zbliżył się powoli do Eve. Na jego ustach igrał lubieżny uśmiezek, a w oczach pojawił się nagły błysk.

Eve zignorowała komplement i także wstała. Odsunęła się instynktownie, by nie znaleźć się zbyt blisko Geralda. Myśl o tym napawała ją obrzydzeniem. Gdybyż mogła traktować go z lodowatą obojętnością! Jednak jemu zawsze jakoś udawało się ją podejść. Teraz, wpatrując się w nią, lekko się uśmiechnął.

- Wiesz, istnieje inne rozwiązanie.

- O? A jakie?

- Mogłabyś zostać tutaj i zająć miejsce swojej matki. Jego bezczelność i uśmiezek doprowadziły Eve do pełnej pogardy pasji.

- Co takiego?! Ja miałabym wyjść za ciebie?!

- A dlaczego by nie? Zapewniam cię, że bardziej docenię twoje wdzięki niż ten cały Fitzalan.

- Pochlebiasz sobie, skoro tak myślisz - odrzekła sucho, choć wprost dławiała się z wielkiego obrzydzenia.

- A co więcej, jeżeli za mnie wyjdiesz, postaram się, żeby Kopalnia Atwoodzką pozostała w naszych rękach, czyli tam, gdzie jej miejsce.

- Jeżeli przypominasz sobie treść testamentu mojego ojca, Geraldzie, to wiesz, że nie musisz zenić się ze mną, żeby dostać kopalnię. Wystarczy, że ja nie wyjdę za pana Fitzalana.

- Oczywiście wiem o tym, wiem jednak również, jak wiele znaczy dla ciebie Burntwood Hall, a dzięki małżeństwu ze mną mogłabyś tu pozostać na całe życie. Z pewnością moja propozycja jest dla ciebie daleko bardziej odpowiednia niż małżeństwo z Marcusem Fitzalanem. W końcu oboje zyskalibyśmy na tym, nie mówiąc, oczywiście, o wielkiej przyjemności, jaką bym odczuwał, mając cię tutaj. - Spojrzał na nią lubieżnie.

Na takie dictum zabrakło jej słów. W tonie Geralda brzmiała nuta tryumfu, był bowiem pewien, że Eve wyrazi zgodę, wskutek czego on wyrwie Marcusowi Fitzalanowi kopalnię wprost spod jego aroganckiego nosa. Eve przez ułamek sekundy czuła ogromną pokusę, by powiedzieć „tak”. Mieszkałaby do końca swych dni w Burntwood Hall... Zaraz jednak przyszło opamiętanie. Gerald był człowiekiem podłym i marnym, a także, jak każdy podlec, ogromnie niebezpiecznym. Poza tym czuła do niego obrzydzenie. Przemieniłaby swoje życie w koszmar, gdyby wyszła za kogoś takiego.

Podniosła głowę, spiorunowała go wzrokiem i stwierdziła twardo:

- Mylisz się. Nie wyszłabym za ciebie, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na ziemi.

- Zastanawiam się, dlaczego tak nisko mnie cenisz, Eve.

- Bo od dawna dobrze cię znam.

- No, no - rzucił poufale. - Zawsze cię podziwiałem za twój rozsądek, Eve. Dlatego na pewno się zgodzisz ze mną, że moja propozycja mogłaby znakomicie rozwiązać wszystkie problemy, zarówno twoje, jak i moje.

- To ty masz problemy, Geraldzie. Nie ja.

- Mimo to jest to wielkoduszny gest z mojej strony.

- Wielkoduszny! Cóż to za tupet! Czy bierzesz mnie za idiotkę? Twoja wielkoduszność polega na tym, że proponując mi małżeństwo, stosujesz jedynie zręczny chwyt, by zapobiec mojemu związkowi z panem Fitzalanem.

- Przyznaję, że pragnę mu zapobiec, ale zapewniam cię, że proponując ci małżeństwo, myślę tylko o tobie.

Zbliżył się i ujął jej dłoń, jednak ona ją wyrwała. Oczy Geralda zwężyły się groźnie.

- Nie dotykaj mnie! - wybuchnęła Eve. Była równie zagniewana, co przestraszona. - Nie dotykaj mnie, albo zawołam służbę! Wyjdź stąd, Geraldzie!

Westchnął, a potem przemówił z przerażającą wprost łagodnością:

- Okropna z ciebie złoźnica, Eve. Ale to właśnie lubię u kobiet. Jesteś taka ognista, taka godna podziwu. Ładnie ci z tym gniewem. Oczy ci błyszczą, a piersi cudowne falują. Jesteś jak nieujeżdżony koń. Ale pewnego dnia to zmienię.

Była to nie tyle groźba, ile stwierdzenie faktu. W oczach Geralda płonął ogień, w głosie wzbierała namiętność. Eve wiedziała już na pewno, że powinna się bać.

- Już dość powiedziałaś, Geraldzie. A teraz proszę cię, odejdz. - Jej oczy też płonęły, tyle że nienawiścią.

Gdy to zrozumiał, odmienił się z miejsca. Z okropnym

grymasem na twarzy mocno chwycił Eve za rękę i powiedział cicho, ze złością:

- Pójdę, Eve, ale niedługo wrócę i zajmę w tym domu miejsce twojego ojca.

- Ty?! Ani w połowie mu nie dorównujesz!

- W twoich oczach może nie. Ale wiedz - mówił ze śmiertelną powagą - że jestem z tych, których zwie się zdobywcami. Bez względu na przeciwności, muszę wygrywać. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś nie wyszła za Marcusa Fitzalana, a kopalnia przeszła w moje ręce.

- Nawet jeżeli będziesz musiał mnie zabić? - Gwałtownie wrywała dłoń.

- Tak, o ile okaże się to konieczne. Nic nie stanie mi na drodze, Eve. Kiedy ogarnie mnie gniew, potrafię być straszny i radzę ci pamiętać o tym. Nie bądź głupia, Eve. Przemyśl to, co powiedziałem, bo jeżeli nie zastosujesz się do moich życzeń, gorzko tego pożałujesz.

Jej twarz pobladła śmiertelnie, zrozumiała bowiem, że nie były to czcze pogroźki

wypowiedziane pod wpływem impulsu.

- Nie odważysz się.

- A dlaczego by nie? Z drugiej strony, jeśli postąpisz rozsądnie, a mam nadzieję, że tak będzie, to obiecuję, że nie stanie ci się żadna krzywda.

- Jesteś draniem. Nienawidzę cię!

- Tak, wiem, ale może i dobrze, bo u niektórych kobiet nienawiść jest bardziej pociągająca niż miłość... Lecz mniejsza o to. Eve, możesz być pewna, że przejmę Kopalnię Atwoodzką.

Odprowadziła go wzrokiem. Czują lodowate tchnienie strachu. Wiedziała, że Gerald, by zdobyć Kopalnię Atwoodzką, nie cofnie się przed żadną podłością i okrucieństwem.

Jednak z drugiej strony, czy naprawdę odważy się ją skrzywdzić? Byli spokrewnieni, znał ją od urodzenia, odziedziczył majątek po jej ojcu...

Gerald wyjechał następnego dnia. Przedtem jednak zawiadomił Eve, że wróci na stałe do Burntwood Hall, gdy tylko uporządkuje swoje sprawy.

Rozdział piąty

Przez trzy tygodnie Marcus zajmował się swoimi kopalniami, lecz górujące nad okolicą zabudowania Kopalni Atwoodzkiej wciąż mu przypominały, jak blisko jest tego, by znów należała do niego - musi tylko ożenić się z córką sir Johna. Kopalnia miała dla niego ogromne znaczenie sentymentalne, choć zarazem, jako rasowy biznesmen, doskonale wiedział, ile jest warta dziś i jak wielki potencjał w niej tkwi na przyszłość. Mówiąc w przenośni, była to nie tyle kopalnia węgla co złota, prawdziwa perła w dynamicznie rozwijającym się zagłębiu węglowym. Marcus był właścicielem i osobiście zarządzał kilkoma innymi kopalniami, które założył jego dziadek, a także wydzierżawił na trzydzieści lat sto akrów sąsiadującej z nimi ziemi i uruchomił dwa nowe szyby. Ponieważ z trudem nadążał za wzrastającym popytem, więc myśląc perspektywicznie, koncentrował się obecnie na rozbudowie innej większej kopalni, znajdującej się w Pendle Hill, trzy mile na północ od Kopalni Atwoodzkiej.

Szczęśliwie jego kopalnie znajdowały się w samym sercu nowo powstałej sieci żeglownych kanałów, co umożliwiała ekspansję na odległe rynki zbytu.

Marcus sam się temu dziwił, ale wciąż rozmyślał o Eve Somerville. Zwrócił na nią baczną uwagę już w dniu pogrzebu. Choć siedziała nieruchomo obok babki, wyczuł jej niepokój i zniecierpliwienie, widział, jak pragnęła, żeby już było po wszystkim. Przypominała mu młodego, spętanego żrebaka, który wyrywa się na wolność.

Podziwiał jej zachowanie. Z pewnością nie należała do kobiet, które mdleją czy płaczą przy ludziach. Przypominała w tym lady Pemberton, swoją imponującą babkę. Gdy jednak zobaczył ją później, płaczącą przy grobie ojca, drgnęła w nim czuła struna.

Po raz pierwszy - pomimo całej sympatii i szacunku, jakie żywił dla sir Johna - zbudził się w nim gniew na zmarłego. A także na siebie - za to, że nie potrafi zrezygnować z tego, co mu zostało zaoferowane, być może za cenę szczęścia Eve.

Zarzucał sobie, że chce ją niecnie wykorzystać, ożenić się z nią, by zdobyć kopalnię. Kiedy jednak przypomniawszy sobie, jaka jest śliczna i pełna temperamentu, młoda i delikatna, a przy tym dojrzała do tego, żeby ktoś ją wtajemniczył w sekrety kobiecości, uśmiechnął się. Instykt podpowiadał mu bowiem, że z czasem oboje z radością zaakceptują to, co zaaranżował dla nich sir John.

Ciekawa, jak wygląda jej ewentualna scheda - ta, którą miałyby odziedziczyć, gdyby wyszła za pana Fitzalana - miesiąc po pogrzebie ojca, w piękne, słoneczne popołudnie, starając się nie myśleć o Geraldzie, Eve, w towarzystwie pokojówki, udała się do kopalni.

Jednak zapomnieć o Geraldzie nie było łatwo, bo jego obraz wciąż powracał, spędzając Eve sen z oczu. Zadawała sobie pytanie, jak daleko zdolny jest się posunąć dla zdobycia kopalni. Od tamtej przerażającej rozmowy była zdecydowana opuścić Burntwood Hall, zanim jej kuzyn tu się sprowadzi. Postanowiła też zrobić wszystko, żeby w swoich rękach utrzymać Kopalnię Atwoodzką.

Jadąc w jej stronę, stopniowo otrząsała się z przygnębienia. Zbocze pagórka, który ukazał się jej oczom, pokryte było czarnym żużlem i łupkiem, a u jego stóp znajdował się zbiornik wypełniony gęstą czarną mazią, błyszczącą w słońcu niby szkło.

Kopalnia wznosiła się nad ciemnym kanałem ciągnącym się wzdłuż dna doliny. Zbudował go ojciec, by ograniczyć wysokie koszty transportu węgla do głównych kanałów żeglownych.

Po drugiej stronie kanału znajdowało się, spowite w szarym dymie, miasteczko Atwood, czy może nawet już miasto, bo dzięki koniunkturze na węgiel w ostatnich latach bardzo się powiększyło. Przez jego środek biegła szeroka główna ulica, a na peryferiach rozrastały się osiedla domków, w których mieszkały górnicze rodziny.

Do Kopalni Atwoodzkiej, największej w okolicy, wjeżdżało się przez most obrotowy wiszący nad kanałem. Eve coraz wyraźniej słyszała dzwonienie i pojękiwanie pompy wyciągającej wodę z szybu, wreszcie dostrzegła drewnianą pompę, a także liny i bloki, służące do wyciągania na powierzchnię pojemników z ręcznie wydobytym urobkiem. Wiedziała, że wszystkim tym porusza maszyna parowa.

Powóz wjechał na kipiący życiem kopalniany dziedziniec. Młodzi robotnicy popychali wagoniki pełne błyszczących grud węgla, ciągnięte po torach przez spocone konie na brzeg kanału, gdzie przeładowywano je na barki. W kopalni pracowali mężczyźni, kobiety i młodzi chłopcy. Kobiety nie były zatrudniane pod ziemią - wraz z niektórymi chłopcami wykonywały swoje prace w szopach.

Zajeżdżający na dziedziniec powóz zwrócił uwagę robotników. Zatrzymał się obok wspaniałego kasztanowatej maści konia przywiązanego na zewnątrz szopy służącej za kantor. Eve miała nadzieję zastać tu Matthew, młodszego brata Geralda. Matthew został zatrudniony przez jej ojca na stanowisku agenta handlowego kopalni.

Poleciwszy pokojówce zostać z powozie, wysiadła z niego w chwili, gdy jakiś młody urzędnik - nerwowo podniecony niespodziewanym przybyciem tak ważnego gościa - wyszedł z kantoru. Eve uśmiechnęła się do niego.

- Przyjechałam zobaczyć się z panem Somervilleem. Czy mógłby mu pan powiedzieć, że tu jestem?

- Przykro mi, panno Somerville, ale pan Somerville i kierownik pojechali do Netherley, mieli tam bowiem coś do załatwienia.

- Rozumiem... No cóż, to moja wina. Powinnam była go zawiadomić o mojej wizycie. Przyjadę kiedy indziej.

Gdy Eve ruszyła w stronę powozu, jej wzrok przyciągnął wysoki, ubrany na czarno dżentelmen, który właśnie wychodził z ceglanego budynku maszynowni. Rozpoznawszy Marcusa Fitzalana, które nie miał powodu tu przebywać, jej puls gwałtownie przyspieszył, poczuła dziwny niepokój.

Marcus na jej widok uśmiechnął się uprzejmie i szybko podszedł. Zachowywał się tak, jakby jego obecność w kopalni była rzeczą najbardziej naturalną pod słońcem. Pomyślał, że Eve, pomimo czarnej żałobnej sukienki i czarnego kapelusza, wygląda uroczo.

- Droga panno Somerville, jest pani ostatnią osobą, której się tu spodziewałem.

- Mogłabym to samo powiedzieć o panu, panie Fitzalan. -Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- Zjawił się pan tu chyba przedwcześnie? Czy nie byłoby mądrzej poczekać na moją odpowiedź i dopiero później, że się tak wyrażę, oglądać towar?

Marcus uśmiechnął się w sposób nader irytujący, odprawiając kiwnięciem głowy młodego człowieka, który skwapliwie wycofał się do kantoru.

- Lubię być przygotowany na każdą ewentualność, panno Somerville. A pani? Interesuje panią, jak działa kopalnia węgla?

- Jeżeli istnieje taka ewentualność, że mogę zostać właścicielką jej połowy, panie Fitzalan, to zamierzam wiedzieć jak najwięcej. By chronić moją schedę, muszę rozumieć, jak funkcjonuje kopalnia. O tym przemyśle wiem tylko tyle, co usłyszałam przy różnych okazjach od ojca, czyli bardzo mało, zważywszy, że właśnie z górnictwa może pochodzić większość moich dochodów.

- I nagle postanowiła pani uzupełnić swoją wiedzę?

- Właśnie. A fakt, że jestem kobietą, o niczym nie stanowi. Mam nadzieję, panie Fitzalan, że akurat pan nie ulega charakterystycznemu dla swej płci złudzeniu, że kobiety nie mają głowy do interesów i jako istoty pozbawione własnego zdania powinny z pokorą poddać się władzy mężczyźni, a w tym szczególnym przypadku - że nie ma dla nich miejsca w kopalni.

- Ależ Boże broń! Wcale tak nie myślę. - Marcus z rozbawieniem spojrzał jej w oczy. - A gdybym nawet tak sądził, nie odważyłbym się tego powiedzieć. Lubię kobiety, które otwarcie mówią, co myślą, panno Somerville, i widzę, że pani jest nie tylko piękna, ale i odważna. Eve zarumieniła się, zaskoczona tak miłym słowem. Zaraz jednak się opanowała i rzuciła z ironią:

- Dziękuję. Komplement z pańskich ust należy docenić szczególnie. Ale pochlebstwem nie zdobędzie pan kopalni, panie Fitzalan. Nie tak łatwo skruszyć mój opór.

- Czyżby? - spytał miękko. - Lepiej od innych wiem, jaka bywa pani podatna, jaka słaba, jak łatwo czułą perswazją skruszyć ten tak zachwalany przez panią opór.

Nie krył zadowolenia, że jego słowa wprawiły Eve w zmieszanie. Widział, jak oblała się rumieńcem wstydu i złości.

- Proszę się nie obawiać - powiedział z tłumionym śmiechem. - Pani tajemnica jest bezpieczna. Na pewno jej nie ujawnię. Obiecuję też, że moje niedopuszczalne zachowanie sprzed trzech lat się nie powtórzy. Nie uwiodę pani, skłaniając w ten sposób do małżeństwa.

Świadoma, że obserwuje ich kilka par ciekawskich oczu, Eve usiłowała nie stracić panowania nad sobą. Rozdrażnił ją jednak nieprzystający dżentelmenowi sposób, w jaki Marcus Fitzalan się do niej zwracał, złościło, że tak lekko i wielce irytująco mówił o rzeczach, które ją zawstydzają.

- Proszę pana, fakt, że pan wspomina o tym, co zaszło między nami przed laty, jest dla mnie ogromnie obraźliwy. I nic, co pan teraz mówi, nie usprawiedliwia pańskiego ówczesnego postępowania. Jednak myli się pan, jeżeli sądzi, że jestem wciąż tym samym niedojrzałym dziewczętkiem. Zmieniłam się i niełatwo mnie teraz uwieść aroganckiemu, zarozumiałemu mężczyźnie. Oświadczam panu również, że nic, co pan powie, nie wpłynie na moją decyzję w sprawie kopalni i mojej przyszłości.

Eve z dużą przykrością stwierdziła, że po tych słowach Marcus patrzy na nią w sposób niewskazujący na skruchę ani wyrzuty sumienia.

- Nie ma potrzeby tak się gorączkować, panno Somerville. - Znów uśmiechnął się irytująco. - Ja pani wierzę. Na szczęście mam czułe serce i jestem świadomy, jak trudna jest to dla pani decyzja. Bardzo jednak proszę, niech pani nie zwleka z nią zbyt długo.

- Nie lubi pan czekać, prawda, panie Fitzalan?

- W istocie.

- Więc proszę mi oszczędzić tych uwag o wrażliwym sercu. Więcej współczucia znalazłabym w grudzie węgla - stwierdziła lodowato. - Czy zobaczył już pan na terenie kopalni wszystko, co chciał pan zobaczyć? - Ruszyła w stronę powozu, Marcus za nią.

- Daleki jestem od tego. Niestety, nie ma kierownika. Zatrzymała się.

- Pojechał do Netherley z panem Matthew Somerville'em, agentem handlowym kopalni.

Matthew jest młodszym bratem Geralda. - Zauważyła, że Marcus skrzywił się. - Bez względu na to, co pan myśli o Geraldzie, mogę pana zapewnić, że Matthew to bardzo przyzwoity młody człowiek, rozsądny i uczciwy. Niestety, urodził się jako młodszy syn, co nie pozwala mu dziedziczyć majątku. Dozna pan ulgi, gdy powiem, że jest zupełnie inny niż Gerald. - Pomyślała, jak zareagowałby Marcus, gdyby dowiedział się, co zaszło między nią a Geraldem w dniu pogrzebu, gdyby usłyszał o groźbach, o próbie zastraszenia i obleśnych aluzjach.

- Miło mi to słyszeć. Kopia Geralda byłaby wprost nie do wytrzymania. Pani ojciec wspominał mi o tym młodym człowieku, ale dotąd go nie poznałem.
- Mój ojciec bardzo go lubił. Matthew zawsze interesował się górnictwem, a ojciec zamierzał wciągnąć go w interesy. W przeciwieństwie do Geralda, Matthew nauczył się już bardzo wiele. W jego rękach kopalnia byłaby bezpieczna, natomiast Gerald, poza liczeniem zysków, nie garnie się do żadnej innej pracy. - Przerwała na chwilę. - Panie Fitzalan, słyszałam, że otwiera pan nowy szyb w Pendle Hill.
- Tak. Okazało się to równie kosztowne, co czasochłonne, natknąłem się bowiem na poważne problemy.
- A jednak sądzi pan, że warto to kontynuować?
- Zdecydowanie tak, choć jest to przedsięwzięcie wysokiego ryzyka. Wprawdzie próbne wiercenia wypadły nadzwyczaj obiecująco, jednak by dotrzeć do pokładów, potrzebny będzie bardzo głęboki szyb. Ufam jednak w swoje i moich ludzi doświadczenie, dlatego chcę kontynuować budowę. Wynika to z prostego rachunku. Niedługo będę musiał zamknąć dwie z moich kopalni, bo zasoby są na wyczerpaniu, a w dolinach Aire i Calder popyt na węgiel stale rośnie i muszę go zaspokoić.
- Rozumiem więc, dlaczego uzyskanie Kopalni Atwoodzkiej przyniosłoby panu ogromną korzyść. - Eve nie kryła sarkazmu.
- Interesuję się tą kopalnią bardziej ze względów osobistych niż ekonomicznych, panno Somerville - odrzekł ostro, niemal ze złością.
- A jeżeli uzyska pan do niej prawa własności, to czy mam rozumieć, że nie wprowadzi pan zmian?
- Oczywiście że je wprowadzę, i to natychmiast. Okolica jest dobrze zbadana, więc otworzyłbym nowy szyb, co pociągnęłoby za sobą konieczność zainstalowania nowej pompy do usuwania wody.
- Coś jest nie w porządku z obecną?
- Jest przestarzała, działa zbyt wolno. Kupiłbym nową od panów Boultona i Watta, zresztą instaluję już taką w Pendle Hill. Ponieważ płytkie pokłady są na wyczerpaniu, zamierzam pójść znacznie głębiej, a nowa pompa jest znacznie wydajniejsza.
- Jest pan ambitny, panie Fitzalan.
- Owszem, jestem. Wiem też, że rozbudowa Kopalni Atwoodzkiej i otwarcie kopalni w Pendle Hill spowodują rozkwit przemysłu w okolicy. Powstaną huty żelaza i szkła, wytwórnie cegieł i tak dalej, zapewniając stałą pracę wielu ludziom.
- Ale im głębszy szyb, tym praca górników staje się niebezpieczniejsza.
- Każde przedsięwzięcie niesie z sobą ryzyko. Uczynię wszystko, żeby zapewnić pracownikom maksimum bezpieczeństwa. Robimy pod tym względem naprawdę dużo. Pod ziemię pozwalam schodzić tylko tym chłopcom, którzy skończyli osiem lat. Wykonują jedynie najprostsze prace, a fachu uczą się obowiązkowo pod okiem ojca albo kogoś z rodziny.
- Nie wszystkie dzieci mają takie szczęście, panie Fitzalan. Niektóre pozbawione są rodzin i, jak słyszałam, bywają traktowane okropnie.
- Taka, niestety, jest smutna prawda. Jednakże ja zatrudniam pewną liczbę dzieci z Domu Podrzutków w Netherley i zwykle traktowane są dobrze. Naprawdę rzadko się zdarza, by nadzorcy postępowali niewłaściwie. Wtedy sprawą zajmuje się specjalny sąd.
- Jednak wciąż zdarzają się katastrofy. W Kopalni Atwoodzkiej zdarzają się tąpnięcia, pokłady zalewa woda... Słyszał pan też na pewno o okropnej w skutkach eksplozji gazu. Węgiel jest

cennym surowcem, ale górnicy często płacą za niego życiem albo okropnymi obrażeniami, przez co nie mogą pracować i utrzymywać swoich rodzin.

- Takie tragedie zdarzają się we wszystkich kopalniach. Nie sposób ich uniknąć, choć można zmniejszyć ich ilość, co też czynimy. Poza tym, podobnie jak inni właściciele kopalń, pomagamy naszym poszkodowanym. Tak samo postępował pani ojciec, panno Somerville. Na przykład regularnie wpłacam składki na Szpital Ogólny w Leeds, dzięki czemu ofiarom wypadków górniczych udziela się natychmiastowej pomocy.

- A czy w pana kopalniach, panie Fitzalan, zatrudnione są kobiety?

- Nie, i nigdy nie będą - odrzekł stanowczo, uważnie przy tym spoglądając na Eve. - O ile wiem, w żadnej z kopalni w rejonie West Riding nie zatrudnia się kobiet pod ziemią. Uważam, że byłoby czymś nad wyraz okropnym, gdyby pracowały wraz z mężczyznami w takich warunkach. Eve nie wątpiła w jego wiedzę na temat górnictwa, a jego szczerą troską o pracowników sprawiła, że spojrzała na niego cieplej. To, że - inaczej niż inni właściciele kopalń - nie chciał zatrudniać pod ziemią bardzo małych dzieci i kobiet, wzbudziło jej podziw i sympatię.

Gdy znów ruszyła w stronę powozu, na powierzchnię wyjechała klatka z górnikami, którzy pracowali pod ziemią od szóstej rano do czwartej po południu. Zatrzymała się i popatrzyła z litością na mężczyzn i chłopców ubranych w brudne łachmany.

Czarni i znużeni szli z opuszczonymi głowami, nie rozglądając się na boki, jak ludzie, którzy dotarli do kresu fizycznej wytrzymałości. Niektórzy byli przygarbieni od pracy w ciemnych, dusznych i pełnych pyłu węglowego korytarzach, z których jedne były bardzo strome, a inne tak wąskie, że chłopcy musieli w nich pełzać na czworakach, taszcząc kosze załadowane po brzegi urobkiem.

Górnicy, z powodu pyłu, przedwcześnie się starzeli. Po latach pracy ich plecy pochylały się, klatki piersiowe zapadały, na szarych twarzach nie gościł uśmiech. Wielu z nich szarpał ciężki kaszel, wielu też kończyło szybko w grobie z powodu chorób płuc lub wypadków.

- Jak oni to wytrzymują? - zapytała cicho Eve.

- Sam się nad tym często zastanawiam. - Marcus spojrzał na górników.

- Ci ludzie żyją w takim świecie... żyją życiem, które jest tak różne od mojego, że nie mogę go sobie wyobrazić.

- Trzeba podziwiać ich odwagę i wytrzymałość, bo mało otrzymują w zamian za swoją harówkę. Jednak oni żyją z tej pracy. Nie potrafią robić nic innego.

Eve westchnęła ciężko.

- Życzę panu samych sukcesów w Pendle Hill, panie Fitzalan. A co się stanie z tą kopalnią, zobaczymy.

- Nie jest to jednak sprawa, którą można potraktować lekko.

Podeszli do powozu, w którym drzemała pokojówka.

- Już mówiłam, że z całą powagą ją rozważę. Wolałabym jednak, zastanawiając się nad kopalnią, nie musieć zastanawiać się nad swoim stosunkiem do pana. Do widzenia, panie Fitzalan.

Przebywając w cichym i spokojnym domu, Eve czuła wewnętrzną pustkę, miała też wrażenie, że, niczym niekończąca się droga, rozpościera się przed nią samotność. Nie była przyzwyczajona do cierpienia i bólu, które teraz jednak stały się jej udziałem.

Pewnego pięknego, słonecznego poranka, kiedy babka jeszcze spała, Eve, ogarnięta wewnętrznym niepokojem i pragnąc trochę wytchnienia, kazała osiodłać ulubionego konia i po raz pierwszy od śmierci ojca poczuła samotnie w stronę wzgórz.

Znała je dobrze, nieraz bowiem wraz z ojcem zażywała tu konnych przejażdżek. Posuwając się wśród porannej mgły, czuła, że po raz ostatni jeździ po terenie posiadłości, którą wkrótce będzie musiała opuścić.

Pędziła na białej jak mleko klaczy, dosiadając jej w sposób zupełnie nieprzystający damie - w obcisłych bryczesach i po męsku.

Jeździła tak godzinę, kluczyła między drzewami, przemierzała lasy porastające zbocza pagórków, poganiając konia i ciesząc się jego siłą i szybkością. Zatrzymała się wreszcie na trawiastym wzgórzu, by napawać się przez chwilę rozległym widokiem i dać odpocząć klaczy. Upał wzrastał, pokryte kurzem drzewa omdlewały w słonecznym żarze.

A potem ruszyła w stronę ścieżki flisackiej biegnącej wzdłuż kanału. Jechała nią przez jakiś czas, oddalając się od miasta, mijając barki wyładowane węglem ciągnięte przez zmęczone konie i nie spotykając żywej duszy. Dotarła wreszcie do Gospody Flisaków, położonej po drugiej stronie kanału. Była to popularna wśród górników piwiarnia, do której przychodzili po ciężkiej pracy. Przekonawszy się, że powietrze nad wodą jest ciężkie i wilgotne, Eve ruszyła z powrotem w stronę wzgórz.

Była tak pogrążona w myślach, że nie zauważyła, kiedy znalazła się w sąsiedztwie Pendle Hill, gdzie Marcus Fitzalan uruchamiał właśnie nowy szyb i instalował nowoczesną maszynę parową. Eve zatrzymała się na polanie, gdzie jej koń mógł napić się wody ze strumienia. Mrużąc oczy w jaskrawym słońcu, spojrzała na nowo postawione zabudowania kopalni znajdujące się pięćdziesiąt jardów od niej. Dostrzegła kilku mężczyzn oddalających się pospiesznie od nowo wznoszonego szybu. Z początku nie zauważyła Marcusa, zaraz jednak ukazał się jej oczom. Speszyla się ogromnie. Jego ubiór znajdował się w wielkim nieładzie, bryczesy i biała koszula były pobrudzone. A Marcus, podobnie jak jego ludzie, szybko oddalał się od szybu. W następnej chwili ziemia zatrzęsała się gwałtownie, rozległ się ogłuszający hałas.

Uświadomiła sobie natychmiast, że właśnie została wysadzona prochem gruba warstwa kamieni, utrudniająca wiercenia. W ułamek sekundy po pierwszym wybuchu nastąpił kolejny, a w chwilę potem w powietrze wyleciały kawałki skał i głazy.

Przeżaszony koń Eve zarżał przeraźliwie i stanął dęba; młócił przez chwilę powietrze przednimi kopytami, a potem ruszył wprost przed siebie w szaleńczym pędzie. Eve jako wytrawny jeździec wiedziała, że w tym stanie nie zdoła go powściągnąć, siedziała więc pewnie w siodle i czekała, aż klacz się zmęczy i zwolni.

Nagle ku swemu przerażeniu zobaczyła przed sobą płot, i to tak wysoki, że koń nie mógł go przeskoczyć. Instynktownie wbiła lewą piętę w bok klaczy, a ta posłusznie zawróciła i znacznie zwolniła. W tej samej chwili Eve dobiegł tętent innego konia.

Gdy zatrzymała konia i błada jak ściana odwróciła się, dostrzegła jakiegoś jeźdźca zmierzającego w jej stronę. Natychmiast uświadomiła sobie, że to Marcus Fitzalan, poznała bowiem jego kasztana.

Marcus ściągnął wodze, gwałtownie zatrzymując galopującego wierzchowca, zeskoczył na ziemię, podszedł do Eve i bezceremonialnie zdjął ją z siodła.

W wielkim gniewie zaczęła się wyrывać i krzyknęła:

- Proszę zabrać ręce!

Wyrывая się z ramion Marcusa, próbowała jednocześnie uspokoić klacz, która wciąż się miotła, zarażona gniewem swojej pani.

Marcus ze złością wyrwał Eve wodze i przywiązał klacz do drzewa, a potem, z twarzą pobielającą z wściekłości, wykrzyknął:

- Co pani, u diabła, wyrabia?! Chciała się pani zabić?

- Ja? - wybuchnęła z furją. - To raczej pan usiłował pozbawić mnie życia. Widział mnie pan koło kopalni, więc dlaczego pan nie zawołał, że zaraz będzie wybuch?

- Musiałem dopilnować, żeby ludzie zniknęli z pola rażenia, a pani nic nie groziło w takim oddaleniu.

- Ha! Niech pan to powie mojej klaczy! Niech pan tylko na nią popatrzy. Jest przerażona.

- To pani powinna wiedzieć, jak zapanować nad swoim koniem.

- Potrafię to doskonale, panie Fitzalan. Musiał pan to zauważyć, choć z pewnością pan tego nie przyzna nawet za cenę życia.

- Być może ma pani rację, ale... Na miłość boską! Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego!

- Cofnął się z przerażeniem na widok jej bryczesów. - Czy pani zwykle włóczy się po okolicy bez towarzystwa, dosiadając konia po męsku i w bryczesach?

Eve dumnie odrzuciła głowę.

- Zwykle tego nie robię, ale dzisiaj miałam na to ochotę.

- A pani babka? Czy wciąż mieszka w Burntwood Hall?

- Tak. Nie wróci do Cumbrii, dopóki nie zadecyduje się moja przyszłość.

- To bardzo mądrze z jej strony, zwłaszcza że pani zachowuje się lekkomyślnie i nieodpowiedzialnie. Czy lady Pemberton wie, że jeździ pani bez towarzystwa i w takim stroju?

- Nie wie nawet, że wyszłam z domu. Jestem też pewna, że zgodziłaby się z panem, uznając mój ubiór za szokujący. Jednak ten strój to w tej chwili moje ostatnie zmartwienie. A poza tym, panie Fitzalan, ja lubię swoją wolność.

- Wygląda mi na to, że ma jej pani zbyt wiele, panno Somerville. - Oskarżał ją, a jednocześnie myślał, że nigdy nie wyglądała piękniej. Policzki miała zarumienione, a kilka lśniących ciemnych pukli, wymknąwszy się spod kapelusza, opadło na czerwony jedwabny kołnierz bluzki. Po tak długiej przejażdżce w upale większość dam byłaby wyczerpana, tymczasem Eve tryskała energią. - Czy pani zwykle jest taka nierozważna? Za nic ma pani dobre obyczaje? - Mówił mało przyjaźnie, nie dając poznać, że uważa ją za wielce zadziwiającą młodą kobietę. Była wspaniałą amazonką, a sposób, w jaki poradziła sobie z koniem w tak trudnej sytuacji, wzbudzał jego podziw.

- Nie robię nic, czego mogłabym się wstydzić. I proszę nie myśleć, że udałam się na tę przejażdżkę, żeby niby to przypadkiem spotkać pana. Nie zamierzałam opuszczać granic posiadłości Somerville'ów. Więc jeżeli pan pozwoli, wrócę tam i będę kontynuowała moją jazdę.

- Nie, nie pozwolę. Dopóki pani oraz pani koń nie ochłoniecie - stwierdził stanowczo Marcus, zagradzając jej drogę i nie pozwalając wsiąść na konia.

Eve zachnęła się zirytowana.

- W takim razie odprowadzę klacz.

- Będzie pani szła pieszo dwie mile?

- Tak, jeżeli to konieczne.

- Proszę nie mówić głupstw. Proszę zaczekać. Pani klacz po kilku chwilach będzie się nadawała do jazdy.

- Ma pan zamiar mnie tutaj trzymać? - Eve spurpurowiała z gniewu.

- Może pani się oddalić, kiedy pani zechce. Nie jest pani moim więźniem.

- Serdeczne dzięki... Więc proszę łaskawie odsunąć się i dać mi przejść.

Kiedy nie usłuchał, poczuła się niepewnie. By minąć Marcusa, musiałaby go dotknąć, a za nic tego nie chciała.

- Panno Somerville, proszę się uspokoić. Kiedy zobaczyłem, że pani koń ponosi, natychmiast ruszyłem z pomocą.

- Jak pan śmie przedstawiać siebie jako mojego wybawiciela? Cieszę się, że mnie pan nie uratował, bo w przeciwnym razie znalazłabym się w upokarzającym położeniu, gdyż musiałabym być panu wdzięczna. Mógł pan oszczędzić sobie trudu i zostać w kopalni, gdzie z całą pewnością bardziej by doceniono pańską obecność. - Jak widać, wcale nie siliła się na nakazaną konwenansem uprzejmość. - Sama opanowałam klacz - dodała z naciskiem.

- Z łatwością mogła panią zrzucić z grzbietu. - Marcus spojrział na nią gniewnie.

- Ale jakoś nie zrzuciła. Dziwne, prawda? Proszę wracać do swojej kopalni, panie Fitzalan. Pańscy pracownicy pewnie już się zastanawiają, gdzie pan się podział, albo, co nie daj Bóg, zaczną pana szukać i zastaną nas tutaj tylko we dwoje. Niech pan sobie wyobrazi, co ludzie będą wtedy gadać - zakończyła z sarkazmem.

- A to by panią zmartwiło, prawda?

- Nie. Wcale nie. Zastanawiam się jednak, czy nie jest pańską intencją ponownie zrujnować moją reputację? Raz to był skandal, ale dwa razy... o, tego już znieść się nie da! Czy chce mnie pan zmusić do małżeństwa, powtarzając incydent sprzed lat, kiedy to zwabił mnie pan do lasu? Zaiste, postępowanie godne dżentelmena.

Marcus się uśmiechnął, już nie emanował gniewem, tylko z rozkoszą wspominał tamten słodki pocałunek.

- Jeżeli chodzi o tamto zdarzenie, to raczej ja, a nie pani, zostałem skompromitowany. Bo nigdzie pani nie zwabiłem. O ile pamiętam, przyszła tam pani z własnej woli.

- Pamięta pan zbyt wiele.

- A pani wtedy uległa pokusie.

- Byłam młoda i głupia.

- A teraz jest pani mądrzejsza?

- Tak, i już nie tak głupia, żeby dać się panu uprowadzić. -I jest pani tego pewna, prawda? - Uśmiechnął się, w jego oczach zamigotał okrutny błysk. Zbliżył się do niej.

Eve, dusząc się z gniewu, usiłowała się cofnąć.

- Niech pan się nie waży zbliżać do mnie. Jest pan potworem, Marcusie Fitzalanie.

- Cieszę się, że zwraca się do mnie pani w sposób bardziej poufały, panno Somerville. „Marcusie Fitzalanie” to postęp w porównaniu z „panie Fitzalan”.

- Nie jest pan lepszy niż ci łowcy posagów, o których tak często mówi moja babka. Tylko że pan, uwodząc mnie, chce zdobyć kopalnię węgla.

Marcus uśmiechał się z wyraźną kpiną.

- Połowę kopalni węgla - przypomniał zimno.

- Nie obchodzi mnie to. Choćby szło o sto kopalni, nie zamierzam potulnie zaakceptować mego losu. Proszę mi wierzyć, panie Fitzalan, nie warto się ze mną żenić.

- Być może ma pani rację, ale nigdy się o tym nie przekonam, jeżeli nie spróbuję. - Przyparł ją do drzewa.

Rozdział szósty

Eve stała nieruchomo, niezdolna odwrócić wzroku, przerażona tym, że znowu mogłaby ulec Marcusowi Fitzalanowi. Tymczasem on, szczupły i muskularny, pochylał się nad nią, promieniając potężną siłą, a jego surowa piękna twarz znajdowała się bardzo blisko jej twarzy.

Oczy Marcusa przesuwają się wolno po jej zachwycającej postaci. Jego wzrok zatrzymał się na talii osy, a widok długich, szczupłych nóg i bioder rysujących się pod obcisłymi bryczesami wywołał na jego ustach pełen aprobaty leniwy uśmiech. Patrzył z rozkoszą na te rysujące się pod spodem drażniące wspaniałości.

- Byłbym głupcem, gdybym uważał, że małżeństwo z panią przyniesie mi jedynie kopalnię węgla - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. Dostrzegłszy jednak w nich wyraz zaskoczenia i strach, odsunął się nieco i uśmiechnął się znowu w ten swój irytujący sposób. - Sprawdzam, że tak się wyrażę, wodę... - Lecz instynkt podpowiedział mu, że Eve, tak samo jak trzy lata temu, nie potrafi mu się oprzeć. Mimo jej oporu, miał nad nią władzę.

- Niech pan nie wchodzi zbyt głęboko, panie Fitzalan, bo może pan stracić grunt pod nogami - odpaliła twardo.

- Nie ma takiego niebezpieczeństwa, panno Somerville - stwierdził z rozbawieniem. - Jestem wyśmienitym pływakiem. A teraz jedźmy. Jeżeli upiera się pani wrócić konno do Burntwood Hall, część drogi odbędę z panią.

- Nie. Potrafię wrócić sama.

- Z pewnością, ale w kopalni poradzą sobie przez jakiś czas beze mnie, a ja z wielką przyjemnością będę pani towarzyszył.

- No dobrze. Skoro pan nalega. Uprzedzam jednak, że będzie to jednostronna przyjemność.

- Rzeczywiście, nalegam. - Gwałtownie spowaźniał. - Panno Somerville... Eve... Czy między nami musi panować wrogość? Czy nie możemy zawrzeć rozejmu i zacząć rozmawiać z sobą jak dorośli ludzie?

Eve niechętnie spojrzała na niego z wysokości siodła. W jego wzroku dojrzała serdeczną nutę, co wprowadziło ją w daleko większe zmieszanie niż gniew czy ironia, w czym dotąd celował. Zaczęła się odprężać, jej wrogość ustąpiła.

- Tak., tak... ma pan rację. Sądzę, że powinnam panu podziękować za to, że pospieszył mi pan na ratunek. Przyznaję, mój koń mógł mnie zrzucić.

Jechali jedno za drugim wąską ścieżką, nie mogli więc przez jakiś czas rozmawiać. Eve, która była z przodu, wpadła w marzycielski nastrój. Wydawało jej się, że czas zwolnił swój bieg, a wszystko wokół drzemie w upale. Wysokie trawy i paprocie porastały pobocza ścieżki, a błogą ciszę zakłócały jedynie wesołe ćwierkania ptaków, brzęczenie pszczoł i parskanie koni.

Gdy ścieżka stała się szersza i znaleźli się obok siebie, Marcus spojrzał na Eve z podziwem.

- Wie pani, naprawdę nie powinna pani jeździć sama. W tych lasach kręcą się różni ludzie.

Eve spojrzała na niego z ukosa i stwierdziła, że mówi poważnie.

- Panie Fitzalan, pan mnie zdumiewa. Czy towarzyszy mi pan dlatego, że chce mnie pan ochronić?

-Tak.

- Jakież to rycerskie. - Uśmiechnęła się lekko. Odpowiedział szerokim uśmiechem.

- Widzi więc pani, że nie jestem tak całkiem zły. Czy to poprawia mój wizerunek w pani oczach?

- Jeszcze za wcześnie, by wyrokować w tej sprawie. Nie wiem o panu zbyt wiele, sądzą jednak, że jest pan oportunistą.

- Jeżeli ma pani na myśli to, że chwytam wszystko, co mi się nawinie pod rękę, to ma pani rację, ale nie jestem aż tak przekupny, żeby to czynić, nie zważając na zasady i konsekwencje.

- A Kopalnia Atwoodzką? Czy znaczy dla pana więcej niż osobiste związki z ludźmi?

- Gdyby mnie pani o to zapytała przed śmiercią sir Johna, odpowiedziałbym twierdząco. Zawsze wierzyłem, że romantyczne związki są dobre dla głupców i marzycieli.

- A teraz? Co się zmieniło?

- Pojawiła się pani.

Eve uśmiechnęła się ironicznie.

- Powiedziałam już panu, żeby nie posługiwał się pan wobec mnie fałszywym pochlebstwem. Nie jestem idiotką, nie dam się oszukać. Dobrze znam wartość tej kopalni. No, proszę się przyznać: pragnie jej pan tak bardzo, że jest pan gotów mnie uwieść i skłonić do małżeństwa. Marcus zmarszczył gniewnie brwi.

- Jeżeli chce pani znać prawdę, to zaczynam tę okropną kopalnię przeklinać. Bez względu na moje uczucia wobec pani, zawsze będzie miała pani powód, by wątpić w moje prawdziwe intencje. O ileż byłoby lepiej, gdybym mógł się do pani zalecać, nie narażając się na oskarżenie o podstępne działania i interesowność.

Eve wpatrywała się w niego zdumiona. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

- Mam nadzieję, że pani... zastanawiała się już nad sprawą, która jest dla nas obojga tak ważna? - przerwał wreszcie zapadłą ciszę Marcus.

- Tak, ale sądzę, że sprawa, o której pan mówi, dużo więcej znaczy dla pana niż dla mnie. - Oczywiście, skłamała, jednak nie zamierzała dać mu satysfakcji, zdradzając, jak bardzo Kopalnia Atwoodzką jest dla niej cenna.

- Być może... - Lecz Marcus pamiętał wyraz jej oczu podczas czytania testamentu i dobrze wiedział, że Eve z całych sił pragnie zachować kopalnię.

- Musi pan zrozumieć, że wszystko to jest dla mnie bardzo trudne.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale wcześniej czy później będzie musiała pani się z tym zmierzyć. Nie ma, oczywiście, sensu udawać, że nie mam żadnego interesu w tym, żeby zyskać kopalnię.

- Wiem. Podobnie jak ja. Widzi pan, uważałam za rzecz oczywistą, że większość majątku ojca, w tym Kopalnia Atwoodzką, pozostanie w moich rękach.

Nie dostrzegłszy ironii zawartej w jej słowach, sentencjonalnie skomentował z uśmiechem:

- Już dawno się nauczyłem, że niczego nie warto uważać za oczywiste.

- W rzeczy samej... - Zaczynała czuć się nieswojo, zirytowało ją także to, że Marcus tak uważnie jej się przygląda.

- A jakie jest naprawdę pani samopoczucie? - zapytał ze zdumiewająco szczerą troską.

Poraziło ją to i przez ułamek sekundy nie była w stanie się poruszyć. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Proste pytanie, a raczej ton, w jakim zostało wypowiedziane, poruszyło w niej dziwną tęsknotę. Nagle Marcus objawił się jej... no właśnie, jakim? Jego oczy, cała postać, i to coś, czym emanował...

Wzdrygnęła się i odwróciła wzrok.

- Czuję się tak doskonale, jak tylko to jest w tych smutnych okolicznościach możliwe. I jestem pewna, że świetnie sobie ze wszystkim poradzę - odrzekła z udawaną niefrasobliwością.

Żaloba, smutek, to oczywiste, Marcus podejrzewał jednak, że trapi ją coś jeszcze.

- Jestem pewien, że będzie pani bardzo trudno opuścić Burntwood Hall. Ta posiadłość musi wiele dla pani znaczyć.

Na jej twarzy pojawił się wyraz bezradności, który wzruszył Marcusa. Eve przez chwilę przestała się pilnować, a on po raz pierwszy dostrzegł w niej zagubione dziecko, które dotychczas ukrywało się pod maską dorosłej kobiety. Ścisnęło mu się serce.

- Tak, panie Fitzalan. Będzie mi bardzo trudno opuścić mój rodzinny dom. Teraz, gdy mam go stracić, boleśnie zrozumiałam, jak wiele dla mnie znaczy, a na myśl, że Gerald go nie doceni, robi mi się bardzo smutno. - Nagle przeszła na rzeczowy ton. - Panu również niełatwo przyjdzie pogodzić się z powtórłą stratą Kopalni Atwoodzkiej.

- Stanie się tak tylko wtedy, gdy nie zechce pani zostać moją żoną.

Na te słowa serce Eve się ścisnęło, wywnioskowała z nich bowiem, że Marcus już podjął decyzję.

- Ależ, panie Fitzalan, przecież dobrze pamiętam, jak powiedział pan, że niepotrzebna panu żona, tak samo jak mnie niepotrzebny jest mąż. A teraz tak pan nalega? Gotowa jestem pomyśleć, że nie może mi się pan oprzeć i nie potrafi żyć beze mnie. Tymczasem może ja nie chcę rywalki w postaci kopalni węgla?

- Ja także, panno Somerville. - Wprawdzie uśmiechem próbował unieważnić jej sarkazm, jednak w jego oczach zapłonęło niebezpieczne światelko. - Biorąc pod uwagę fakt, że będziemy równymi sobie współnikami, też mógłbym być zazdrosny o kopalnię.

- Mimo to musi pan bardzo pragnąć tej kopalni. Tak bardzo, że gotów jest pan związać się z kobietą niemal zupełnie sobie obcą. Proszę mi powiedzieć, dlaczego Kopalnia Atwoodzka ma dla pana takie znaczenie. Przecież posiada pan kilka innych, ma pan także udziały w różnych przedsięwzięciach i dużo inwestuje. I może pan żyć jak księżę do końca swoich dni.

- To prawda, ale Kopalnia Atwoodzka ma dla mnie również znaczenie sentymentalne, bo należała do mojej rodziny od początku. Rozpatrując sprawę od strony dochodów, już dzisiaj przynosi największe zyski w całym zagłębiu, a jej potencjał jest ogromny, bo złoża węgla są bardzo zasobne. - Zamilkł na chwilę. - Panno Somerville... Eve... prawda jest taka, że ta kopalnia znaczy dla mnie więcej niż sto największych kopalni na świecie.

- Och... - Żar i nostalgia w jego głosie spowodowały, że Eve zaczynała się domyślać, jakim Marcus jest naprawdę człowiekiem.

- Kopalnię Atwoodzką zbudował mój dziadek, a mój ojciec zmarł na jej terenie. Byłem wtedy w szkole i nie miałem pojęcia, że matka, która nienawidziła wszystkiego, co wiązało się z węglem, do tego przygnieciona wdowieństwem i chwilowymi kłopotami finansowymi, oddała kopalnię w dzierżawę pani ojcu. Nie mogłem temu zapobiec.

- A gdyby pan o tym wiedział, to by pan zapobiegł?

- Na pewno.

- Rozumiem. To był dla pana cios. - Kopalnia reprezentowała to wszystko, o co z takim trudem walczył jego dziadek. Była symbolem ciężkiej pracy. Nic więc dziwnego, że Marcus chciał ją odzyskać. - Miał pan żal do mojego ojca, że zabrał panu kopalnię?

- Niby z jakiego powodu? Transakcja przeprowadzona została bez zarzutu, jak wszystkie, w których uczestniczył sir John. Jak pani wiadomo, ogromnie się zaprzyjaźniliśmy i pani ojciec bardzo mi pomagał, gdy zająłem się górnictwem. Nauczył mnie wszystkiego i będę mu za to do zgonnie wdzięczny. Podziwiałem go i będzie mi go zawsze brakowało. - Jego słowa płynęły prosto z serca.

Eve wiedziała, że ta przyjaźń z obu stron była szczerą i bez najmniejszej choćby skazy. W obliczu tego wszystkiego zazdrość, a także żal, jaki żywiła do Marcusa, wydały się jej po prostu błahe, a może nawet głupie.

Przypomniała sobie moment, kiedy po raz pierwszy poczuła się o niego zazdrosna. Była wtedy jeszcze dzieckiem, a Marcus Fitzalan, po śmierci swojego ojca, zainteresował się górnictwem. Sir John, dostrzegłszy w nim żyłkę do biznesu, wziął go pod swoje skrzydła. Podziwiał sposób, w jaki Marcus daje sobie radę w górnictwie, podziwiał jego chęć uczenia się i wielką ambicję. Pretensje i żale Eve pochodziły więc z czasów znacznie poprzedzających ich spotkanie na jarmarku. Z czasów, kiedy ojciec zaczął traktować Marcusa prawie jak syna, którego nigdy nie miał. Ojciec często z zapałem opowiadał o Marcusie, o jego dokonaniach, a ona zaczęła się zastanawiać, czy myśli w ogóle o kimkolwiek innym... czy myśli o niej.

- Żałuję, że nie poznaliśmy się dużo wcześniej. - Marcus, nieświadom jej myśli, które wprawiłyby go w szok, uśmiechnął się miło. - Bo może wtedy byśmy się zaprzyjaźnili. Eve korciło, by stwierdzić, że to mało prawdopodobne, powstrzymała się jednak.

- Ja pana kiedyś widziałam. Przyjechał pan do Burntwood Hall razem z ojcem. Miałam wtedy czternaście lat. Wraz z Emmą Parkinson z podestu pierwszego piętra patrzyłyśmy, jak wychodzicie.

- O! I jakie zrobiłem na pani wrażenie?

- Żadne - odrzekła chłodno, reagując w ten sposób na kpinę w jego głosie. - Powiedziałam Emmie, że nie rozumiem, skąd całe to zamieszanie. Bo widzi pan, pańska reputacja kobieciarza wyprzedziła pana.

- Moja reputacja?

- Być może będzie pan zdziwiony, ale z Atwood dochodziły nas plotki o pańskich romansach i podbojach. Można by z tego ułożyć wielce pikantną powieść.

- A zatem... sądzi pani, że wie o mnie wszystko? Jestem słynnym kobieciarzem, hazardzistą i wszystkim co najgorsze, czy tak? No, no... - Uśmiechnął się kpiąco na jej wahanie. - Musimy być ze sobą szczerzy, Eve.

- A więc dobrze, potwierdzam pańskie słowa. Krążyły o panu równie ekscytujące, co skandaliczne plotki. - Zachichotała. - Natomiast Emma stwierdziła, że jest pan najprzystojniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek chodziło na dwóch nogach.

- A to mi się podoba! Już ją za to polubiłem. Musi pani nas kiedyś sobie przedstawić. A pani? Proszę mi powiedzieć, co pani o mnie myślała?

Wzruszyła ramionami.

- Nie tracę głowy tak łatwo jak moja przyjaciółka. Emma, przekonawszy się, że nie zrobił pan na mnie wrażenia, stwierdziła, że wkrótce pan mnie pożre.

-I co pani na to odrzekła?

- Że skutek tego dostanie pan niestrawności. - Spojrzała na niego z rozbijającą szczerością. Marcus z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. Pomyślał przy tym, że Eve, choć mądra i bystra, jest jeszcze bardzo młoda i rozbijająco niewinna. W ustach innej kobiety jej słowa brzmiałyby jak wielce zachęcający flirt, ona jednak kompletnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Ot, miła, lekka, towarzyska rozmowa...

To prawda, Marcus był kobieciarzem. Panie nie potrafiły oprzeć się jego męskiej urodzie i arogancji, a także temu, że bardzo chętnie korzystał z ich wdzięków. Jednak Eve Somerville nie przypominała żadnej z nich. Stanowiło to dla niego odświeżającą odmianę.

- No cóż, sądzę, że miała pani rację. - Zmierzył ją bezczelnym, taksującym spojrzeniem, co wywołało jej rumieniec. -Tylko przedtem musiałbym panią trochę utuczyć. - Spoważniał nagle. - Nie ukrywa pani, że wielu rzeczy we mnie nie lubi. Skąd jednak bierze się ta niechęć, skoro tak naprawdę nic pani o mnie nie wie.

- Z tego, co ludzie mówią...

- Czyli z plotek, chciała pani powiedzieć.

- Niech będzie. Z tego, co ludzie mówią, wynika, że wystarczy, by pan się pojawił, a kobiety już za panem szaleją. Dla pana miłość to swoista gra, w której jest pan mistrzem i przywykł do zwycięstw. - Spojrzała na niego bez uśmiechu. - Proszę mi wybaczyć szczerość, panie Fitzalan, ale sam pan o nią nalegał. Poza tym, skoro rozważamy nasze małżeństwo, to powinnam wiedzieć o panu wszystko. Czy to, co myślą o panu inni, rozczarowuje pana?

- Już dawno przestałem przejmować się opiniami innych ludzi o mojej osobie. Mimo to pochlebia mi, że przez całe lata budziłem tak wielkie zainteresowanie pani.

Jego ton sprawił, że Eve zarumieniła się i zjeżyła wewnątrz.

- Jest... jest pan zarozumiały...
- To mi zarzucano od czasu, gdy byłem chłopcem. - Oczywiście uśmiechnął się irytująco.
- Nadal posiada pan tę cechę.
- Więc nie podobają się pani moja arogancja i zarozumiałość?
- Nie... raczej nie za bardzo.
- Ale przecież wie pani o mnie tak mało.
- Wiem tyle, ile chcę wiedzieć, a wiedza, jaką posiadam, nie zachęca mnie do tego, bym chciała zdobyć większą.
- Szkoda. Ale wie pani... niepełna wiedza bywa bardzo niebezpieczna... - Zawiesił znacząco głos.
- Och, potrafię unikać niebezpieczeństw.
- Jest pani pewna?
- Oczywiście.
- Proszę mi powiedzieć, panno Somerville, czy boi się pani wyjść za mnie?
- Nie, panie Fitzalan. - Podejmując wyzwanie, spojrzała mu w oczy. - Nie boję się żadnego mężczyzny.
- Może pani temu zaprzeczać, ale czuję, że wyprowadzam panią z równowagi.
- Nawet w najmniejszym stopniu, panie Fitzalan. - Mimo buńczucznego tonu, ta rozmowa, jak i spojrzenie oraz zmysłowy kąpiący uśmiešek Marcusa zaczynały ją niepokoić.
- Chyba jednak wyprowadzam. Pani się rumieni.
- Wcale nie! - Zarumieniła się jeszcze bardziej.
- Ależ tak. Proszę się jednak nie martwić, w tych kolorach wygląda pani czarująco, niczym te róże. - Wskazał dzikie róże rosnące wzdłuż ścieżki, a jego głos podział na Eve jak pieśczęta. Jedzie stanowczo zbyt blisko, pomyślała i poczuła, że jego męski urok czyni ją coraz bardziej bezbronną.

Marcus uśmiechnął się szelmowsko, wiedział bowiem doskonale, jak bardzo na nią działa. Zatrzymali się na chwilę. Marcus spojrzał w pełne odwagi, ogniste oczy Eve, popatrzył na jej piękne rysy. Był człowiekiem silnym i dumnym, zawsze wiedział, czego pragnie, i przeważnie to dostawał. I już postanowił, że pragnie Eve Somerville... razem z kopalnią - albo i bez niej. Z czasem wyleczy ją z tej jej buntowniczej postawy i ulepi z niej taką kobietę, jaką zawsze chciał mieć za żonę. Będzie to praca, która przyniesie mu radość. Planował tak ją podejść, żeby z drżącymi kolanami błagała, by ich małżeństwo dopełniło się pod każdym względem.

- Zapewniam panią, że pani oskarżenia wobec mojej osoby są przesadzone w najwyższym stopniu. Nie jestem najgorszego rodzaju kobieciarzem. Naprawdę, nie powinna pani słuchać, plotek. Przykro mi panią rozczarować, przykro mi też, że rozwiewam pani złudzenia na mój temat, muszę jednak powiedzieć z pewnym żalem, że nie mam czasu na przyjemności, o których pani mówi. Większość czasu pochłaniają mi sprawy znacznie ważniejsze, to znaczy interesy.
- A skąd mogę mieć co do tego pewność, panie Fitzalan?
- Musi mi pani uwierzyć na słowo. Zresztą, wie pani, jest dla mnie zagadką, dlaczego to dla pani takie ważne?
- Nie rozumie pan? Jeżeli zgodzę się zostać pańską żoną, to mogę stać się pośmiewiskiem.
- Nie dopuszczę do tego, panno Somerville. Ale ma pani rację, to sprawa zbyt poważna, żeby mówić o niej lekko. Musimy się też zająć czymś równie ważnym. Jeżeli się pobierzemy, oboje bardzo na tym skorzystamy. Jeżeli nie, stracimy wszystko. To jest dylemat. Zgadza się pani, prawda?

-Tak.

- Z mojej strony wygląda to tak: jeśli nie dojdzie do naszego ślubu, stracę bardzo wiele. Tego nie chcę, co oczywiste. Co więcej, nie widzę żadnego powodu, dla którego miałbym nie skorzystać z hojnej oferty pani ojca i nie otrzymać kopalni.

- Połowy kopalni!

- Oczywiście. - Spojrzał na nią chłodno. - Zgadzam się. Proszę mi jednak nie mówić, że pali się pani do tego, by zamieszkać z lady Pemberton w Cumbrii. Nawet małżeństwo ze mną byłoby lepsze.

- Naprawdę? Nie jestem taka pewna - odrzekła wprawdzie ostro, ale cóż, miał rację... - Choć przyznać muszę, że moja babka nie jest najłatwiejszą osobą. Przez wiele lat rządziła rodziną, działając zgodnie z zasadami, jakich nabyła w młodości, w tamtej epoce. Nie ma wiele zrozumienia dla ludzkich słabości. Cała rodzina jej się boi. Moja matka w jej obecności stawała się inną osobą. I zawsze starała się odkładać wizyty babki.

- A co lady Pemberton sądzi o tym wszystkim? Czy jest zwolenniczką naszego małżeństwa?

- Moja babka bardzo by się ucieszyła, gdybym za pana wyszła. Chce, żebym ułożyła sobie życie. Ale ona należy do starej szkoły, według której młoda dama powinna wyjść za mężczyznę wybranego przez rodziców ze względu na pozycję, majątek i tytuł. Oglupiające emocje, takie jak romantyczna miłość, uważa za słabość, której nie należy brać pod uwagę.

- A czy pani chce wyjść za mąż, kierując się romantyczną miłością?

- Oczywiście! Która kobieta by tego nie chciała?

- Mówi pani o swojej babce jak o jakimś tyranie, jestem jednak pewny, że to przesada. Nie znałem jej przed pogrzebem, ale przekonałem się, że jej towarzystwo jest bardzo przyjemne.

- Zawsze robi takie wrażenie na obcych, lecz gdy ją pan lepiej pozna, z pewnością podzieli moją opinię.

- O? Zatem jest szansa na to, że ją lepiej poznam?

- No cóż... ja... ja... - Zmieszła się bardzo.

- No, no... Czy mam rozumieć, że zaczyna pani poważnie rozważać zgodę na nasze małżeństwo? Mimo tych wszystkich oporów? Proszę wybaczyć, ale czy naprawdę wydają się pani aż taki odpychający?

- Wolałabym sama wybrać sobie męża... to wszystko.

- Rozumiem... Jednak czy młodym damom z pani sfery nie wybiera się mężów?

- Tak, wybiera się, ale nie na warunkach, jakie postawiono mnie i panu. Perspektywa, wobec której postawił mnie ojciec, wydaje mi się nie do zaakceptowania.

- Potrafię to zrozumieć. Czy jest ktoś inny, za kogo chciałaby pani wyjść?

- Nie. Powinien pan jednak wiedzieć, że Gerald poprosił mnie o rękę.

Marcus popatrzył na nią zaskoczony, a jego twarz stała się nagle kamienną maską. Spełniły się jego najgorsze obawy: Gerald Somerville, człowiek bezwzględny i zdolny do najgorszych czynów, rozpoczął walkę o kopalnię.

- Co się stało?

- Gerald poprosił...

- To już wiem! - wybuchnął Marcus. - Jaka była pani odpowiedź? Wie pani oczywiście, że sir John nie życzyłby sobie takiego małżeństwa...

- Powiedziałam nie. Nie odwzajemniam jego zainteresowania moją osobą. - Wzdrygnęła się na wspomnienie ostatniego spotkania z Geraldem. - Nic mnie nie skłoni do małżeństwa z nim. -

Uśmiechnęła się z gryzącą ironią. - Nagle się okazało, że jestem cennym towarem na rynku

mażeńskim. Ten, którego wybiorę, ogromnie skorzysta. Nie skorzystam tylko ja. - Spojrzała uważnie na Marcusa. - A co z panem? Czy nie ma damy, którą chciałby pan poślubić?

- Nie - odrzekł prędko.

Zbyt prędko, pomyślała Eve. Czyżby kłamał? Czy pragnął kopalni tak bardzo, że był gotów zerwać związek z inną kobietą? A jeżeli tak, to czy z mężczyzną, który podejmuje środki tak drastyczne dla osiągnięcia materialnego zysku, warto spędzić resztę życia?

- Pozwoli pani, że coś zasugeruję... co być może ułatwi pani podjęcie decyzji. Możemy zawrzeć małżeństwo jedynie z nazwy, małżeństwo z wyrachowania. Aż do chwili, gdy uznamy oboje, że powinno być inaczej. Co pani na to? Eve spojrzała na niego ostro.

- Ma pan na myśli małżeństwo tylko na papierze? W którym każde z nas żyłoby własnym życiem?

- Do pewnego czasu. - Uśmiechnął się lekko, gdy zobaczył, z jaką ulgą to przyjęła.

- Czy pan mówi poważnie?

- Oczywiście. Proszę jednak pamiętać, że nasz związek będzie miał taki charakter tylko do chwili, gdy lepiej się zrozumiemy, gdy przestaniemy być sobie obcy. Czy zgodziłaby się pani na takie rozwiązanie?

Ich oczy się spotkały. Eve nagle poczuła się rozczarowana. Propozycja była rozsądna i całkiem do przyjęcia, a jednak uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że po Marcusie spodziewała się dużo większego uczuciowego zaangażowania.

- To coś całkiem nowego, panie Fitzalan. Musiałabym to przemyśleć.

- Oczywiście. Proszę jednak pamiętać, że byłaby to sprawa wyłącznie między nami. Musi pani spojrzeć prawdzie w oczy. Sytuacja, w której się znaleźliśmy, nie jest zbyt komfortowa dla nas obojga, ale bez względu na to, jaki żal do siebie żywimy, powinniśmy stwarzać wrażenie, że między nami wszystko układa się jak najlepiej.

- To znaczy udawać.

- Właśnie. Ogłosimy nasze zaręczyny i pobierzemy się, kiedy tylko skończy się czas żałoby, pod warunkiem, że będzie to miało miejsce przed upływem półrocznego okresu wymienionego w testamencie.

- Widzę, panie Fitzalan, że nie traci pan czasu. - Eve uśmiechnęła się ironicznie. Już jako paniątka żywiła nadzieję, że prośba o jej rękę popłynie prosto z serca, a tu, proszę, zwykła propozycja biznesowa...

- Nie tracę go, kiedy czegoś pragnę.

- A pragnie pan kopalni, a raczej jej połowy, i nie zraża pana nawet to, że musi wziąć także i mnie jako dobrodziejstwo inwentarza.

- To jest takie dobrodziejstwo, które wcale nie napawa mnie niechęcią - odrzekł miękko, patrząc jej w oczy i sprawiając, że znowu oblała się rumieńcem.

Dojechali już do Burntwood Hall. Marcus, ku zaskoczeniu Eve, zsiadł z konia, jakby nie wybierał się w powrotną drogę. Gdy też zsunęła się z siodła, wziął ją za ramiona i popatrzył na nią z pełną zrozumienia powagą.

- Jakkolwiek będzie pani decyzja, Eve - powiedział miękko, wypowiadając jej imię tak serdecznie, że od razu powstała między nimi jakaś więź - jestem po pani stronie. Proszę mi wierzyć. Bez względu na to, jak mylna jest pani opinia o mnie, nie jestem pani wrogiem, a bardzo chciałbym, by dostrzegła pani we mnie przyjaciela. Więc co pani powie? Zgodzi się pani zostać moją żoną?

Jego hipnotyzujący głos usuwał istniejące między nimi bariery, wzrok czarował, rozsnuwał wokół Eve magiczną sieć, z której nie było ucieczki.

Zdołała jednak przywołać rozsądek.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Zanim podejmę decyzję, powinnam dowiedzieć się o panu więcej, panie Fitzalan, a także o pańskim domu i rodzinie.

- Oczywiście. Tego się spodziewałem. Zacznę więc od tego, że mam dwóch młodszych braci, którzy robią karierę w marynarce wojennej. William jest żonaty, ma dwoje dzieci i kiedy nie jest na morzu, mieszka w Londynie. Natomiast najmłodszy, ledwie dwudziestoletni Michael, kiedy tylko może przyjeżdża do Brooklands, gdzie mieszkam wraz z matką.

- Rozumiem. A pańska matka? Czy zaakceptuje mnie? Jak pan myśli?

- Jeżeli panią polubi i jeżeli będzie wiedziała, czego ja pragnę, nie będzie pani przeciwna. Może byłoby dobrze, gdyby... przyjechała pani do Brooklands, żeby zobaczyć, jak tam jest? Obejrzeć dom i dowiedzieć się wszystkiego o mnie przed podjęciem decyzji?

Eve popatrzyła mu prosto w oczy.

- Bez żadnych dodatkowych zobowiązań? -Tak.

- A więc... dobrze. - Uśmiechnęła się. - Bardzo bym chciała.

- Doskonale. W przyszłą środę moja matka będzie przyjmowała przyjaciół na kolacji.

Odpowiada pani ten termin?

- Tak, dziękuję. Ale nie mogę przyjechać sama.

- Oczywiście, zaproszenie obejmuje także lady Pemberton. A może chciałaby pani, by towarzyszył pani ktoś inny?

- Nie. Będę oczekiwała tej wizyty z niecierpliwością.

- Świetnie. Ja nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł pokazać pani swój dom. Brooklands zostało zbudowane przez mojego dziadka. Wprawdzie nie jest tak stare ani wspaniałe jak Burntwood Hall, mimo to jest piękne. Z całą pewnością nie będzie pani rozczarowana.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią z powagą, delikatnie gładząc jej policzek, a ona poczuła dziwne ciepło. Wiedziała, że znów ulega czarowi Marcusa, on zaś doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

- Nie ma pani żadnego obowiązku wychodzić za mnie za mąż, jednak mam ogromną nadzieję, że pani to uczyni. Pragnę się z panią ożenić, Eve. Jeżeli się pani na to zgodzi, uczyni mnie pani niezmiernie szczęśliwym. Wierzę, że zdołam wzbudzić w pani miłość.

Jego słowa brzmiały uczciwie i szczerze, bez cienia zwykłej arogancji.

- Być może to się panu uda - po długiej chwili szepnęła wzruszona Eve. Odsunęła się o krok, bojąc się własnej słabości i wpływu, jaki Marcus swoją bliskością wywierał na jej emocje.

Wyczuł to bezbłędnie.

- Jest pani piękną i godną pożądaną kobietą. I proszę mnie nie oskarżać o pochlebstwo. To, co mówię, płynie prosto z mojego serca. Proszę ze mną nie walczyć, Eve. Proszę się nie bać zbliżyć do mnie.

- Więc pan uważa, że się boję?

- Tak. Widzę, że z powodu tego, co wydarzyło się w przeszłości, jest pani ostrożna i nie chce się dać zranić. Nie winię pani o to. Zapewniam jednak, że ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął, to skrzywdzić panią czy zasmucić w jakikolwiek sposób.

- Wygląda na to, że pan dobrze mnie zna, panie Fitzalan.

- Wystarczająco dobrze, by pewne rzeczy wydedukować i wystarczająco dobrze, by pragnąć panią poślubić... z połową kopalni czy bez niej.

Eve spieszyła się nieco, ale i uspokoiła tymi serdecznymi słowami. Wiedziała przy tym, jak niewiele trzeba, by całkiem uległa czarowi Marcusa. W przeszłości sprawiał jej tylko ból. Zranił

ją, a wcześniej obudził niechęć i zazdrość o względy ojca, których pragnęła tylko dla siebie. A mimo to teraz ogromnie ją pociągał. Wobec tego niezaprzecznego faktu była bezradna. Przecież, na Boga, marzyła teraz tylko o tym, by Marcus ją pocałował!

- Ja... ja muszę już iść - powiedziała cicho, unikając jego wzroku. - Dziękuję za odprowadzenie mnie do domu.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Eve. - Popatrzył na nią z wielką powagą. - Nie chcę pani przestraszyć, ale proszę mi obiecać, że w ten szczególny czas będzie pani na siebie uważała.

- O czym pan mówi?

- Niepokoi mnie, że jest pani tutaj sama, tylko z babcią, a Gerald krąży tak blisko. Wiem, że pragnie zagarnąć kopalnię, co będzie możliwe tylko wtedy, gdy się nie pobierzemy. Jest przy tym człowiekiem bezwzględny i gotowym na wszystko. Zrobił już pierwszy krok, prosząc panią o rękę. Gdyby w jakikolwiek sposób pani zagroził, to... to czy da mi pani znać?

Eve wzruszyła jego szczera, serdeczna troska. Uśmiechnęła się, nie powiedziała mu jednak, że kuzyn już jej groził. Nie chciała robić zamieszania, poza tym miała nadzieję, że były to tylko puste słowa. Sądziła też, że nie będzie musiała już więcej rozmawiać z Geraldem, zamierzała bowiem opuścić Burntwood Hall przed jego przybyciem. - Tak, dam panu znać.

Rozdział siódmy

Marcus zostawił Eve w stanie ogromnego pomieszania. W nocy, nie mogąc zasnąć, rozpamiętywała wszystko, co jej powiedział, a w co nie mogła wprost uwierzyć. Że szczerze pragnie się z nią ożenić, z kopalnią czy też bez niej.

Poprzysięgła sobie, że nigdy więcej nie dopuści, by doprowadził ją do utraty panowania nad sobą, wiedziała już bowiem, jak łatwo w nim się zatracić, przestać odróżniać dobro od zła i pragnąć tylko jednego. Wiedziała doskonale, że biorąc pod uwagę jej najgłębsze skłonności, to pierwsze doświadczenie sprzed trzech lat łatwo mogłoby znaleźć swą dużo groźniejszą w konsekwencjach kontynuację. Nie mogła do tego dopuścić.

Bała się zarazem, że w odpowiedniej chwili nie okaże właściwej stanowczości. I dlaczego, na Boga, tak niecierpliwie oczekuje wizyty w Brooklands?

Lady Pemberton była zachwycona wyjazdem do Brooklands. Cieszyła się też, że Eve okazała się rozsądna, wszak gdyby jej opór nie osłabł, nie przyjęłaby zaproszenia od Marcusa Fitzalana.

Dlatego podczas popołudniowego spaceru powiedziała:

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Brooklands, Eve. Uważam to zaproszenie za zaszczyt, choć wiem, że otrzymałam je jedynie jako twoja przyzwoitka. Czy to oznacza, że w końcu myślisz poważnie o małżeństwie z panem Fitzalanem?

- Tak, babciu. Zdaję sobie sprawę, że muszę o tym poważnie pomyśleć.

- To świetnie. Pan Fitzalan bardzo mi się podoba. To uroczy mężczyzna. Mam też pewność, że jest to mężczyzna dla ciebie. Bardzo żałuję, że jesteś w żałobie, Eve. Byłoby tak miło, gdybyś mogła włożyć coś bardziej wesołego, kolorowego, w czym byłoby ci do twarzy. Moim zdaniem, czerń nie nadaje się dla młodych dam. Jest taka surowa.

- Ależ babciu, ja jestem pewna, że pan Fitzalan nawet nie zauważy, co mam na sobie - uśmiechnęła się Eve.

- Tak czy siak, jeżeli macie się pobrać, to już czas, żebyś została przedstawiona jego matce.

- Tak, wiem. Ale zanim podejmę decyzję, chciałabym poznać pana Fitzalana trochę lepiej.

- To rozsądne z twojej strony. Widzę, że cię oczarował. Zresztą to naturalne, skoro chodzi właśnie o niego. Wierz mi, potrafię rozpoznać dobrego człowieka. I wiem, że pan Fitzalan będzie doskonałym mężem.

Eve popatrzyła na babkę ze smutkiem.

- Naprawdę? Naprawdę tak myślisz, babciu? Lady Pemberton poklepała ją lekko po ramieniu.

- O tak, zapewniam cię.

- To człowiek szanowany, bogaty, z ogromnymi wpływami, jest właścicielem nie jednej, lecz kilku kopalń, mieszka we wspaniałym domu... To wzbudza podziw i szacunek, czyni z niego mężczyznę nietuzinkowego. Lecz jak to się ma do małżeństwa? Czy taki ktoś może być po prostu dobrym mężem?

- Pieniądze i wpływy to rzecz bardzo użyteczna, Eve. Ułatwia życie, mówiąc wprost. A co do reszty... a wiem, że sprawy serca są dla ciebie ważne... to ta reszta przyjdzie później. A teraz nie marszcz brwi. Od tego robią się zmarszczki. Ciesz się na tę wizytę w Brooklands i spotkanie z panem Fitzalanem.

Ruth Fitzalan była matką trzech synów. Marcus, z powodu namiętności do górnictwa, a także dlatego, że jako najstarszy był spadkobiercą ojca, pozostał w domu, natomiast William i Michael robili kariery w królewskiej flocie. Ruth była wysoką, szczupłą kobietą o silnej osobowości. W okolicy bardzo ją szanowano, była bowiem córką człowieka o wysokiej pozycji towarzyskiej i finansowej, a także wybitnego członka lokalnych władz.

Ruth była dumna ze sposobu, w jaki Marcus przejął stery po śmierci jej męża. Gdziekolwiek się pojawił, ludzie zabiegali o jego względy. Sir John Somerville nauczył go, jak korzystnie inwestować, a sukces przyniósł mu sławę i dodatkowe bogactwo. Istniała jednak cena, którą musiał za to wszystko zapłacić - była nią utrata prywatności w Netherley. Szukał jej więc Londynie, gdzie łączył interesy z przyjemnościami.

Bywał widywany z różnymi damami, co nieodmiennie owocowało plotkami. Natomiast w Brooklands zachowywał niezwykłą wstrzeźliwość, tak wielką, że z zasady odmawiał udziału w odbywających się w okolicy balach i wieczorkach, gdzie różne damy próbowałyby go wyswatać ze swoimi córkami. Zdawał sobie jednak sprawę, że ludzie o nim szepczą i snują na jego temat domysły.

Ruth nie była zachwycona historią, która zaistniała pomiędzy jej synem a Eve Somerville. Dała to do zrozumienia natychmiast, jak tylko się dowiedziała o zapisach zawartych w testamencie Johna Somervillea. Uważała, co prawda, że panna Somerville nadaje się na żonę Marcusa, nie miała też nic przeciwko niej ani jej rodzinie, jednak nie wiedząc, co zaszło na jarmarku trzy lata wcześniej, gdyż nie dotarły do jej uszu żadne plotki, sądziła, że Marcus i Eve zostali sobie przedstawieni dopiero przed pogrzebem. Tak krótka znajomość nie wróżyła dobrze.

Pośpiech i entuzjazm, z jakimi Marcus chciał poślubić Eve Somerville, zaskoczyły ją i trochę zszokowały, gdyż jej syn do tej pory nigdy nie manifestował chęci ustatkowania się - pomimo przygód, jakie miewał w Londynie i pomimo tego, że Ruth zapraszała do domu różne młode panny z zaprzyjaźnionych rodzin w nadziei, że jej pierworodny zwróci na którąś uwagę.

Tymczasem teraz, kiedy wydawało jej się, że znalazła dla niego właściwą partię, Angelę Stephenson - piękną, pełną temperamentu młodą wdowę, córkę bliskich przyjaciół - nagle jej nadzieje legły w gruzach.

Angela Stephenson, spędziwszy sporo czasu zarówno w Londynie, jak i w posiadłości zmarłego męża, niedawno przyjechała do rodziców, do Little Bolton, położonego trzy mile od Netherley. Przyjechała z nadziejami na małżeństwo. I któż by mógł ją o to winić? Dla wszystkich było jasne, że Marcus bardzo się Angeli podoba. Ruth Fitzalan zauważyła jednak swoim bystrym

okiem, że jej syn wcale nie szuka towarzystwa Angeli. Mimo to miała nadzieję, że z czasem rozwinię się coś między nimi, coś, co doprowadzi do małżeństwa.

- Zaprosiłem pannę Somerville do Brooklands na następną środę, mam - powiedział Marcus po powrocie z kopalni, do której pojechał po rozstaniu z Eve.

- Ależ nie mogłeś tego zrobić! - Spojrzała na niego z wyrzutem. - Przecież wiesz, że w środę będzie tutaj wielu gości.

- Właśnie dlatego zasugerowałem, żeby panna Somerville przyjechała tego dnia. Znajdzie się wśród znajomych i nie poczuje się niezręcznie. Będzie jej towarzyszyła babka.

- Ale co z Angela?

- Z Angela? - Marcus zmarszczył brwi. - A niby co ma z nią być?

- Nie wierzę, że o tym zapomniałeś! Angela Stephenson zjawi się tu w środę ze swoimi rodzicami.

- Nie, nie zapomniałem. Nie rozumiem jednak, dlaczego ma to mieć wpływ na zaproszenie Eve Somerville. - Westchnął z irytacją. - Mam, proszę cię. Przestać się wtrącać do mojego życia.

- Przecież wolno mi wyrazić swoje zdanie.

- Oczywiście. Powiem jednak wprost: nie zobowiązałem się do niczego, nie dałem też Angeli żadnego powodu do myślenia, że to uczynię.

- Mimo to można rozumieć.

- Nie, mam - odrzekł ostrzej, niż zamierzał. - To tylko twoje życzenia.

- Czy to takie nierozsądne, kiedy matka pragnie, by jej syn miał już żonę... - I dodała z naciskiem: - Odpowiednią żonę?

- Nie, to wcale nie jest nierozsądne.

- I to właśnie Angela jest kobietą dla ciebie.

- Nie. - Marcus z trudem zachowywał cierpliwość. - Angela jest kobietą odpowiednią dla ciebie, mam, natomiast dla mnie nie znaczy absolutnie nic. Zachowuję się wobec niej uprzejmie ze względu na przyjaźń między tobą a jej matką, ale to wszystko. Nie zależy mi na niej w najmniejszym stopniu. Musisz mi pozwolić samodzielnie wybrać sobie żonę.

- Wybrać! Jeżeli myślisz o Eve Somerville, to jakież to wybór? Gdyby nie kopalnia, nawet byś się za nią nie obejrzał - powiedziała Ruth z gniewem, lecz wyraz zdecydowania na twarzy Marcusa jasno dowodził, że mu tego nie wyperswaduje. Zresztą od dzieciństwa był nad wyraz uparty i stanowczy.

Wbrew pozorom, Ruth nie miała nic przeciwko Eve Somerville czy jej rodzinie. Chodziło o tę przeklętą Kopalnię Atwoodzką, która odebrała jej ukochanego męża i której natychmiast po jego śmierci pozbyła się, oddając w dzierżawę sir Johnowi. I za nic nie chciała, żeby kopalnia wróciła do rodziny.

- Musisz bardzo pragnąć tej kopalni, Marcusie, jeżeli z tego powodu myślisz o ożenku w Eve Somerville. A przecież nie znałeś jej aż do dnia pogrzebu. Czy mam się spodziewać, że następną rzeczą, o której mnie zawiadomisz, będzie data ślubu?

- Na to jest jeszcze za wcześnie. Jeżeli panna Somerville zgodzi się zostać moją żoną, natychmiast się zareczymy. Jednym z warunków testamentu sir Johna jest to, że mamy się pobrać w ciągu sześciu miesięcy od jego śmierci.

- A wtedy kopalnia będzie już twoja... Nie przyszło ci do głowy, że żenisz się z tą panną z niewłaściwych powodów? W ogóle nie rozumiem, dlaczego jest to dla ciebie takie ważne. Nie jesteśmy przecież biedakami i wcale nie potrzebujemy tej kopalni. Nie zapominaj, że to właśnie na jej terenie twój ojciec postradał życie.

- Wiem, mamo, ale wiem także, jak wielce ta kopalnia dla niego znaczyła i jak ciężko pracował, żeby dobrze funkcjonowała. Dlatego właśnie chcę ją odzyskać dla naszej rodziny.

- Pomimo tego, że przysporzy mi to bólu?

- Przykro mi - odrzekł łagodnie. - Za nic nie chcę cię zranić, mamo, ale jednak muszę to zrobić.

- I jesteś gotów ożenić się z Eve Somerville, żeby odzyskać kopalnię?

- Tak. Dzierżawa skończy się za piętnaście lat, a ja nawet nie chcę myśleć, w jakim stanie będzie wtedy kopalnia, jeżeli przejmie ją Gerald Somerville.

- Dziwię się, że sir John nie zostawił ci kopalni tak po prostu, bez konieczności ożenku z jego córką. Dlaczego tego nie uczynił? Dobry Boże, Marcusie, coś jest nie w porządku z tą dziewczyną?

- Ależ skąd! To piękna i czarująca młoda dama. Myślę, że sir John w ten sposób chciał jej zapewnić opiekę.

- Naprawdę wierzysz, że możesz być szczęśliwy w małżeństwie zawartym na takich warunkach?

- Nie widzę powodu, żeby miało stać się inaczej. Znam małżeństwa oparte na jeszcze chwiejniejszych podstawach, które z czasem okazały się satysfakcjonujące dla obu stron. Musisz zrozumieć, mamo, jak trudne jest to wszystko dla Eve. Biedaczka musiała uporać się najpierw ze śmiercią matki przed dwoma laty, a niedawno ojca, zaś testament okazał się dla niej ciężkim szokiem, z którym długo sobie nie mogła poradzić. Proszę cię, przyjmij ją życzliwie. Wiem, że ją polubisz... bo jej nie da się nie lubić.

Matka westchnęła. Miała już pewność, że z jej aprobatą czy bez niej, Marcus poślubi Eve Somerville. Spojrzała na syna i zaraz zmiękła. Wiedziała bowiem, jak ważną rzeczą jest dla niego jej błogosławieństwo.

- Dobrze, Marcusie. Nie musisz martwić się z mojego powodu. Jeżeli ona jest taka, jak mówisz... to jak mogłabym jej nie polubić?

- Jest właśnie taka... a poza tym ma jeszcze inne wspaniałe cechy. Ma ciepłe, aksamitne, fiołkowe oczy, których spojrzenie jest zdolne sprawić, że zmięknie najzimniejszy kamień - powiedział żartobliwym tonem, a potem pocałował matkę w policzek, zadowolony, że dała się przebłagać.

- Och Boże! - Ruth z uśmiechem przyjęła jego pocałunek. - Kiedy tak mówisz, zaczynam wierzyć, że jesteś w niej zakochany.

- Tak, mamo, sądzę, że jestem. Nigdy w życiu nie spotkałem podobnej do niej kobiety. Jestem zdecydowany ją poślubić. A kiedy już to zrobię, będziesz mogła mieć pewność, że zrobiłem to z właściwych powodów. - Leciutko uszczypnął matkę w policzek.

Eve, widząc Brooklands po raz pierwszy w życiu, nie była rozczarowana.

Dom, położony milę na północ od Netherley, stał między wzgórzami, które chroniły go przed wiatrem i deszczem. Była to piękna budowla o wspaniałym frontonie i z wejściem ozdobionym kolumnami. Wysokie drzwi balkonowe prowadziły na taras okolony ukwieconą różami balustradą. Taras ten wychodził na dobrze utrzymany ogród i trawniki tak gładkie jak gruby aksamit.

Eve pomyślała, jakie to wspaniałe, że dziadek Marcusa potrafił utorować sobie w życiu drogę i zająć aż tak wysoko, kupując ziemię i budując ten wielki dom, inwestując rozsądnie pieniądze pochodzące z górnictwa.

Gdy powóz zatrzymał się przed wejściem, natychmiast, jakby czekał za zamkniętymi drzwiami, pojawił się Marcus. Jego gęste, ciemne, lśniące włosy były zaczesane do góry, a on sam nosił nienaganne, dobrze skrojone czarne ubranie. Białe jedwabne pończochy opinały muskularne łydki, a równie białe halsztuk podkreślał nieco mroczną urodę.

Marcus podszedł do powozu, otworzył drzwiczki i ujął rękę Eve, a gdy służący wysunął schodki, pomógł jej zejść.

Choć była w żałobie, bardzo zadbała o swój wygląd, pragnęła bowiem zaprezentować się jak najlepiej, zwłaszcza że miała zostać przedstawiona pani Fitzalan. Prosta czarna suknia, uszyta z jedwabnej zwiewnej materii, miała obcisły stanik i marszczoną spódnicę, a jej surowość przełamany białym koronkowym kołnierzykiem.

Marcus z nieskrywanym uznaniem wpatrywał się w Eve. Mierzył ją wzrokiem od czubków ślicznych aksamitnych pantofelek aż po gęste ciemne włosy ułożone umiejętnie wokół głowy. Wyglądała dzisiaj bardziej dojrzała i znacznie bardziej uwodzicielsko.

Pozdrowiwszy grzecznie lady Pemberton i wyczuwając zdenerwowanie Eve, Marcus wziął ją za rękę. Poczuł, że jej palce lekko drżą.

- Wygląda pani ślicznie. - Podniósł jej dłoń do ust, zarazem szukając wzrokiem oczu. - Ufam, że nie odczuła pani żadnego szwanku po tym, jak poniósł panią koń?

- Nie. Żadnych, dziękuję. Ani na ciele, jak sam pan wie, ani tym bardziej na duszy. Żeby wyprowadzić mnie z równowagi, musiałoby wydarzyć się coś znacznie gorszego - odrzekła z uśmiechem.

- Proszę wejść i poznać moją matkę. Zapewniam, że przywita panią z otwartymi ramionami. Nie może się wprost doczekać tego spotkania. Część gości już przybyła. Niektórych pani zna. Proszę spróbować się nie denerwować.

Marcus wprowadził Eve i jej babkę do dużego, ozdobionego marmurowymi kolumnami holu, z którego na galerię prowadziła wyłożona niebieskim dywanem klatka schodowa. Eve odniosła wrażenie, że dom jest niezwykle elegancki, jednak przejęta czekającym ją spotkaniem z panią Fitzalan, mało zwracała uwagi na otoczenie.

Pani Fitzalan rozmawiała właśnie wesoło z innymi gośćmi. Gdy weszli, zamilkła i spojrzała na śliczną młodą kobietę u boku swego syna. Ocenivszy ją błyskawicznie, doznała ulgi. Spodobało jej się to, co zobaczyła. Uśmiechnęła się uroczo i podeszła, by powitać Eve i lady Pemberton; nie chciała bowiem, żeby choć przez chwilę poczuły się w Brooklands nieswojo.

- Mamo, pozwól, że ci przedstawię lady Pemberton i pannę Somerville. Lady Pemberton, panno Somerville, oto moja matka.

- Dzień dobry pani. - Eve uśmiechnęła się trochę nieśmiało.

Ruth Fitzalan, ubrana w cudowną zieloną suknię, w naszyjnik z brylantów i także kolczyki, wyglądała młodziej, niż Eve się spodziewała. Była szczupłą, elegancką, pewną siebie damą emanującą spokojem.

- Miło mi powitać panie w Brooklands. - Ruth spojrzała na Eve. - Tak wiele o pani słyszałam, kochanie, zarówno od pani ojca, jak i od Marcusa. Cieszę się więc, mogąc panią poznać. Sir John często u nas bywał, choć, niestety, zawsze w interesach, ale co do pani, to dopilnuję, żeby się pani dobrze bawiła. Najpierw proszę poznać naszych pozostałych gości, chociaż niektórych pewnie już pani zna. A potem, ponieważ kolacja będzie nieco spóźniona, bo w kuchni mamy chwilowy kryzys, pokażę pani dom.

Eve i jej babka zostały przedstawione innym gościom. Lady Pemberton natychmiast zagarnęła jakąś przyjaciółka. Ci goście, których Eve nie знаła, spoglądali na nią ciekawie, natomiast znajomi stwierdzali, że miło im ją widzieć i prawili komplementy na temat jej wyglądu. Fakt, że Marcus poinformował ich przedtem o jej spodziewanym przybyciu, wywołał lekkie zdziwienie i dał powód do różnych domysłów.

Marcus został nieco z tyłu, natomiast jego matka wzięła Eve pod swoje skrzydła. W jasnych niebieskich oczach Marcusa pojawił się radosny błysk, jednak wyraz jego twarzy nie zdradzał, o czym myśli.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, Marcusie, że oprowadzę pannę Somerville po domu, a także po ogrodzie, póki jeszcze jest widno? - zapytała go matka.

- Oczywiście że nie. - Uśmiechnął się. - Choć miałem nadzieję, że sam to zrobię.

- Dziękuję. Chętnie obejrzę dom i ogród - powiedziała Eve. - Ale nie chciałabym żadnego z państwa odciągać od gości.

- Proszę się o to nie kłopotać - stwierdziła Ruth. - To żadna wielka okazja, takie nieoficjalne przyjacielskie spotkanie. Przyjedzie jeszcze kilkoro sąsiadów, lecz powita ich Marcus. - Widząc, że jej syn unosi brwi, dodała szybko: - Zapewniam cię, że nie będę zbyt długo zaniedbywała innych gości. Tymczasem jednak zajmij się nimi, bym mogła trochę bliżej poznać pannę Somerville. Poplotkujemy sobie nieco. Bez wątpienia panowie będą rozmawiali o tym, co jest najbliższe ich sercom, czyli o kopalniach, o ilości wydobywanego węgla i o nowoczesnych pompach. Jednak zapamiętaj sobie, że przy stole nie będę tolerowała tego rodzaju tematów. Wtedy trzeba będzie skupić się na rzeczach przyjemniejszych.

- Świetnie, mamo. - Marcus wiedział, że sprzeciwiać się jej w takiej sytuacji nie miało sensu. - Ale nie pozbawiaj nas swego towarzystwa zbyt długo. Wciąż przybywają nowi goście i na pewno zechcą, by przed kolacją przedstawić ich panie Somerville.

Podczas oprowadzania Eve okazywała żywe zainteresowanie wszystkim, co zobaczyła. Słuchała uważnie gospodyni, gdy ta opowiadała z dumą o domu, który zbudował ojciec jej zmarłego męża.

Rezydencja, inaczej niż Burntwood, nie była naznaczona historyczną przeszłością, ale nowoczesne umeblowanie cechowała wyszukana elegancja. Wykwintny wystrój nadawał pokojom lekkość - przyczyniały się do tego pastelowe odcienie tapet w paski i w kwiaty, wysokie okna i lustra odbijające światło.

Eve podziwiała piękne obrazy, wśród których znajdowały się także portrety rodzinne.

Zatrzymała się przed jednym z nich, wiszącym na podeście pierwszego piętra. Portret przedstawiał mężczyznę z kwiecie wieku o rysach przypominających rysy Marcusa.

- Ten dżentelmen to ojciec mojego męża, dziadek Marcusa - ciepłym głosem powiedziała pani Fitzalan. - Założyciel Kopalni Atwoodzkiej.

- Tak właśnie myślałam. Podobieństwo do pani syna jest uderzające. A jaki on był, proszę pani?

- Był wspaniałym człowiekiem, o dobrym charakterze. Cieszył się powszechnym szacunkiem i ciężko pracował na swój sukces. Poświęcał cały czas pracy i sprawom lokalnej społeczności.

Gdy wyszłam za ojca Marcusa, dziadek mieszkał tu z nami przez parę lat aż do swojej śmierci. Byliśmy w doskonałych stosunkach. A ja pokochałam Brooklands od pierwszej chwili.

- Któż by go nie pokochał? To cudowny dom. Różni się bardzo od Burntwood Hall, który jest siedzibą historyczną.

- Ach, ale nie jest przez to gorszy, moja droga. Dom tak stary jak Burntwood Hall miałby zapewne do opowiedzenia mnóstwo ciekawych historii z odległej nawet przeszłości, natomiast ta rezydencja jest symbolem nowych czasów, przemysłu, górnictwa. Cieszę się bardzo, że Brooklands się pani podoba. Może ułatwi to pani decyzję, czy poślubić Marcusa.

- Tak... być może. - Eve zrozumiała, że konwersacja z towarzyskiej przemieniła się w osobistą. Wyszły na taras, gdzie ogarnęła je upajająca woń róż.

- Marcus ma zwyczaj zaskakiwać mnie różnymi niespodziankami, panno Somerville. A ja nigdy nie byłam bardziej zaskoczona niż wtedy, gdy powiedział mi o testamencie pani ojca i warunkach, które nakłada na was oboje. A co pani na ten temat sądzi?

- No cóż, wyznaję, że byłam tak samo zaskoczona jak pani - odrzekła Eve ostrożnie.

- A znalazła już pani czas, by poważnie się zastanowić, jak postąpić?

- To wciąż takie... nie wiem...

- Przepraszam, kochanie, nie powinnam była przypuszczać tak frontalnego ataku. - Ruth uśmiechnęła się przepraszącą. - Rozumiem, że to bardzo ambarasujące. Ma pani pełne prawo powiedzieć mi, żebym pilnowała swojego nosa. Czasami daję się ponieść językowi, wskutek czego miewam kłopoty. Ale jest to sprawa ważna dla nas wszystkich.

- Tak... oczywiście. Nie musi się pani usprawiedliwiać.

- Chodzi o to, że Marcus bywa czasami taki poważny... a ja go tak mało widuję. Próbuję śledzić to, co się z nim dzieje, ale nie jest to łatwe, bo albo nadzoruje kopalnię, albo podróżuje w interesach, albo ucztuje z przyjaciółmi.

- Rozumiem, ale prawdę mówiąc, nie mieliśmy jeszcze okazji omówić spokojnie i dokładnie tej sprawy. Jednak oboje się zgadzamy, że zanim coś postanowimy, powinniśmy lepiej się poznać, bo może się okazać, że do siebie nie pasujemy.

- To bardzo rozsądne. Proszę mi jednak powiedzieć, czy Kopalnia Atwoodzka jest dla pani naprawdę ważna?

- Tak. - Eve spojrzała pani Fitzalan prosto w oczy. - Skłamałbym, gdybym zaprzeczyła, wiem także, jak wiele, zarówno ze względów sentymentalnych, jak i ekonomicznych, znaczy ona dla pani syna. Dlatego nie chce wypuścić jej z rąk... to znaczy tej części, którą otrzymał w testamencie. Mam jednak nadzieję, że uwzględni moje wymagania związane z małżeństwem... jeżeli, oczywiście, zgodzę się za niego wyjść.

- Marcus czasami daje się ponieść entuzjazmowi. Teraz, na przykład, jest pochłonięty budową nowego szybu w Pendle Hill. Próbuje ją skończyć jak najszybciej, tak żeby kopalnia już działała, gdy wyczerpią się dwa stare pokłady. Zadanie to okazało się trudne i nadzwyczaj czasochłonne. Ale on nigdy nie robi niczego bez głębokiego zastanowienia.

- Tak, wiem o tym nowym szybie. Nawet byłam w jego pobliżu podczas przejażdżki konnej. - Oczywiście, resztę szczegółów zataiła.

- To, co dzieje się między wami, ma ogromne znaczenie dla mojego syna. Wiem też, że bez względu na to, jak bardzo zależy mu na Kopalni Atwoodzkiej... a muszę pani powiedzieć, że nigdy mi nie wybaczył, iż po śmierci mojego męża wydzierżawiłam ją pani ojcu... więc bez względu na to, jak bardzo mu na niej zależy, myśląc o pani, zupełnie o tym zapomnia.

- Mam szczerą nadzieję, że tak jest, proszę pani.

- Po ojcu i dziadku Marcus odziedziczył dumę, arogancję i niezłomną wolę. Przypomina trąbę powietrzną, moja droga. Ma wielki wpływ na ludzi. Więc jeżeli pani pozwoli, to dam pani pewną radę. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Proszę nie pozwolić, żeby wywarł na panią presję, by skłonił panią do podjęcia decyzji, zanim się pani dobrze zastanowi. Tu nie chodzi tylko o Kopalnię Atwoodzką. Tu chodzi o panią i Marcusa, o wasze przyszłe wspólne szczęście. Oboje musicie podjąć właściwą decyzję.

- Wiem. I zamierzam postąpić tak, jak pani radzi.

- Świetnie.

W tej chwili na tarasie pojawiła się służąca. Ruth zamieniła z nią parę słów, a potem, wyraźnie zirytowana, zwróciła się do Eve:

- Musi mi pani wybaczyć, kochanie. Wygląda na to, że kryzys w kuchni wymaga mojej interwencji. Czy zechce pani wrócić do gości?

- Nie. Jeszcze nie. Wieczór jest taki piękny, że zostanę tu trochę dłużej, jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu. Może przejdę się po ogrodzie.

- Oczywiście. A ja wkrótce wrócę.

Po rozmowie z Eve Ruth Fitzalan poczuła się znacznie lepiej. Zrozumiała, dlaczego Marcus mówił o niej tak dobrze. Wszelkie jej wątpliwości zniknęły w momencie, gdy zauważyła, jak jej syn patrzy na Eve. W jego spojrzeniu był podziw, a także coś jeszcze, czego nigdy przedtem u niego nie zauważyła, a na czego widok rozradował się jej serce.

Panna Somerville była wrażliwa i delikatna, na pewno jednak nie należała do tych nieszczęsnych, głupich i potulnych panien na wydaniu, które otwierają usta tylko po to, żeby powiedzieć „tak” lub „nie”. Ruth bez trudu rozpoznała w niej żywą inteligencję, silną wolę i zdolność do tego, żeby nie dać sobą dyrygować - a Marcusowi dobrze by zrobiło, gdyby miał żonę, która umiałaby mu się przeciwstawić. Tak, Ruth aprobowała już plany małżeńskie swego syna. Jeżeli ci dwoje by się pobrali, pogodziłaby się jakoś z powrotem w ręce rodziny tej okropnej Kopalni Atwoodzkiej. Pozostawał jednak jeszcze problem Angeli. Ruth nie miała pojęcia, że obie panie od dawna się znają.

Angela, która z pewnością przybyła już wraz z rodzicami, różniła się znacznie temperamentem od Eve. Interesujące byłoby zobaczyć jej reakcję na fakt, że ma rywalkę, a właściwie dwie rywalki: piękną młodą kobietę i kopalnię węgla, pomyślała Ruth z rozbawieniem.

Eve odprowadziła panią Fitzalan wzrokiem, a potem przysiadła na krawędzi kamiennej balustrady okalającej taras i głęboko westchnąwszy, spróbowała wyobrazić sobie siebie jako żonę Marcusa Fitzalana. Usiłowała myśleć o nim beznamiętnie, nie angażując emocji, bo bała się, że w przeciwnym razie ponownie nią zawładnie.

Różnił się od wszystkich mężczyzn, których dotychczas знаła, a pretensje, jakie żywiła do niego przez lata, po bliższym poznaniu, zdawały się nie mieć znaczenia. Wbrew wszystkiemu co ich różniło, zrobił na niej ogromne wrażenie, temu nie mogła zaprzeczyć. Jednak nie mogła też powiedzieć, że go naprawdę lubi. W każdym razie nie lubiła go w sposób, w jaki powinno się lubić kogoś, za kogo ma się wyjść za mąż. Marcus był arogancki i przyzwyczajony do tego, że całe otoczenie okazuje mu posłuszeństwo, stawiał siebie ponad innymi. A ona takich cech wcale nie podziwiała.

Z drugiej jednak strony nigdy nie spotkała mężczyzny tak pełnego życia, tak mocno wierzącego w siebie, mężczyzny, który nasycił ją taką energią i podniecał. No i patrzył na nią tak, że czuła - w sposób dosłowny, namacalny, fizyczny - swoją kobiecość. Marcus był z całą pewnością mężczyzną atrakcyjnym, a fakt, że Eve zobaczyła jego dom i poznała jego matkę, działał na jego korzyść.

Tak myśląc, wdychała głęboko balsamiczne powietrze, rozglądała się też w zapadającym zmierzchu, patrzyła z uznaniem na pełen kwiatów ogród i na linię ciemnych cisów schodzącą ku rzece. Kwiaty w ogrodzie rosły na regularnych rabatach tworzących koło, w samym środku którego wznosiła się fontanna. Woda tryskała z rogu obfitości podtrzymywanego przez trzy pięknie wyrzeźbione cherubiny. Mgiełkę z rozpylonych kropli unosił delikatny wiaterek.

Eve już miała zejść z tarasu do ogrodu, kiedy uwagę jej przykuła kobieta, która wyszła z domu, niedbale ciągnąc za sobą szal. Podeszła do fontanny i usiadła na jej brzegu, patrząc w wodę i wodząc palcem po jej powierzchni. Miała na sobie jedwabną suknię w kolorze perłowym, a jej ramiona, pomimo wieczornego chłodu, były obnażone.

Eve obserwowała ją zafascynowana, zastanawiając się, kto to jest. A wtedy kobieta odwróciła głowę. Na ten widok Eve zamarła, rozpoznała bowiem Angelę Stephenson. W ustach jej zaschło, na skroniach pojawił się pot. Na wspomnienie podstępu Angeli sprzed kilku lat, ogarnęło ją ogromne rozgoryczenie.

Zszokowana i oniemiała Eve patrzyła, jak Angela, odrzuciwszy głowę, wpatruje się w księżyc, a potem jak z marzycielskim uśmiechem zamyka oczy. W tej samej chwili z domu wyszedł jakiś mężczyzna i zatrzymał się, rozglądając po ogrodzie, jakby kogoś szukał. Już miał zawrócić, zauważywszy jednak Angelę, zbliżył się do niej.

Angela siedziała nieruchomo, czekając, aż podejdzie, a on, gdy znalazł się już blisko, spojrzał jej w twarz, uśmiechnął się i usiadł obok. Tym mężczyzną był Marcus. Eve nie mogła oderwać od nich wzroku, a jej serce boleśnie przeszył sztylet zazdrości.

Wydawało jej się, że tych dwoje czuje się z sobą swobodnie. W pewnej chwili Marcus wstał i podał Angeli rękę, a wtedy ona stanęła obok niego. Marcus wziął szal i otulił nim jej ramiona. Stali odwróceny profilem, więc Eve nie widziała wyrazu ich twarzy. Wyczuwała jednak, że są z sobą blisko. Z poufałością, jaka mogła się zrodzić jedynie z długiej znajomości, Angela zaborczym gestem wsunęła rękę pod ramię Marcusa, a potem ruszyli w stronę domu i powoli weszli do schodach.

Zanim jednak to zrobili, Angela, wyczuwając spojrzenie Eve, odwróciła głowę w jej stronę. Gdy ich spojrzenia się spotkały, na twarzy Angeli pojawił się uśmiezek samozadowolenia. Na jego widok Eve zdało się, jakby jej serce znalazło się w uścisku lodowatej dłoni. Jakby w niezmaconą toń jeziora jej spokoju ktoś cisnął ciężki kamień.

Rozdział ósmy

Uspokoiwszy się nieco, Eve wróciła do gości i zaraz stanęła twarzą w twarz z Angelą. Była spięta, rozedrgana wewnętrznie, bo przecież nawet sama myśl o spotkaniu z osobą, która kiedyś sprawiła jej tyle bólu, była wprost nie do zniesienia. Postanowiła nie informować Marcusa o tym, że widziała ich razem w ogrodzie. Uznała, że nie ma to nic wspólnego z ich wzajemnymi stosunkami i że nie zna Marcusa na tyle, żeby się domyślić, co go może łączyć z Angelą.

Angela na jej widok wcale nie okazała zdziwienia. Robiła wrażenie, jakby orientowała się, co dzieje się między Eve a Marcusem. A Eve kobiecy instynkt podpowiedział, że w dawnej przeciwniczce ma teraz rywalkę. Postanowiła więc mieć się na baczności.

Angela była piękna jak dawniej. Kasztanowe włosy ułożone zostały w miękkie loki, usta były pełne, a wydatne kości policzkowe sprawiały, że oczy wydawały się nieco skośne. Eve dostrzegала jej w pełni rozkwitłą kobiecość, zauważyła też, że Angela jest swojej kobiecości całkowicie świadoma. Emanowała zmysłowością, której mężczyznom z pewnością trudno było się oprzeć. Była bardzo spokojna; spojrzała na Eve twardo, a potem uśmiechnęła się dokładnie kontrolowanym uśmiechem. Oczy jej zabłysły bezwzględnością. Tryumfowała.

Nie zdając sobie sprawy z istniejącej między nimi animozji, Marcus przedstawił je sobie i zdziwił się, widząc, że się znają. Ponieważ przed trzema laty, na jarmarku, nie zwrócił uwagi na przyjaciółki Eve, nie wiedział, że Angela była jedną z nich. Zorientował się jednak natychmiast, że Eve i Angela wcale nie są przyjaciółkami. Zauważył bowiem, jak Eve, zaczerpnąwszy tchu, sztywnieje i zaciska palce na wachlarzu. Atmosfera między nimi była naładowana złymi emocjami. Zaskoczyło to Marcusa i obudziło jego ciekawość. Widząc, w jaki sposób na siebie spojrzwały, spodziewał się burzy.

Tymczasem Eve, zamiast odwrócić się i odejść, stanęła z Angela twarzą w twarz. Zmusiła się do uśmiechu, nie dając po sobie poznać - ani jej, ani Marcusowi - jak to spotkanie jest dla niej bolesne.

- Witaj, Angelo - powiedziała głosem zaskakująco spokojnym. - Masz się dobrze, mam nadzieję? Angela pochyliła lekko głowę i uśmiechnęła się, pokazując zęby jak perełki, ale w jej zwężonych oczach pojawiły się wrogość i zazdrość.

- Dziękuję, mam się doskonale, jak zawsze, Eve. A jak dużo czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania? Chyba całe wieki? - Mówiła tonem zimnym, kontrolowanym, z lekka pogardliwym.

- Sądzę, że trzy lata - odrzekła Eve równie zimno.

- Oczywiście. Nie widziałyśmy się od tamtego jarmarku... jeżeli mnie pamięć nie myli...

- O ile wiem, Angelo, miałaś zawsze dobrą pamięć - odrzekła wesoło Eve. - Angela i ja byliśmy trzy lata temu na jarmarku w Atwood - zwróciła się do zaintrygowanego Marcusa. - Pamięta pan, prawda, panie Fitzalan? To było wtedy, kiedy zrujnował mi pan reputację. - Uśmiechnęła się znacząco.

Marcus także uśmiechnął się do niej szelmowsko.

- Jak mógłbym o tym zapomnieć? Zapamiętałem ten dzień doskonale i będę pamiętał do końca życia. Nie przypominam sobie jednak, bym widział tam ciebie, Angelo.

- Nie może pan jej pamiętać, bo to nie ona do pana podeszła.

Ta wymiana zdań między Eve a Marcusem sprawiła, że oczy Angeli zabłyśły gniewnie.

- Nie znałam cię wtedy, Marcusie - zamruczała zmysłowo, posyłając mu uwodzicielski uśmiešek.

- To prawda. - Eve zmierzyła Angelę takim spojrzeniem, aby nie miała wątpliwości, że nie zapomniała jej intrygi. - Byłyśmy wtedy głupimi dziewczętami, skłonnymi do żartów, zwłaszcza wtedy, kiedy wzrok przyzwoitki odbiegł w inną stronę. Ale nie czas na wspomnienia, Angelo. To, co się wtedy wydarzyło, to starożytna historia. Czyż nie, panie Fitzalan?

Oczy Marcusa zabłyśły, uśmiechnął się do Eve.

- Och nie, nie taka znowu starożytna, bo wciąż myślę o tym zdarzeniu... i to z wielką przyjemnością - zapewnił konspiracyjnie, a potem, wyczuwając napięcie Eve, postanowił wypłatać ją z tej sytuacji. - Wybacz mi, proszę, Angelo, ale przed kolacją muszę przedstawić pannę Somerville kilkorgu gościom.

- Oczywiście - odrzekła Angela nieco podniesionym tonem, ledwie panując nad sobą.

Eve spojrzała na Marcusa z uśmiechem wdzięczności. Oddalili się razem, ignorując głośny dźwięk, z jakim gwałtownie zamknął się wachlarz Angeli.

- Jest pani blada... i drży - powiedział miękko Marcus, kiedy już ich nikt nie mógł usłyszeć.

- Naprawdę? Nie zdawałam sobie z tego sprawy - skłamała, wciąż pełna gniewu.

- Mam wrażenie, że pani i Angela nie jesteście już najlepszymi przyjaciółkami...

- Przyjaciółkami? No cóż, fakt, że wskutek jej podstępного działania straciłam męża, którego miałam poślubić, nie nastraja mnie do niej przyjaźnie. - Eve nie kryła goryczy. - Angela jest świetną specjalistką od manipulowania ludźmi i kontrolowania ich. W jej palcach robią się podatni niby wosk. Zrobiła wszystko, żeby mnie zniszczyć, i prawie jej się to udało. Nie była moją prawdziwą przyjaciółką, choć udawała, że nią jest. Zdradziła mnie w najgorszy z możliwych sposobów.

- Wychodząc za Lesiego Stephensona, człowieka, którego pani chciała poślubić?

- Tak. I nie sędę, że muszę panu mówić, jak to się stało. -Spojrzała na niego oskarżycielsko. Cały jej gniew skierował się teraz na Marcusa. - Oboje, pan i Angela, jesteście w równym stopniu odpowiedzialni za to, co wycierpiałam wskutek wydarzeń tamtego dnia. Zanim zdążył powiedzieć słowo na swoją obronę, odwróciła się i zaczęła rozmawiać z jednym z gości. Usłyszała równocześnie, że Marcus aż wstrzymał oddech. Miała pewność, że cios, jaki mu zadała, okazał się celny.

Jadalnia była elegancko umeblowana i oświetlona ogromnym kryształowym żyrandolem zawieszonym nad wspaniale zastawionym stołem. Podawano mnóstwo różnorodnych potraw, wyszukanych i smakowitych. Wszyscy zdawali się być w wyśmienitych humorach.

Kolacja upłynęła więc w doskonałej atmosferze, a Eve, wciąż odzyskująca równowagę po konfrontacji z Angela, z ulgą stwierdziła, że siedzi przy przeciwnym końcu długiego stołu i że dzięki temu może uniknąć z nią rozmowy. Jednak nawet wtedy, gdy Angela na nią nie patrzyła, czuła się przez nią obserwowana. A gdy ich oczy się spotkały, na twarzy Angeli pojawiał się zarozumiały znaczący uśmiezek. Widząc go, Eve gotowała się ze złości.

Zdawała sobie jednak sprawę, że złość to droga donikąd, a Angela celowo próbuje ją rozgniewać. I udaje jej się to, pomyślała, przypominając sobie własne ostre słowa skierowane do Marcusa. Odetchnęła głęboko kilka razy, by uspokoić nerwy. W jej sercu było jednak miejsce tylko na złość i na ogromne rozczarowanie, ponieważ, pomimo całej uprzejmości Marcusa, uświadomiła sobie, że jest dla niego jedynie środkiem do celu. Kiedy parę dni temu towarzyszył jej w drodze do domu, powiedział, że wzięłby ją chętnie za żonę - z kopalnią czy też bez niej. A ona w to uwierzyła. Teraz wiedziała, jaką była idiotką.

Później, gdy - po zwyczajowych porto i brandy - panowie przyłączyli się do pań w salonie, wzrok Marcusa często napotykał spojrzenie Eve. Lecz nie spieszył się z nawiązaniem z nią rozmowy. Ona tymczasem gawędziła swobodnie z innymi gośćmi, przysiadła się do babki i usilnie starała się unikać ponownego kontaktu z Angela. Marcus patrzył, jak poddaje się atmosferze tego domu, a także urokowi jego matki, która, jak zwykle, była wcieleniem czaru i uprzejmości.

W końcu udało mu się odciągnąć ją na stronę. Stanęli na tarasie w tym samym miejscu, z którego Eve obserwowała spotkanie Marcusa z Angela.

Wyraz jego twarzy nie zdradzał, o czym myśli, jednakże jego oczy patrzyły pytająco i uważnie. Przy stole nie mieli okazji porozmawiać, ale Marcus przez cały wieczór wodził za Eve oczami i z wielkim zadowoleniem dostrzegł, że zachowywała się swobodnie, nie ujawniała napięcia ani gniewu. Tylko on wiedział, co naprawdę czuła.

Nie miał natomiast pojęcia, co spowodowało wrogość między nią i jej byłą przyjaciółką, mimo to w znacznym stopniu utracił dla Angeli sympatię. Nie chciał też dopuścić do tego, żeby panujące między nimi napięcie w jakikolwiek sposób zakłóciło jego stosunki z Eve, by wpłynęło na to, co było dla nich obojga tak ważne. Nie mógł się wprost doczekać rozstrzygnięcia tej sprawy. A widząc, jak swobodnie Eve czuje się w jego domu, był prawie pewien, że ma już w rękach swoją zdobycz i chciał ją sobie zagwarantować przed końcem tego wieczoru.

Odsunął się trochę i oparł niedbale o balustradę.

Patrzył na jej profil, rysujący się na tle rozgwieżdżonego nieba, na jej białą jak alabaster twarz skąpaną w poświęacie księżycy. Eve była dumna i piękna, a on jej bardzo pragnął. Chciał zaznać jej dobroci, chciał też zobaczyć, jak w chwili podniecenia objawia się jej dotąd nierozbudzona namiętność. Pragnął ją zrozumieć.

Rozkoszował się widokiem czystej cery i rysujących się pod czarną jedwabną suknią smukłych kształtów. Podobał mu się pełen gracji zarys szyi i szczupłych ramion, a także sposób, w jaki się poruszała, jej lekki krok, nieświadome kołysanie ciała.

Jednak pod tym wszystkim kryła się niewinność, tak rzadko spotykana w kręgach, w których się obracał w Londynie, gdzie każda panna na wydaniu posługiwała się sztuczkami podobnymi do tych, w których celowała - uświadomił to sobie dopiero teraz - Angela Stephenson.

Eve podniosła na niego wzrok. Zaczynała się odprężyć, czemu sprzyjał spokój tego miejsca, a także łagodne, przyćmione światło. Zaczynała też poddawać się uczuciom, które wzbudzał w niej Marcus. Uśmiechnęła się serdecznie.

- Czuję, że muszę pana przeprosić za moje ostre słowa. Nie chciałam, żeby Angela tak łatwo mnie sprowokowała. Przecież wiem, jaka ona jest, i powinnam być na nią uodporniona.

Poprzysięgłam sobie, że kiedy się spotkamy, nie dam jej poznać, jak bardzo mnie zraniła, wychodząc za Lesliego.

- Rozumiem - powiedział łagodnie Marcus. - Wyznaję, iż nie wiedziałem, że się znacie, choć przecież fakt, że Angela wyszła za człowieka, którego pani miała poślubić, był mi znany. Zdaję sobie sprawę, że przedstawiając was sobie, postąpiłem jak człowiek niewrażliwy. Czy zostało mi to wybaczone?

Eve uśmiechnęła się znowu.

- Oczywiście.

- Dziękuję. A więc, panno Somerville, proponuję zostawić ten niemiły temat. Ciekaw jestem, co pani sądzi o Brooklands? Podoba się pani tutaj?

- Tak. Muszę powiedzieć, że to piękny dom - odrzekła szczerze.

- Cieszę się, że pani tak myśli.

- Wiem, że pan ma dwóch braci. Pewnie, robiąc karierę w marynarce wojennej, nieczęsto bywają w domu.

- To prawda. A matka bardzo za nimi tęskni.

- Czy żaden z nich nie chce wraz z panem zająć się górnictwem?

- Pod tym względem obaj są podobni do rodziny matki. Jej brat oraz dwaj jej wujowie służyli na okrętach Jego Królewskiej Mości.

- A pana morze nie pociągało?

- Nie. Wrodziłem się w ojca i dziadka. I dobrze mi z tym.

- Czy był pan w serdecznych stosunkach z ojcem?

- W nadzwyczaj serdecznych. A pani, panno Somerville? Była pani blisko ze swoim ojcem, prawda?

W oczach Eve, na to bolesne wspomnienie, pojawił się wyraz cierpienia.

- Tak, to prawda - przyznała ze smutkiem.

- Sir John zawsze bardzo ciepło o pani mówił.

- Mój ojciec i moja matka byli wzorowymi rodzicami. Żałuję tylko, że tak mało widywałam ojca, bo spędzał mnóstwo czasu poza domem. Zapewne pan o tym wie, panie Fitzalan - powiedziała tonem z lekką oskarżycielskim, niezdolna ukryć gorczy.

Równocześnie poczuła, że pojawił się między nimi jakiś przymus.

Oczy Marcusa zwęziły się.

- To znaczy z dała od pani, czy tak?

- To właśnie mam na myśli. - Jej długo tłumione uczucia wreszcie wydobyły się na powierzchnię. - Wciąż przebywał w kopalni albo z panem, a kiedy przyjeżdżał do domu, musiałam wysłuchiwać niekończących się opowieści o kopalni, no i o panu, o pańskich tak licznych

zaletach... I czułam wtedy taki ból... Proszę mi powiedzieć, był pan kiedyś zazdrosny? - zapytała cicho.

- Zazdrosny? Nie. Nie sędzę.

- No cóż, a ja byłam zazdrosna o pana. To głupie, prawda? - Roześmiała się cicho. - Ale byłam. Tak bardzo, że za każdym razem, kiedy ojciec wymieniał pańskie imię, chciało mi się krzyczeć. Nie dał na pana powiedzieć złego słowa. Nawet po tym niefortunnym incydencie podczas jarmarku w Atwood pozostał pan w jego oczach poza wszelką krytyką. Nie chciał bronić mojego honoru, żądając, żeby pan odpowiedział za swoje postępowanie. Twierdził, że wszystko to była moja wina.

Marcus zrozumiał wreszcie, dlaczego była taka zimna, taka wroga. Doznała od niego nie tylko upokorzenia podczas jarmarku. Zazdrościła mu czasu spędzanego z sir Johnem.

- Cóż mogę na to powiedzieć? Proszę mi wybaczyć. Nie wiedziałem o tym.

- A gdyby pan wiedział, czy to by coś zmieniło?

- Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć.

- Wiem. Zresztą skąd pan miał o tym wiedzieć? Poza niefortunnym spotkaniem na jarmarku, właściwie dla pana nie istniałam. Zresztą, dlaczego miałabym istnieć?

- Ależ nie, wcale tak nie było. Myślałam o pani przez długi czas.

- Doprawdy! Pan mnie zdumiewa. Przecież po tym, jak mnie pan oskarżył, że jestem rozkapryszoną, zepsutą pannicą, kimś, kim pan pogardza, nie mógł pan o mnie dobrze myśleć.

- Proszę mi wybaczyć tamte nieopatrzone słowa. Byłem wtedy bardzo zły.

- Tak, rzeczywiście... i miał pan ku temu powód. Nie powiedział pan wtedy niczego, na co bym nie zasłużyła. - Uśmiechnęła się blado. - Mój ojciec zgodziłby się z panem.

- Być może, ale widzę, że jego nieobecność w domu, szczególnie podczas ostatnich miesięcy życia, wciąż stanowi dla pani źródło cierpienia.

- Już nie. Już dawno się z tym pogodziłam.

- Naprawdę? Proszę wybaczyć, ale nie jestem o tym przekonany. I wbrew temu, co pani sądzi, sir John i ja nie zawsze przebywaliśmy razem. Miałem wiele własnych spraw, które pochłaniały dużo czasu.

- Tak, teraz o tym wiem. Jestem niemądra. Nie powinnam tak mówić.

- Musiała pani zdawać sobie sprawę, jak trudne dla sir Johna były te ostatnie miesiące. Praca trzymała go przy życiu, nie pozwalała mu myśleć o chorobie. Wie pani zapewne, że nawiedzał go trudny do zniesienia ból. Pani ojciec zdawał sobie sprawę, że to śmiertelna choroba, a nim nastąpi koniec, zostanie przykuty do łóżka. A tego okropnie się bał.

- Wiem.

- Proszę go nie winić za to, że skupiał się na pracy. Przebywając w domu, wciąż by myślał, co się z nim stanie. Nie chciał pani zranić, nie czynił tego celowo. Właściwie ten wypadek, choć trudno się z tym pogodzić, był dla niego swoistym błogosławieństwem. Oszczędził sir Johnowi wielu cierpień.

Milczeli przez dłuższą chwilę, aż wreszcie Marcus zapytał ostrożnie:

- Proszę mi powiedzieć, czy podoba się pani Brooklands... na tyle, by uczynić je pani domem? Eve zawahała się, poczuła znowu napięcie. Rozmowa zmierzała do sedna, a tego się obawiała. Jeszcze nie była gotowa na to ostateczne pytanie.

- Mówiłam już panu, że bardzo mi się podoba.

- To nie jest odpowiedź. Uchyła się pani od niej.

- Nie, nie. Wiem, co pan sugeruje - odrzekła chłodno.

- Więc jaka jest pani odpowiedź?

Ich oczy się spotkały i Eve nagle zrozumiała, że nie chce mu odmówić. No, ale jakże bym mogła? - zapytała samą siebie z gorzką ironią. Co innego mogę zrobić? Do czego innego się nadaję, poza mieszkaniem z babką albo ciotką Shoną? Małżeństwo z Marcusem Fitzalanem miało jej zapewnić bezpieczne życie. No i odziedziczy połowę Kopalni Atwoodzkiej, na czym tak bardzo jej zależało.

Nie miała jednak złudzeń. Miłość, jaka powinna istnieć między mężem i żoną, nie wchodziła tu w rachubę. Taka miłość, jaką widziała między rodzicami i jakiej sama nie zaznała. I nie miała zaznać, wychodząc za mąż z wyrachowania za mężczyznę, który ożeni się z nią z jednego tylko powodu. Bo przecież, wbrew temu co powiedział, towarzysząc jej z Pendle Hill do Burntwood Hall, Marcus interesował się nią tylko z powodu kopalni.

- To dziwna sytuacja, prawda, panie Fitzalan? Przed dniem pogrzebu spotkaliśmy się tylko raz, a mimo to mój ojciec zmusza nas do wspólnego życia. W normalnych okolicznościach pogardziłabym takim związkiem i miałabym pretensję do ojca, że stawia mnie przed taką koniecznością.

- Koniecznością?

- Tak, koniecznością. Nie ma na to innego określenia. Oboje widzimy zalety jego planu. Oboje pragniemy mieć Kopalnię Atwoodzką. Co do tego nie ma wątpliwości. Geralda nie poślubię, to wykluczone, więc karty są przeciwko mnie. Jeżeli nie zgodzę się wyjść za pana, pan nic nie zyska, ale też nie straci, natomiast ja stracę bardzo wiele. Właściwie nie mam wyboru. Jestem między młotem a kowadłem. Zebracy nie mają wyboru, panie Fitzalan. A więc cóż innego mogę powiedzieć? Tak, wyjdę za pana za mąż.

Marcus gwałtownie posmutniał.

- Jest pani bardzo prostolinijna, panno Somerville.

- To moja naturalna cecha.

- Czy zawsze mówi pani tak otwarcie?

- Tak. A dlaczego pan pyta? Czy to pana obraża?

- Szczerłość to cecha, którą podziwiam, pod warunkiem, że towarzyszą jej takt i umiejętność zachowania swego zdania dla siebie, gdy to może kogoś zranić.

- Czy pan mnie krytykuje, panie Fitzalan? - spytała gwałtownie.

Oczy Marcusa zabłysły, wargi wygięły się szyderczo, patrzył na nią chłodno. Miał bowiem nadzieję, że zgadzając się w końcu zostać jego żoną, zrobi to z nieco większym entuzjazmem i serdecznością, a nie z lodowatą uprzejmością jak ktoś całkiem obcy.

- Nie, nie krytykuję pani. Cóż, ma pani rację. Rzeczywiście nie mam nic do stracenia, a wiele do zyskania. Nie ma pani obowiązku brać ze mną ślubu. Wybór należy do pani. Miałem nadzieję, że decydując się na to małżeństwo, nie będzie pani przypominać skazańca wstępującego na szafot - powiedział gniewnym tonem.

- Nic nie poradzę, że tak się czuję! - wybuchnęła. - Nie może pan oczekiwać, że będę wniebowzięta. Dobry Boże! Nie chcę za pana wyjść. Nie chcę wychodzić za nikogo, ale postanowiłam zrobić z tego jak najlepszy użytek.

- No cóż, jako „najlepszy użytek” powinienem odczuwać wdzięczność do pani. - Uśmiechnął się szyderczo. - Wiem, że próbowała pani znaleźć wyjście z tej sytuacji. Jeżeli jednak nie chce pani przeprowadzić się do Cumbrii, to innego wyjścia nie widzę.

- Taka, niestety, jest prawda. Robiłam wszystko, żeby znaleźć inną możliwość, ale bez skutku.

- A więc jesteśmy umówieni? Eve zaczerpnęła tchu. - Tak.

- Zatem, skoro doszliśmy do porozumienia, ogłosimy nasze zaręczyny natychmiast i pobierzemy się zaraz po upływie okresu żałoby.

- O nie. Nie zamierzam czekać. Im wcześniej, tym lepiej. - Uśmiechnęła się z ironią. - Nie z powodu żadnych romantycznych uczuć, jakie miałabym żywić do pana, ale dlatego, że nie chcę być w Burntwood Hall, kiedy sprowadzi się tam Gerald.

To było lepsze, niż Marcus się spodziewał.

- A kiedy ma to zrobić?

- Nie wiem tego dokładnie, ale przypuszczam, że za jakiś miesiąc.

- Świetnie. A więc pobierzemy się w ciągu miesiąca. Jednakże, bez względu na to, jakie żywimy do siebie uczucia, nalegam, żebyśmy w oczach świata sprawiali wrażenie zgodnej pary. Czy pani to rozumie?

W tonie jego głosu zabrzmiało ostrzeżenie.

- Tak, doskonale to rozumiem.

- I nie ma pani co do tego obiekcji?

- Nie. Pod warunkiem, że pan dotrzyma naszej umowy. Jego oczy zwęziły się.

- Umowy? Proszę mi przypomnieć jakiej.

- Że nasze małżeństwo będzie małżeństwem wyłącznie z nazwy.

- Tak. Pamiętam, że tak powiedziałem. I mówiłem poważnie. Ale, Eve, chcę jasno powiedzieć, że nie jest to sytuacja, która może trwać wiecznie. Czy naprawdę spodziewa się pani, że będę żył z panią w małżeństwie i nie dopełnię naszego związku?

Jego oczy błyszczały w mroku niczym stal, a ona patrzyła na niego z obawą, świadoma panującego między nimi napięcia.

- Nie... ale... ja... ja miałam nadzieję...

- Więc proszę się jej wyzbyć - odrzekł ostro. - Dotrzymam umowy do chwili, gdy zaistnieje między nami lepsze porozumienie, ale będzie to tylko tymczasowa sytuacja, którą jako pani mąż będę się czuł w prawie zmienić, kiedy tylko zechcę. Żadna ustawa w tym kraju tego prawa mi nie odbierze.

Jego irytacja podziałała na Eve jak smagnięcie biczem, a ogień płonący w jego oczach dotknął ją do żywego. Przez moment patrzyła na niego przerażona... a zarazem zafascynowana jego gniewem.

Jednak w chwilę potem podniosła głowę, zaciskając wargi i piorunując go wzrokiem.

- Ma pan na myśli to, że przymusiłby mnie pan siłą? Jego uśmiech był w najwyższym stopniu irytujący.

- Nigdy nie zmuszałem do miłości kobiety, która mnie nie chciała, i nie czuję pokusy, żeby to zrobić teraz. Pomimo pani wrogości i ostrego języka... czego po ślubie nie będę tolerował...

zauważyłem w pani spojrzeniu i pani słowach oznaki, które pozwalają mi mieć nadzieję na lepsze. Sądzę, że gdy zostanie już pani moją żoną, nie będę musiał długo czekać na odmianę.

- Zatem muszę panu powiedzieć, że nie mam zamiaru się zmienić! Nie spełnię pana nadziei, więc może pan iść do diabła!

Była tak wściekła, że odwróciła się raptownie i ruszyła przez taras, zamierzając wrócić do salonu. Zanim jednak zdążyła się zorientować, Marcus chwycił ją mocno za ramiona.

Na widok furii w jego oczach poczuła przerażenie. Nie mogła oderwać od nich wzroku, a twarz znalazła się tak blisko jej twarzy, że poczuła w jego oddechu zapach brandy.

- Proszę zabrać ręce... ty... ty brutalu - syknęła. - Jeżeli pan tego nie uczyni, będę krzyczeć.

Uśmiechnął się, ignorując jej żądanie, i skupił wzrok na jej wargach.

- Nie sądzą, żeby pani to zrobiła... - Odnalazł ustami jej wargi, przekonując się, że są tak samo miękkie i słodkie jak przed trzema laty.

Ogarnięta paniką Eve podniosła rękę, żeby go odepchnąć, jednak zamiast tego napała na niego, czując twardość jego ciała. Nagle jego dłoń zaczęła pieścić jej kark, a ją ogarnęła fala gorąca i ogromne podniecenie. Wargi Marcusa, z początku twarde i natarczywe, zmiękły, a jego pocałunek, głęboki i powolny, sprawił, że w żyły Eve wstąpił ogień przemieniający się w słodycz.

Gdy wreszcie przerwał pocałunek, poczuła się pozbawiona absolutnie wszystkiego. Tymczasem on wtulił twarz w jej szyję, wyczuwając puls bijący pod powierzchnią skóry, a w jej żyłach krew zrobiła się gorąca z pożądania.

Uświadamiając sobie, co się dzieje, widząc, że ten czuły atak łamie cały jej opór, Eve doznała szoku. Otworzyła oczy, próbowała się otrząsnąć, ale napotkała jego wzrok.

- Proszę, Marcusie... proszę tego nie robić - błagała, wstrząśnięta tym, co uczynił.

Lecz on zignorował jej prośbę i ponownie ją objął, smakując jej poddające się, chętne wargi - tak wilgotne, wonne i słodkie niby miód - i czując jej ciało przy swoim, takie jędrne, a równocześnie miękkie i uległe.

Eve zamruczała leniwie. Przestała myśleć, czuła tylko niespełnioną, bolesną potrzebę i przetaczającą się przez jej ciało słodką mękę namiętności.

Gdy Marcus rozluźnił uścisk i uniósł nieco głowę, uświadomił sobie, że pragnie jej z żarem, który zapiera mu dech. Nigdy w życiu nie widział kobiety równie pięknej jak Eve.

- Gdybym mógł, wziąłbym od pani rozkosz natychmiast... - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Obudziłbym w pani całą namiętność, do jakiej jest pani zdolna.

Wciąż oszołomiona pocałunkiem, popatrzyła na niego bezradnie. Pragnęła tylko jednego: by natychmiast się z nią kochał. Przeczuwała, że ich zespolenie przyniesie jej rozkosz i zachwyt. Wstydziła się jednak swoich myśli, wstydziła się tego, że zachowuje się tak jak trzy lata temu podczas jarmarku.

A Marcus, patrząc na nią, zauważył, że drżą jej wargi i że twarz pod burzą ciemnych włosów jest kredowobiała. W jej oczach pojawiły się łzy, a jego na ten widok ogarnęła czułość. Eve budziła w nim wszystkie drzemiące dotąd instynkty opiekuńcze. Wyglądała tak młodo, tak niewinnie. Marcus wiedział, jak łatwo mógłby ją teraz wykorzystać, lecz nie potrafiłby tego zrobić. Jednak nie wypuścił jej z objęć. Stali spleceni nieruchomo i patrzyli sobie głęboko w oczy. I nawzajem przenikali swoje myśli.

Zahipnotyzowana spojrzeniem oczu Marcusa płonących jak dwa błękitne płomienie, Eve dostrzegła w nim wielką serdeczność. Po jej policzku spłynęła wolno pojedyncza łza. Marcus starł ją delikatnie palcem.

- Nie jest mi pani tak przeciwna, jak usiłuje mi to wmówić. - Uśmiechnął się z satysfakcją. - Mimo to przepraszam, Eve. Nie zamierzałem tak postąpić. Ale proszę się nie martwić. Ja mówiłem poważnie i obiecuję, że po ślubie nie będzie pani niepokojona aż do chwili, gdy pani zechce, żeby było inaczej.

Cofnął się, a jej kolana drżały tak bardzo, że musiała się oprzeć o ścianę. Zimny rozum podpowiadał jej, żeby się nie angażować, że szaleństwem jest wychodzić za człowieka, który czyni ją tak bezbronną. Mimo to jednak emocje, jakie w niej wzbudził, powodowały, że pragnęła tego, co chciał jej dać. Całe jej ciało reagowało na niego - bezwstydnie i pożądliwie. Jak miała sobie z tym poradzić? Czy zdoła utrzymać się w nakazach rozumu? Czy jednak to, co on sugeruje, zawsze jest najlepsze? Bezradnie opuściła głowę.

- Proszę się uspokoić. Sądzę, że nadszedł czas, żebyśmy wrócili do środka. Myślę też, że to dobra chwila na ogłoszenie naszych zaręczyn, oczywiście po rozmowie z moją matką i pani babką. Za kilka dni odwiedzę panią w Burntwood Hall, żeby omówić dalsze sprawy.

- Ja... mnie może tam nie być. -O?

- Zamierzam pojechać do przyjaciółki, Emmy Parkinson. Mieszka niedaleko Atwood, w pobliżu gościńca prowadzącego do Leeds. Jej matka była tak miła, że zaprosiła mnie na kilka dni. Uważa, że taka odmiana dobrze mi zrobi.

- Jestem pewien, że pani Parkinson ma rację. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, odwiedzę panią właśnie tam. - Wziął ją pod ramię i poprowadził do salonu.

Rozdział dziewiąty

Wracając z wielce zadowoloną babką do Burntwood Hall, Eve z trudem przyzwyczajała się do myśli o zaręczynach w Marcusem Fitzalanem. Bo już sama myśl, że zostanie jego żoną, napelniała jej serce niepokojem i lękiem. Przy każdym spotkaniu z nim czuła, że musi się bronić, istniało też między nimi jakieś prawie dotykalne napięcie. Przebywając z innymi ludźmi, zawsze panowała nad sytuacją - jednak nie z nim. Świadomość jego obecności była przytłaczającym doznaniem. Marcus Fitzalan wyprowadzał ją z równowagi do tego stopnia, że nie potrafiła sobie z tym poradzić.

Próbowała przekonać samą siebie, że małżeństwo z nim byłoby katastrofą. Mówiła sobie, że nie jest jeszcze za późno na to, żeby wszystko odwołać i powrócić do stanu normalności, w którym żyła, zanim go poznała. Jednak na wspomnienie pocałunku, a także słów Marcusa, ogarniało ją bezwstydną pożądanie. A przecież tylko ją pocałował. Co zatem by się stało, gdyby się z nią kochał...?

Marcus powiedział jej, że bez jej zgody nie skonsument ich małżeństwa. Jednak jak długo wytrzyma, widując go dzień w dzień, a każdej nocy mając świadomość, że śpi w pobliżu? Gdy westchnęła głęboko, babka odwróciła głowę i popatrzyła na nią uważnie.

- Czy dobrze się czujesz, Eve?

- Tak... tak. Doskonale, babciu, dziękuję.

Oparła z uśmiechem głowę i zamknęła oczy. Walczyły w niej sprzeczne emocje - zdumienie, złość i upokorzenie. Ale jedna rzecz była dla niej jasna i pewna: pragnęła, by Marcus ją całował. To, co do niego czuła, było dla niej wciąż niezgłębioną zagadką, wiedziała jednak, że nie może przestać o nim myśleć. Czy jej się to podobało, czy nie, Marcus Fitzalan nieodwołalnie wkroczył w jej życie.

Przez cały następny dzień Eve wspominała wieczór spędzony w Brooklands, a szczególnie tę chwilę, w której Marcus, przyciągając ją do siebie, oznajmił gościom, że panna Somerville uczyniła mu wielki zaszczyt i zgodziła się zostać jego żoną. Wtedy instynktownie odszukała wzrokiem Angelę i przekonała się, że ta - nie zmieniając wyrazu twarzy - patrzy na nią, mrużąc oczy.

Decyzja o ślubie została przyjęta przez wszystkich zgromadzonych z nieskrywanym aplauzem. Gratulowano im, życzo szczęścia, jednak Eve nie mogła przestać zastanawiać się, kim dla Marcusa jest Angela, bowiem przez cały wieczór dostrzegła w ich zachowaniu dziwne sprzeczności.

Faktem było, że w ogrodzie wydawali się sobie bliscy, jednak później, przy ludziach prawie z sobą nie rozmawiali, niemal się ignorując. Było to bardzo dziwne i budziło jej podejrzenia. Jednak co to może mieć za znaczenie? Dlaczego wywołuje w niej tyle emocji? Podjęła już przecież decyzję - poślubi Marcusa Fitzalana dla własnej korzyści. Ustalili też, że ich małżeństwo przez jakiś czas będzie małżeństwem tylko z nazwy. Początkowo jej to odpowiadało, jednak Marcus zachwiał jej decyzję swym namiętym pocałunkiem.

Ale czy ten pocałunek coś znaczył? Eve nie łudziła się - Marcus nie darzy jej uczuciem. Jeżeli między nim a Angellą Stephenson naprawdę coś jest, to jego pragnienie odzyskania Kopalni Atwoodzkiej musi być ogromne, skoro kochając inną kobietę, żeni się z nią. Tak czy inaczej, bez względu na to, jaki charakter będzie miało ich małżeństwo, nie zamierzała traktować lekko jego równoczesnego związku z Angellą czy jakąkolwiek inną kobietą.

Kilka dni po wizycie w Brooklands, za pozwoleniem babki, która miała pozostać z Burntwood Hall aż do jej ślubu z Marcusem, Eve pojechała w odwiedziny do Emmy Parkinson, która wraz z całą rodziną mieszkała nieopodal w pięknym dworze. Jej ojciec, choć nie posiadał znacznej fortuny, był człowiekiem dość zamożnym.

Eve i Emma od wczesnego dzieciństwa były przyjaciółkami od serca. Emma - inaczej niż Eve, która była jedynaczką - miała sześć młodszych siostr oraz brata. Najmłodszymi z jej rodzeństwa były pięcioletnie bliźniaczki.

W niedzielę, w dwa dni po przyjeździe Eve, całe towarzystwo udało się na piknik nad rzekę, która, wijąc się, płynęła poprzez łąki o pół mili od ich domu. Popołudnie było gorące i parne, dzieci bawiły się na brzegu, a pokojówki i niania w cieniu drzew rozpakowywały kosze z wiktuałami.

- Ty to masz szczęście, Em - westchnęła Eve, usadowiwszy się na trawie obok rozciągniętej wygodnie przyjaciółki.

- Szczęście? Jakie szczęście?

- Masz wokół siebie dużą uroczą rodzinę. Dałabym wszystko, żeby mieć choć jednego brata albo siostrę... Bo nie mając rodzeństwa...

- Nie mów już nic więcej - roześmiała się Emma. - Wierz mi, że czasami te urocze dzieciaki doprowadzają nas do rozstroju nerwowego. Bliźniaczki są wprost niemożliwe, a Jonathan wciąż się z nimi droczy. - Z serdecznym uśmiechem spojrzała na siedmioletniego brzdąca, obserwując przy tym, jak poczciwy Matthew Somerville, młodszy brat Geralda, usiłuje poskromić rozbrykaną gromadkę. - Rodzice okropnie rozpuszczają Jonathana, bo jest jedynym synem, a poza tym wszyscy uważają go za wyjątkowe dziecko. Ale wiesz, Eve, skoro tak lubisz dzieci - uśmiechnęła się - to będziesz wkrótce mogła mieć gromadkę własnych.

Eve przygryzła wargę.

- Nie sądzę, że to nastąpi wkrótce. Uważam raczej, że stanie się to nieprędko. Och, Em, zawsze marzyłam, że spotkam swojego księcia z bajki, zakocham się w nim i będę przez resztę życia szczęśliwa...

- To smutne, ale w życiu często bywa inaczej.

- Wiem. Marcus Fitzalan uważa, że jestem jeszcze dzieckiem, ale mogę cię zapewnić, że w ciągu ostatnich tygodni bardzo dojrzałam. Czuję się tak, jakby od śmierci ojca upłynęło dwadzieścia lat. I mam wrażenie, że w tym czasie mnie oszukano.

- Oszukano?! Nie powiedziałabym tego. Przecież masz wyjść za człowieka, który stanowi najlepszą partię w całym West Riding. Mnóstwo kobiet ci tego zazdrości, a ja jestem jedną z nich. - Emma roześmiała się. - Ale zdradź mi, na pewno wyjdiesz za Marcusa Fitzalana, prawda?

- Cóż, tak mu powiedziałam, ale smutna rzeczywistość jest taka, że właściwie nie mam wyboru - wyjaśniła Eve z żalem.

- Tak mu powiedziałas, a ja ci radzę, nie zmieniaj zdania. Spójrz na to jak na jakąś wspaniałą okazję. Nie pozwól, żeby ci się wymknęła z rąk. Bo wierz mi, jeżeli zaszyjesz się w pustkowiu Cumbrii, będziesz tego gorzko żałowała. Nim się obejrzyysz, życie przejdzie obok ciebie.

- Em, chcę mieć pewność, że postępuję słusznie. W tej chwili jestem osobą wolną, panią samej siebie, i nie mam ochoty tego zmieniać. Dlaczego mam wychodzić z mężem, skoro tego nie chcę? Prawda jest taka, że się boję tego małżeństwa. Boję się wyjść za tak dominującego człowieka i oddać swoje życie pod jego kontrolę. Na samą myśl o tym budzi się we mnie złość.
- Eve, okażesz się idiotką, jeżeli nie wyjdiesz za Marcusa Fitzalana. Stracisz wtedy nie tylko możliwość poślubienia najprzystojniejszego kawalera w okolicy, ale także Kopalnię Atwoodzką.
- Żeby zachować kopalnię, wcale nie muszę wychodzić za Marcusa Fitzalana. Mogłabym do końca życia pozostać w Burntwood Hall, sprawiając, że kopalnia pozostanie, przynajmniej na piętnaście lat, w rękach Somervilleów. Stałoby się tak, gdybym wyszła za Geralda.
- Co takiego? - zawołała zdumiona Emma. - Eve, ty... ty nie możesz tego zrobić!
- Rzeczywiście, nie mogę. Ale on już mnie poprosił o rękę. Wiesz dobrze, że nie pałam do niego zbyt wielką sympatią, a mówiąc wprost, nie znoszę go. Gerald ma mnóstwo nieprzyjemnych cech i czasami mnie przeraża. Z całą pewnością nie mogłabym dzielić z nim życia, bo nie jest człowiekiem godnym zaufania. Żałuję, że to nie Matthew jest starszym z tych dwóch braci... O ileż wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby to on, a nie Gerald, odziedziczył majątek.
- Emma spoważniała, zastanawiając się nad słowami Eve. Jeżeli o nią chodziło, to dziękowała Bogu, że tak nie jest, bo Matthew był jej miłością, o czym Eve zresztą wiedziała.
- Nie martw się, Em - uśmiechnęła się Eve uspokajająco. - Wiem, jak bardzo ty i Matthew jesteście sobie bliscy. Tylko człowiek ślepy nie zauważyłby tego. Jednak czy sądzisz, że Marcus Fitzalan, odzyskawszy Kopalnię Atwoodzką, zapala do mnie wielką sympatią? Przecież między nami zostało zasiane ziarno niezgody. Stało się to wtedy, kiedy przed trzema laty dałam się podpuścić Angeli.
- Głupstwa mówisz. Na pewno już zapomniał o tej historii, bo inaczej nie żeniłby się z tobą. - Westchnęła zniecierpliwiona oporem przyjaciółki, która za nic nie chciała ulec czarowi tak wspaniałego kawalera. - Powiedz mi, Eve, jak reaguje pan Fitzalan, gdy nie potrafisz ukryć wrogości? Czy to nie budzi jego gniewu?
- Owszem, budzi. Niestety, czasami naprawdę trudno mi ukryć swoje uczucia. Marcus Fitzalan jest taki dumny i arogancki. Uważa siebie za kogoś niezmiernie ważnego.
- Czemu się dziwisz? Człowiek tak bogaty, człowiek, któremu w życiu tak się wiedzie, ma do tego prawo. Niektórzy powiadają, że wśród przyjaciół jest miły i wesoły. Jednak doszły mnie także słuchy, że potrafi wpaść w straszną złość. Nie denerwuj go lepiej przed ślubem, bo gotów zmienić zdanie i ożenić się z kimś innym.
- Wątpię, by to uczynił, bo zbyt mocno zależy mu na Kopalni Atwoodzkiej. Jestem pewna, że gdyby nie testament mojego ojca, nie zwróciłby na mnie uwagi, nie mówiąc już o małżeństwie. Powiedz mi, Em... czy słyszałaś coś na jego temat? Jakies plotki o nim i o znanej nam osobie?
- Emma, na myśl o możliwym skandalu, otworzyła szeroko oczy.
- Nie. A powinnam była słyszeć?
- Po prostu... myślałam, że bywając na salonach Atwood i Netherley... słyszałaś coś takiego. To wszystko.
- Nie. Nic takiego do mnie nie doszło, a przecież o panu Fitzalanie w towarzystwie często się mówi. Powiada się, że w przeszłości romansował z kilkoma damami, ale ponieważ nie bywa na salonach Atwood i Netherley, nie ma co do tego pewności. Eve... musisz mi powiedzieć. Która to dama? Jak się nazywa?
- Dobrze, powiem ci. Mam na myśli Angelę Lambert... no, po Lesliem Stephenson.

- Angela i pan Fitzalan?! Ależ nie, to absurdalne. Ja w to nie wierzę. I ty też w to nie wierz. Wiem, że po śmierci Lesliego Angela w najmniejszym nawet stopniu nie przypominała zbolelej wdowy. Spędziła sporo czasu w Londynie, gdzie, jak mówił mi Matthew, dobrze poznała Geralda i jego przyjaciół, ale nie słyszałam, by coś ją łączyło z panem Fitzalanem. A z jakiego powodu tobie to przyszło do głowy?

- Och, wiesz, właściwie bez powodu. - Eve uśmiechnęła się z przymusem. - Proszę cię, Emmo, zapomnij, że cokolwiek mówiłam. To było głupie z mojej strony.

Emma zmarszczyła brwi. Dobrze wiedziała, że Eve nie ma zwyczaju oskarżać nikogo bez powodu. Wiedziała też, że Angela niegdyś bardzo ją zraniła.

- Oczywiście, że to głupie. Jednak chciałabym wiedzieć, dlaczego zadałaś to pytanie.

- Tylko dlatego, że spotkałam Angelę w Brooklands. Przypadkiem zobaczyłam ją w ogrodzie razem z Marcusem. Zachowywali się dość poufale, zaczęłam więc podejrzewać, że łączy ich nie tylko zwykła znajomość. Poczułam się... jak intruz.

- Zachowywała się tak zapewne dlatego, że jest zazdrosna. Obie wiemy, jak potrafi być złośliwa i przebiegła. Boże drogi, Eve, przecież to nie ja, ale ciebie zamierza poślubić pan Fitzalan. Na twoim miejscu nie zaprzętałabym sobie tym głowy, skoro jednak tak bardzo się tym przejmujesz, to może nie jesteś do pana Fitzalana nastawiona aż tak wrogo?

Eve spuściła oczy i głęboko westchnęła.

- Rzeczywiście - przyznała miękko. - Wprawia mnie w takie pomieszenie, że sama nie wiem, co robię i co mówię.

- Wygląda mi na to, że jesteś na najlepszej drodze do tego, żeby się w nim zakochać.

- Tak... Naprawdę na to wygląda. Wtedy, podczas jarmarku, potraktował mnie tak okropnie, że uznałam go za człowieka bez skrupułów i nie chciałam słuchać, gdy ktokolwiek wyrażał się o nim dobrze.

- A teraz?

- A teraz sama się sobie dziwię, że nie potrafię źle o nim myśleć. Przez tak długi czas byłam wrogo do niego nastawiona. Teraz jednak, kiedy go lepiej poznaję, zaczynam dostrzegać drugą stronę jego natury. Tę, którą tak podziwiał mój ojciec. Wygląda na to, że będę musiała zmienić o nim zdanie.

- Miło mi to słyszeć, Eve. Małżeństwo, które zaczyna się od goryczy i żalu, nie wróży szczęścia na przyszłość. A teraz chodźmy, bo niania nas woła. Dzieci już się rozsiadły, czas na posiłek.

Eve szła w ślad za nią, zaskoczona faktem, że tak łatwo przyszło jej zwierzyć się ze swoich uczuć do Marcusa. Pamiętała jednak, do czego jest zdolna Angela. Wiedziała, że ta podstępna, zawistna intrygantka swoimi knowaniami może zagrozić jej małżeńskiemu szczęściu.

Podczas gdy Emma pomagała pokojówkom i niani sprzątać talerze po pikniku, Eve i Matthew pobiegli z dziećmi nad rzekę, skąd po chwili zaczęły dobiegać donośne wybuchy śmiechu i okrzyki radości.

Tymczasem w ich stronę zmierzał Marcus Fitzalan, który postanowił przyjechać do państwa Parkinsonów i zobaczyć się z Eve. Gdy zbliżył się do rzeki, zwabiły go śmiechy i radosne okrzyki. Wyloniwszy się spomiędzy drzew, wjechał na małą polanę, gdzie rosły jeżyny i wiciokrzew, a także rozpościerał się błękitny dywan z niezapominajek.

I, ku swej radości, zobaczył Eve rozciągniętą na porośniętym trawą brzegu rzeki. Leżała nieruchomo, obserwując obłoki płynące po bezkresnym niebie i oddychała głęboko, całą piersią. Marcus patrzył na nią zachwycony. Pozostając bowiem w całkowitej harmonii z otoczeniem, wyglądała tak, jak musiała wyglądać jej imienniczka w raju - niezmiernie kobieco, wprost czarująco.

Jednak radość, którą Marcus odczuł na jej widok, szybko zgasła, jego wzrok padł bowiem na młodego człowieka leżącego u jej boku. Marcusa na ten widok ogarnęła niezrozumiała panika i wielki gniew, ponieważ doszedł do wniosku, że - zanim zdążył rozeznaczyć się w uczuciach, jakie wzbudza w nim Eve - skradziono mu ją, pozbawiono go tego wielkiego skarbu. Przyszło mu też na myśl, że być może trzy lata temu, oskarżając ją o to, że jest rozpustną małą kokietką, miał całkowitą rację.

Gdy cień samotnego jeźdźca, który wjechał właśnie na polanę, padł na niego i na Eve, Matthew, wytrącony z błogostanu, usiadł i w milczeniu zaczął wpatrywać się w przybysza.

Poznał natychmiast Marcusa, którego widział w kopalni, i skulił się prawie pod jego lodowatym, pełnym gniewu i niezadowolenia spojrzeniem. Wiedział bowiem, że Marcus jest narzeczonym Eve.

Wiedział, co może sobie pomyśleć, widząc ich razem w mokrych i znajdujących się w nieładzie ubraniach. Uświadamiając to sobie, Matthew zapragnął zapaść się pod ziemię, a jego twarz stała się purpurowa ze wstydu.

Tymczasem Marcus, patrząc na Eve, która leżała z rozpuszczonymi, długimi, jedwabistymi włosami, nie mógł oderwać od niej wzroku. Stanowiła bowiem wspaniałą widok. Patrzyła mu dumnie prosto w twarz płonącymi fiołkowymi oczami. Nie okazywała przy tym zaniepokojenia z powodu jego przyjazdu, zdawała się też nie dbać o należną córce lorda skromność. A on na jej widok czuł gorące mrowienie.

Eve, rozciągnięta na trawie, bez butów i pończoch, twarz miała zarumienioną od słońca i śmiechu. Dolne partie jej nóg - długie, białe, szczupłe i zgrabne - były obnażone, nieprzykryte spódnicą. Marcusa ogarnęła wściekłość. Jak ona śmie, pomyślał, pokazywać się w ten sposób temu nieopierzonemu młokosowi?!

- Mam nadzieję - odezwał się, omiatając ich wzrokiem i nie mogąc sobie przypomnieć, skąd zna tego młokosa - że rzeczy nie przedstawiają się tak, jak wyglądają na pierwszy rzut oka. Nie sądzę, bym znał tego pana. Eve, bądź tak dobra i przedstaw nas sobie.

- Z przyjemnością. Choć wiedząc, że znasz jego starszego brata, dziwię się, że nie poznałeś i jego. Matthew, przedstawiam ci pana Fitzalana. A to jest Matthew Somerville, Marcusie. Brat Geralda. Pracuje jako agent handlowy Kopalni Atwoodzkiej.

Ciemne brwi Marcusa zbiegły się gniewnie, był bowiem przekonany, że każdy, kto spokrewniony jest z Geraldem Somerville'em, nie posiada żadnych moralnych hamulców. Matthew wstał z purpurową twarzą, nie mając pojęcia, jak bardzo Marcus Fitzalan nienawidzi jego starszego brata.

- Tak... ja... ja wiem, kim pan jest, proszę pana. Pan jest...

- Narzeczonym panny Somerville. Prawda, Eve?

- Tak - potwierdziła, czując, że więzy zadziergnięte między nimi w Brooklands zaczynają pękać.

- Pozwolę więc sobie pogratulować panu, proszę pana - powiedział Matthew grzecznie, po czym schylił się i chwycił swoje buty, pragnąc jak najprędzej wyplątać się z tej niezręcznej sytuacji. - Przepraszam. Muszę zobaczyć, co robią dzieci.

Marcus odprowadził go chłodnym okiem, a potem zmierzył spojrzeniem Eve. Kiedy jego wzrok padł na jej obnażone nogi, przykryła je skromnie spódnicą, co niezmiernie go rozgniewało. Przecież jeszcze przed chwilą pozwalała temu młokosowi napatrzeć się do woli, lecz jemu odmawiała tego prawa, jemu, Marcusowi, swemu narzeczonemu! Po ślubie to się zmieni! - postanowił. Już on jej pokaże, że nie wolno ważyć się na takie rzeczy.

Zsiadł z konia i stanął nad nią, nie odzywając się ani słowem. Jego sztywna postawa, jego spojrzenie i zaciśnięte usta powiedziały Eve wszystko. Górował nad nią niby jakiś rozgniewany bóg zemsty. A ją jego wściekłość wprawiła w ogromną konsternację. Dlaczego, pomyślała z żalem, ojciec nie zostawił połowy kopalni komuś takiemu jak Matthew? Komuś normalnemu w kontaktach, nieskomplikowanemu? O ileż łatwiej przyszedłoby jej wtedy zdecydować o swojej przyszłości.

Wstała z westchnieniem i wygładziła sukienkę.

- Jestem zaskoczona twoim przybyciem, Marcusie. Myślałam, że jako człowiek bardzo zajęty, nie masz czasu, by jeździć po okolicy z wizytami.

- Rzeczywiście, mam wiele zajęć. Nie jestem jednak zbyt zajęty na to, by odwiedzić moją narzeczoną - odrzekł lodowato, ignorując jej lekki sarkazm.

- Pochlebia mi to. A skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Zajechałem do dworu w nadziei, że cię tam zastanę. Pani Parkinson poinformowała mnie, gdzie cię można znaleźć. To szczęście, że przybyłem w tym momencie, bo inaczej kto wie, do czego by doszło między tobą a panem Somervilleem. Nie masz mi nic do powiedzenia?

- Nie. Nie sądzę, bym musiała się tłumaczyć. - Eve spojrzała mu prosto w oczy. Wiedziała, że nadeszła chwila, w której jego arogancja i niezłomna wola muszą się zetrzeć z jej wolą i uporem.

- Nie obchodzi mnie twój gniew. Nie boję się ciebie, Marcusie.

Próbując opanować ogarniającą go furję, Marcus zrobił krok w stronę Eve.

- Nie chcę, żebyś się mnie bała, Eve, ale proszę cię o wyjaśnienie. W końcu jest tylko jedna rzecz, która mi przychodzi do głowy, gdy widzę, że się zachowujesz jak ladacznica.

- Nie bądź śmieszny, Marcusie - stwierdziła spokojnie. - Raz w życiu, trzy lata temu, zachowałam się niestosownie, a ty podejrzewasz mnie o Bóg wie co. Gdybyś nie czał się za drzewami, tylko postępował jawnie, jak na dżentelmena przystało, zobaczyłbyś nie swoje imaginacje, tylko to, co zdarzyło się naprawdę. I muszę cię rozczarować, bo zdarzyło się niewiele. - Uśmiechnęła się drwiąco. - Bawiliśmy się z dziećmi, jak to mamy w zwyczaju. Wiedz też, że z Matthew znamy się od dziecka.

- Nawet gdyby tak było, to dzieci przecież dorastają. Eve, nie udawaj takiej naiwnej. Wiesz tak samo dobrze jak ja, co temu młokosowi może przyjść do głowy, kiedy przebywacie sam na sam... i na dodatek na wół rozebrani.

- Na miły Bóg, Marcusie Fitzalan! Zachowujesz jak zazdrosny mąż. Przecież zdjęłam tylko buty i pończochy, żeby wejść z dziećmi do wody. Nie sądz innych po sobie. Matthew nie ma takich myśli. Tego jestem najzupełniej pewna. Poza tym on od zawsze darzy uczuciem Emmę, a nie mnie. A może ty nie lubisz, kiedy ludzie się cieszą?

- Przeciwnie. Lubię się dobrze bawić i lubię, gdy bawią się inni. Nie chcę tylko widzieć, jak moja przyszła żona robi z siebie pośmiewisko.

- O! Tego już za wiele! Zabawa z dziećmi to nie żadne robienie z siebie pośmiewiska. A może masz coś także przeciwko dzieciom?

- Tak się składa, że bardzo je lubię i zamierzam wkrótce mieć ich sporą gromadkę.

- Nie sądzisz, że najpierw powinieneś to omówić ze mną?

- Owszem, omówię, kiedy nadejdzie właściwy czas. Teraz jednak muszę ci powiedzieć, że twoje zachowanie przekracza wszelkie granice przyzwoitości. Kiedy się pobierzemy, będziesz musiała postępować tak jak przystoi mojej żonie. Będę szczęśliwy, kiedy zajmiesz się domem i własnymi, a nie cudzymi dziećmi.

- A mnie wychowano w przeświadczeniu, że damy traktuje się grzecznie i z szacunkiem.

- Osoba, która chce być traktowana jak dama, musi się zachowywać jak dama!

- Jak... jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób?! - Aż zatchnęło ją z oburzenia.

Marcus zbliżył się do niej.

- Ano śmiem, skoro kobieta, którą mam poślubić, bezwstydnie hula w krzakach z jakimś wyrostkiem.

- Nic takiego nie robiliśmy! - Z coraz większym trudem nad sobą panowała. - Wiedz też, że Matthew nie jest żadnym wyrostkiem, tylko odpowiedzialnym, opiekuńczym dorosłym człowiekiem, a przy tym moim krewnym, którego bardzo lubił mój ojciec. - Przerwała na moment, policzyła do pięciu. - A poza tym to, co ja robię, nie powinno cię wcale obchodzić.

- A jednak to mnie obchodzi, moja panno - odrzekł Marcus gwałtownie. - Nie będę stał beczynnie z boku i patrzył, jak moja żona odmawia mi tego, czym hojnie obdarowuje innego. Oczy Eve zwęziły się ze złości.

- Nie jestem jeszcze twoją żoną, Marcusie. I raczej nią nie będę, jeżeli nadal będziesz mnie obrażał i zachowywał się tak agresywnie i niesprawiedliwie. Powiedziałaś, że mnie nie tkniesz, dopóki nie będę na to gotowa! Czy mam rozumieć, że wycofujesz się z danego słowa?

- Nie, bo ja raz danego słowa nigdy nie cofam. Jednak sytuacja, o jakiej mówisz, nie będzie w naszym małżeństwie trwała bez końca. Nie jestem człowiekiem cierpliwym, a abstynencja w tych sprawach jest ciężką pokutą. Nie zamierzam pokutować w ten sposób przez całe życie.

- No to nie marnuj czasu, czekając na mnie.

- Wcale go nie marnuję. Ostrzegam cię jednak, że za moimi plecami nie możesz mieć żadnych miłości. Jeżeli sądzisz inaczej, to mnie nie znasz.

- A więc dobrze. Skoro mówisz do mnie w ten sposób, to przyjmij do wiadomości, że wcale nie chcę cię znać!

- Co za bezczelność!

- No i powiedz mi jeszcze, Marcusie - uniosła dumnie głowę - czy wszystko, co przed chwilą mi oznajmiłaś, stosuje się także do ciebie?

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Angelę Stephenson - odrzekła chłodno, oskarżycielsko. Spojrzał na nią zdumiony, a potem roześmiał się w głos.

Eve ogarnęła wściekłość. Była zła nie tyle na niego, ile na siebie samą, bo przecież nie zamierzała mówić mu o tym, że była świadkiem ich spotkania w ogrodzie w Brooklands. I za nic nie chciała przyznać się do zazdrości. Dopiero zrobiłaby z siebie idiotkę!

- Angela! Ależ to zabawne. Angela to moja znajoma, nic więcej. Po prostu nasze matki się przyjaźnią. - Spojrzał na Eve zmrużonymi oczami. - Aha! Jesteśmy zazdrośni?

- Nie bardziej niż ty o Matthew Somervillea - odrzekła sztywno.

- Jeżeli nawet była to zazdrość, to jedynie jako reakcja na skandaliczną sytuację.

- Dobrze, dobrze - roześmiała się. - Wyglądałeś tak, jakbyś był gotów wrzucić biednego Matthew do rzeki. Nie zaprzeczaj, bo to zda się na nic.

- Wcale nie zaprzeczam. Ale uwierz mi, Eve, Angela Stephenson jest tylko moją znajomą. I nic więcej.

- Widząc was razem w ogrodzie w Brooklands, nie odniosłam takiego wrażenia, a sądząc po zachowaniu Angeli, raczej podziela moje zdanie.

- To prawda, spotkałem Angelę w ogrodzie. Całkiem przypadkiem, mogę cię o tym zapewnić.

Może cię zaskoczę, ale szukałem wtedy ciebie i bardzo się rozczarowałem, nigdzie cię nie widząc. Zauważyłem, że Angela siedzi przy fontannie, więc podszedłem do niej. I to wszystko.

Ale jak możesz mnie oskarżać, że cię podglądałem, skoro sama masz na sumieniu podobne przewinienie? Jeżeli nas tam wtedy widziałaś, to powinnaś była wyjść z ukrycia.

Patrzył na nią z kpiącym uśmiechem. Było to wprost nie do zniesienia.

- Nie ukrywałam się, ale nie mogłam przecież przerwać takiego czulego sam na sam. Angela mnie widziała - rzuciła ze złością. - Ale wiesz, powiem ci, że wcale nie muszę się z tym godzić. Bo nie muszę wychodzić za ciebie za męża!

- Mylisz się, moja droga. Musisz za mnie wyjść. - Marcusa znowu ogarnął gniew. - Jeżeli chcesz zachować Kopalnię Atwoodzką, musisz to zrobić. Potrzebujesz mnie tak samo, jak ja potrzebuję ciebie. Nie możesz nic na to poradzić. A teraz włóż buty i przedstaw mnie swoim przyjaciołom. Im wcześniej ten szczeniak uświadomi sobie, że masz być moją żoną, tym lepiej się będę czuł.

- Chcesz postawić na mnie swój stempel. Czy tak?

- Jeżeli masz ochotę tak to określić.

- A zatem, jeżeli masz poznać moich przyjaciół, byłabym zobowiązana, gdybyś zmienił wyraz twarzy.

- Słucham?

- Z taką miną przestraszysz dzieci - wyjaśniła cierpko, po czym wzięła buty oraz pończochy i ruszyła przed siebie.

Marcus odprowadził ją wzrokiem, aż wreszcie wybuchnął stłumionym śmiechem. I poszedł za nią, obserwując ją z podziwem. Był pewien, że w życiu czeka ich jeszcze wiele kłótni i utarczek.

Rozdział dziesiąty

Marcus szybko dowiedział Eve, że dzieci się go nie boją. A dowodząc tego, spoglądał na nią od czasu do czasu, bardzo z siebie zadowolony. Z początku cała gromadka mierzyła go niepewnym wzrokiem, wkrótce jednak do tego stopnia zajął uwagę maluchów i tak ich oczarował, że pokojówki i niania nie mogły wyjść z zachwytu.

Eve także obserwowała go zdziwiona, zwłaszcza że przecież tak niedawno oskarżała go o to, że nie lubi dzieci. Tymczasem okazało się, że Marcus w naturalny, swobodny sposób nawiązuje z nimi bliski kontakt. Zdjąwszy surdut, zabawiał je wprost po mistrzowsku, a one śmiały się radośnie, baraszkując z nim w trawie.

- No, no, kto by pomyślał - powiedziała Emma, siadając obok Eve.

- Rzeczywiście, kto?

- Uwolnimy go od nich, jak myślisz?

- Nie, zostawmy go. Nie psujmy mu zabawy.

- Pan Fitzalan jest zupełnie inny, niż się spodziewałam. Zdumiewa mnie. On naprawdę lubi dzieci.

- Też jestem zdumiona, Em. W ciągu kilku chwil zmienił się tak bardzo, że z trudem go poznaję.

- Po tym, co o nim mówiłaś, spodziewałam się zupełnie kogoś innego. On jest naprawdę uroczy. Eve nie miała wyjścia, musiała zgodzić się z tą oceną przyjaciółki. Podejrzewała jednak, że ze strony Marcusa jest to jedynie chwilowa gra. Dla jakiegoś celu chce ją udobruchać, to wszystko. Nigdy dotąd nie widziała go takim. Marcus był taki miły, tak bardzo starał się zyskać sympatię Emmy, a także sprawić, by Matthew poczuł się swobodnie, że Eve zupełnie go nie rozumiała. Zmiana, która w nim zaszła, była wprost nie do pojęcia. Gdzie się podział ten zawsze skory do gniewu arogant o tyrańskich skłonnościach? Czy ten jowialny, uśmiechnięty brat łąta to ten sam Marcus Fitzalan? - zachodziła w głowę Eve. Nie, to zły portret, pomyślała zaraz. Czy ten miły mężczyzna o bystrym, dobrym, życzliwym spojrzeniu, to ten sam Marcus Fitzalan? Ot,

zagadka... Poczula, że pragnie rozgryźć tę zagadkę. .. że pragnie dogłębnie poznać tego intrygującego człowieka, jej narzeczonego, przyszłego męża...

Marcus wreszcie uwolnił się od rozbawionej gromadki, podszedł do Eve, która siedziała na trawie, objawszy ramionami podciągnięte kolana, włożył surdut i usadowił się obok niej. A ona, mając go przy sobie tak blisko, poczuła dreszcz radosnego podniecenia.

- Naprawdę, Marcusie, zaimponowałeś mi. - Obdarzyła go miłym uśmiechem. - Nie przyszłoby mi do głowy, że tak świetnie radzisz sobie z dziećmi. Cieszę się, że nie traktujesz ich jak uprzykrzonych much.

- Mówiłem ci przecież, że lubię dzieci.

- Tak doskonale sobie z nimi radzisz, że w przyszłości będziemy się mogli obejść bez niani. Uśmiechnął się.

- Nie jestem aż takim specjalistą, nie mam też aż tyle cierpliwości i czasu. Ale wiesz, Eve, muszę ci teraz powiedzieć, w jakim celu tu dziś przyjechałem.

-Tak?

- Postanowiłem, że natychmiast damy na zapowiedzi w kościele w Atwood i że nasz ślub odbędzie się w trzy tygodnie później. Rozmawiałem już z kim trzeba i wszystko załatwiłem. Mam nadzieję, że to ci odpowiada.

- Jak najbardziej, Marcusie. Mówiłam ci już, im wcześniej, tym lepiej. Nie chcę być w Burntwood Hall, kiedy sprowadzi się tam Gerald.

Po powrocie do Burntwood Hall Eve wpadła w rozpacz, okazało się bowiem, że Gerald już się sprowadził. Wchodząc do domu i widząc, co się dzieje, poczuła, że robi jej się zimno.

Wspomnienie ostatniej z nim rozmowy wciąż napawało ją grozą.

Gerald przyjechał całkiem niezapowiedziany, uprawiając służbę w popłoch, a lady Pemberton gdzieś zniknęła.

W salonie zastała nie tylko Geralda, ale także jego młodszego brata. Matthew czuł się nad wyraz niezręcznie, wiedział bowiem, jak wielką antypatię Eve żywi do Geralda i jak bolesna jest dla niej konieczność opuszczenia domu.

Gerald, zrzuciwszy niedbale surdut, siedział w fotelu przy oknie, opierając obute stopy na miękkim podnóżku. Zdążył już przyjąć postawę właściciela całej posiadłości. Eve aż się wzdrygnęła i poczuła ból w sercu. Zdała sobie bowiem jasno sprawę, że teraz to on jest panem tego domu, ona zaś tylko gościem.

Obok Geralda, na obitym zielonym suknie stoliku, stała karafka czerwonego wina, on zaś obracał w palcach pełny kieliszek. Choć widział, jak Eve weszła do salonu, nie zadał sobie trudu, żeby wstać. Uniósł tylko brwi i powitał ją szerokim uśmiechem.

- Co za dziwna sytuacja. Przybywam, by objąć moją schedę, a ty mnie nie witasz, bo nie ma cię w domu. Doprawdy, bardzo mnie rozczarowałaś.

- Jestem pewna, że wkrótce otrząsniesz się z tego rozczarowania, Geraldzie - odrzekła chłodnym tonem. - Wybacz, jeżeli wydaję ci się zaskoczona. Nie spodziewałam się ciebie tak szybko.

- Oczywiście. - Pociągnął łyk wina, oblizał wargi.

- Eve, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko naszej obecności - odezwał się Matthew.

- A dlaczegoż by miała mieć? - zaoponował ostro Gerald. - Przecież na to, by wejść do własnego domu, człowiek nie potrzebuje zezwolenia. Nieprawdaż, Eve?

- Tak... oczywiście - odrzekła sztywno, próbując zignorować jego bezczelny uśmieszek. - A ty, Matthew, też tu będziesz mieszkał?

- Tak... obawiam się, że tak - odpowiedział Matthew, spoglądając na starszego brata. - Rozumiesz, Eve, to... to... jest konieczne.

Rozumiała aż nadto dobrze. Wiedziała bowiem, że ich rodzinny dom miał być sprzedany, a pieniądze obrócone na spłatę długów Geralda. Ile czasu upłynie, zanim ten sam los spotka także Burntwood Hall? - zapytała siebie w duchu i ogarnął ją wielki smutek.

- Nie zabawiłaś zbyt długo u Parkinsonów - brzmiały kolejne słowa Geralda.

- To dlatego, że nie chciałam na zbyt długi czas opuszczać babki.

- A kiedyż ta szanowna dama uwolni nas od swojej męczącej obecności? - Gerald nie zamierzał ukrywać swej niechęci do lady Pemberton.

- Skoro tylko poślubię pana Fitzalana - odrzekła Eve spokojnie.

Wyprostował się w fotelu i odstawił kieliszek. Oczywiście wiedział już, że Eve przyjęła oświadczenia Marcusa Fitzalana, lecz wcale go to nie ucieszyło. Spojrzał teraz na nią czujnym, pełnym złości wzrokiem.

- A więc zgodziłaś się poślubić naszego znamienitego sąsiada, człowieka bez szlacheckich korzeni. Choć spodziewam się, że jego majątek te korzenie zastąpi.

- To nie twoja sprawa, Geraldzie, kogo poślubię, a obrażanie mojego narzeczonego na nic się nie zda. Pan Fitzalan jest dżentelmenem, który cieszy się powszechnym szacunkiem.

- Prawdziwy dżentelmen nie wykorzystałby twojej niewinności i naiwności, nie próbowałby cię uwieść. A jeżeli mnie pamięć nie myli, tak właśnie uczynił trzy lata temu. I czyniąc to, odebrał ci wszelką nadzieję na małżeństwo z kimś naprawdę odpowiednim.

- To było dawno temu i najlepiej o tym zapomnieć. Nie chcę rozmawiać z tobą na ten temat.

Proszę tylko, żebyś pozwolił mnie i mojej babce zostać tutaj aż do mojego ślubu z panem Fitzalanem. Jest to sprawa zaledwie kilku tygodni. Najwyżej miesiąca.

- Powiedziałem ci po pogrzebie ojca, że nie musisz się stąd wyprowadzać. Będę szczęśliwy, mając cię tutaj tak długo, jak tylko zechcesz. Moja propozycja małżeństwa jest wciąż aktualna.

- A ja ją nieodmiennie odrzucam.

- Ależ Eve, to bardzo wielkoduszna propozycja. Małżeństwo ze mną byłoby dla ciebie bardzo korzystne. Stałabyś się panią tego domu, a dzięki Kopalni Atwoodzkiej osobą ogromnie majątną. Czego jeszcze żądasz?

- Czego jeszcze, Geraldzie? - odrzekła ironicznie. - Tu przecież osoba męża jest nie do zaakceptowania.

Gerald zmienił się na twarzy. Na policzki wystąpił mu purpurowy rumieniec, a wargi wykrzywiły się w grymasie pogardy.

- Jeżeli sądzisz, że będziesz szczęśliwa w małżeństwie z Marcusem Fitzalanem, to jesteś idiotką.

- Intencje pana Fitzalana są podyktowane honorem.

- Nie tyle intencje, co ambicje parweniusza. Poza tym, jeżeli dobrze pamiętam, to ty, dowiedziawszy się o warunkach testamentu, stwierdziłaś, że dniem twojego ślubu z Marcusem Fitzalanem będzie dzień, w którym piekło zamarznie. Mówiłaś, że nigdy nie zgodzisz się na takie warunki. Wszyscy widzieli, jak bardzo nienawidzisz Marcusa Fitzalana i jak bardzo nim gardzisz. To zadziwiające, jak szybko cię do siebie przekonał.

Oczy Eve zabłysły.

- Podczas odczytywania testamentu byłam zdenerwowana. To prawda, rozgniewało mnie żądanie ojca, ale wszystko na tym świecie się zmienia, Geraldzie. Ja też się zmieniłam i po zastanowieniu, a także po bliższym poznaniu pana Fitzalana, wiem, że postępuję słusznie. Zresztą cokolwiek zrobię, nie będzie to twoja sprawa. Bo nie ma to absolutnie nic wspólnego z tobą.

- Być może. - Uśmiechnął się pogardliwie. - Nie łudź się jednak, że Marcus Fitzalan pragnie ciebie, bo on pragnie tylko kopalni. A na dodatek śmiem twierdzić, że gdy miną pierwsze uroki

waszego małżeńskiego pożycia, kobieta, którą mógł być poślubić, znów będzie, tak jak przedtem, w jego łóżku.

- Nie obchodzą mnie twoje słowa, Geraldzie! - krzyknęła zirytowana. - Nie mam pojęcia, co masz na myśli i absolutnie mnie to nie interesuje. Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób?!

- Stwierdzam tylko oczywisty fakt. - Uśmiechnął się złośliwie. - I oczywiście obchodzą cię moje słowa. Otóż wiedz, że Marcus Fitzalan utrzymuje konflikty z Angela Stephenson. I z nią wolałby się ożenić, niestety nie jest ona właścicielką wiadomej kopalni węgla. Prawdopodobnie nawet w tej chwili oboje wspólnie się zabawiają.

Eve postanowiła nie dać się sprowokować, nie ujawnić swoich skrywanych uczuć. Choć czuła się okropnie, uśmiechnęła się i uniosła brwi z udawanym zdziwieniem.

- Twój sarkazm i kąśliwość idą na marne, Geraldzie. Nie zmienię moich planów, więc daruj sobie. Poza tym ci nie wierzę. Jeżeli jednak to, co mówisz, jest prawdą, to obawiam się, że Angela się rozczaruje. - Eve uśmiechnęła się ironicznie. - Zresztą nie musi daleko szukać. Pragnąc tak bardzo kolejnego męża, może przecież skierować swoje uczucia ku tobie. Teraz, kiedy odziedziczyłeś spadek, dla kobiet jej pokroju stanowisz łakomy kąsek. Wiem, że jest finansowo zabezpieczona, jednak majątek ziemski Lesliego odziedziczył jego brat, dlatego Angela szuka nowego domu.

Gerald, słuchając słów Eve, przyglądał jej się ze zmarszczonymi brwiami.

- Angela i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi. Ona zagięła parol na Marcusa Fitzalana. Moja droga, wszyscy mężczyźni stają się słabi, gdy chodzi o kobiety, a kobieta tak piękna jak Angela potrafi wywierać na nich ogromny wpływ.

- Marcusa nie można oskarżyć o słabość, Geraldzie.

- Nie bądź naiwna - powiedział ostro. - On żeni się z tobą, żeby dostać Kopalnię Atwoodzką, a jeśli sądzisz inaczej, to jesteś idiotką. Angela jest mściwa, więc radzę ci to wziąć pod uwagę. Sama dobrze wiesz, że nie będzie stała z boku i spokojnie patrzyła, jak sprzątasz jej sprzed nosa Marcusa. Ona będzie walczyć.

- Czy to, co teraz powiedziałeś, jest groźbą? - Eve aż pobladła z gniewu.

- Nie sądzę. Raczej ostrzeżeniem.

- Wybacz, Geraldzie, ale nie chcę tego słuchać. Muszę pójść do babki. - Ruszyła ku drzwiom.

- A tak przy okazji - rzucił Gerald niedbale. - Zaprosiłem gości. Podczas weekendu urządźmy duże przyjęcie. Poleć służbie wszystko przygotować. Ten dom przypomina mauzoleum, trzeba go ożywić.

Gdy Eve wyszła z salonu, Matthew podążył za nią.

- Eve, zaczekaj, proszę. Tak mi przykro. Próbowałem zapobiec przyjazdowi Geralda, ale go przecież znasz. W ogóle mnie nie słuchał.

- On nigdy nikogo nie słucha. Ale ty, Matthew, nie musisz mnie przeproszać, bo to nie twoja wina. Jednak o ileż łatwiejsze byłoby życie, gdybyś urodził się przed Geraldem... Wiem, że to twój brat i że na swój sposób go kochasz, ale muszę stwierdzić, że nigdy w życiu nie spotkałam kogoś bardziej antypatycznego.

Gdyby zajrzała teraz do salonu, przekonałaby się, że z twarzy Geralda zniknął wyraz kpiny. Wyglądał na kogoś, komu zadano ciężki cios i planuje teraz gorączkowo, jak wywinąć się z opresji. Zamierzał za wszelką cenę zatrzymać w swoich rękach Kopalnię Atwoodzką, dzięki czemu spłaciłby długi i przez piętnaście lat korzystałby z olbrzymich dochodów. By jednak to osiągnąć, musiał zapobiec małżeństwu Eve z Marcusem Fitzalanem.

Eve po rozmowie z Geraldem poczuła się tak, jakby zabrakło jej powietrza. Poszła do swojego pokoju, chciała bowiem przed spotkaniem z babką trochę się uspokoić. Słowa Geralda dotyczące

Angeli i Marcusa ogromnie ją wzburzyły, choć z drugiej strony sądziła, że musi to być kłamstwo wymyślone w celu zapobieżenia jej ślubowi z Marcusem i zagarnięcia kopalni.

Fakt, że kobiety uważają Marcusa za atrakcyjnego mężczyznę, nie stanowił dla Eve żadnej niespodzianki. Marcus był przecież taki przystojny. A co do Angeli, to z własnego doświadczenia wiedziała, jakim jest ona zagrożeniem. Była piękną prowokującą kusicielką. Żadna kobieta nie chciałaby mieć w niej swojej rywalki.

Jednak Marcus stanowczo zaprzeczył, by poza zwykłą znajomością coś jeszcze ich łączyło. Eve mu wierzyła, bo poznawszy go lepiej, wreszcie zaczęła mu ufać. Wiedziała, że jest prawdomówny i uczciwy, nie zwykł plamić się kłamstwem i oszustwem.

Przypomniała sobie jednak, jak podstępna potrafi być Angela, pamiętała wyzywający błysk w jej oczach, a także zaborczość, z jaką wsunęła rękę pod ramię Marcusa, gdy spacerowali po ogrodzie. Pamiętała także ich bliskie i poufałe. Gdyby nie wiedziała, że Angela zdawała sobie sprawę, że jest przez nią obserwowana i że celowo to wszystko odgrywała, byłaby skłonna wierzyć, że w tym, co mówił Gerald, było ziarno prawdy.

W domu wrzało jak w ulu. Szykowano pokoje, gotowano jadło dla spodziewanych gości oraz dla towarzyszącej im służby. Eve dobrze wiedziała, co to będą za goście, bowiem Gerald nigdy nie zadawał się z nikim, kto nie podzielał jego entuzjazmu dla światowego życia. Dlatego postanowiła nie udzielać się zbyt podczas ich wizyty.

Goście przybywali kolejno pięknymi powozami. Ekstrawagancka i barwna kompania liczyła dwanaście osób. Trzech dżentelmenów przyjechało z żonami, które Eve wydały się istotami roztrzepanymi i pustymi.

Przyjaciół Geralda nie można było oskarżyć o to, że są ludźmi mało eleganckimi, jednak Eve była pewna, że jej rodzice by ich nie zaakceptowali. Wszyscy należeli do londyńskiej śmietanki, wśród której obracał się Gerald. Podczas swych podróży do Londynu Eve widywała mnóstwo takich ludzi, więc teraz od razu zorientowała się, że jest to towarzystwo hałaśliwe i cieszące się raczej niedobrą sławą.

Cała ta dwunastka zamierzała pozostać w Burntwood Hall przez tydzień, a później ruszyć do Harrogate, żeby skorzystać z gościnności tamtejszych gospodarzy. Dżentelmeni, podobnie jak Gerald, cierpieli na nadmiar wolnego czasu i poświęcali go tylko na zabawy. Gdy znudził im się Londyn, odwiedzali przyjaciół na prowincji, a potem znów wracali do stolicy.

Eve zrobiła na wszystkich ogromne wrażenie, sama jednak patrzyła na nich z niechęcią.

Dżentelmeni przyglądali jej się z nieukrywaniem podziwem, a w sposobie, w jaki to czynili, było coś bezczelnego i obraźliwego. Wyróżniał się w tym zwłaszcza jeden, nazwiskiem Timothy Harding, człowiek o długim, wydatnym nosie i głęboko osadzonych niebieskich oczach. Zbliżał się do trzydziestki, a jego głowa i korpus wydawały się zbyt duże w stosunku do chudych, patykowatych nóg. Witając się, skłonił się Eve nisko i omal nie oślinił jej dłoni. Zdawał się przy tym nie zauważać, że wzdrygnęła się w chwili, gdy jego usta dotknęły jej palców.

- Spotkanie z panią jest dla mnie długo oczekiwaną przyjemnością, panno Somerville - powiedział dziwnym falsetem, kontrastującym z jego grubymi rysami. - Gerald tak wiele opowiadał nam o pani. Cieszę się, że w jego pochwałach nie było cienia przesady. Gerald naprawdę ma szczęście, dziedzicząc taki spadek.

- Dziękuję - odrzekła chłodno Eve. - Dziękuję, pomimo że Burntwood Hall nie jest już moim domem. Sądzę, że Gerald z przyjemnością państwa po nim oprowadzi.

- Wolałbym raczej obejrzeć dom z panią - powiedział przyciszonym uwodzicielskim tonem, uśmiechając się obleśnie i dwuznacznie, pokazując przy tym żółte zęby.

Eve skrzywiła się, zirytowana tym afrontem. Mimo to zmusiła się do słodkiego uśmiechu.

- Wierzę panu, ale będę zajęta czym innym.

Kiedy goście zostali wprowadzeni do salonu, opuściła ich i, odprowadzana spojrzeniami dżentelmenów, poszła do babki. Jednak tuż za drzwiami dobiegły ją słowa Timothyego Hardinga:

- Mój Boże... ładna sztuka, nieprawdaż? A jaka harda. Dobrze, moi drodzy, że nie możecie teraz czytać w moich myślach.

- Rzeczywiście, bardzo dobrze - zgodził się Gerald. - Bo ty, Timothy, masz wypaczony umysł. Znając twoje maniery rymsztokowego szczura, mogę sobie wyobrazić, co myślisz.

- Na mój gust zbyt pruderyjna - skomentował następny z dżentelmenów, David Blenkinsop.

- Ty to masz szczęście, Geraldzie, zważywszy twoją skłonność do pięknych kobiet. Czy nadobna panna Eve stanowi część twojego spadku?

Gerald roześmiał się lubieżnie.

- Mylisz się co do niej, Timothy. David był bliższy prawdy. Inaczej niż kobiety, z którymi się zadajesz, ona nie ulega pochlebstwom, ku wielkiemu żalowi wszystkich pełnokrwistych dżentelmenów w West Riding.

- A ja podejrzewam, że rozdrażniona, potrafi być straszną złośnicą. Znacie to, cicha woda... i tak dalej. Mam ochotę poprosić ją o spotkanie. Nie obrazisz się o to, Geraldzie, prawda? - dopytywał się Timothy. - Ach, cóż bym dał za jej dziewictwo! A ty, stary, nie możesz narzekać. Wiem z dobrego źródła, że ostatnio, będąc w Londynie, pokładałeś się z moją kochanką. A teraz może masz ochotę na pannę Somerville?

- Posłuchaj, Timothy, jest pewna różnica. - W głosie Geralda zabrzmiało coś złowieszczonego. - Panna Somerville nie jest i nie będzie niczyją kochanką. I byłbym ci zobowiązany, gdybyś trzymał ręce jak najdalej od niej. Bo mam w związku z nią pewne plany.

Rozmowa ta rozbawiła całe towarzystwo, tylko Eve nie uznała jej za zabawną. Ci ludzie byli wprawdzie arystokratami, jednak ich zachowanie nie licowało z pozycją, jaką zajmowali w społeczeństwie. Ich grubiaństwo ją obrażało. Z policzkami płonącymi z gniewu i oburzenia udała się do swojego pokoju.

Goście Geralda spędzili kolejne dwa dni, jeżdżąc konno, wędkując i polując na terenie majątku.

Eve robiła, co mogła, żeby ich unikać, nie była jednak w stanie całkowicie ich ignorować.

Zachęcana usilnie przez całe towarzystwo, grywała więc czasami w karty.

Trzeciego dnia padało, więc wszyscy musieli zostać w domu. Znudzona samotnością lub towarzystwem jedynie babki, Eve zeszła do biblioteki po książkę. Gdy znalazła się w holu, usłyszała jakiś znajomy kobiecy śmiech. Wiedziona ciekawością, zajrzała więc do salonu i... poczuła ściskanie w dołku. Zobaczyła bowiem nie kogo innego jak Angelę, która w pozłocistej taftowej sukni kręciła się wśród dżentelmenów leniwie rozpartych na fotelach i kanapach i wodzących za nią pełnym podziwu wzrokiem. Równocześnie mniej atrakcyjne damy spoglądały na nią z zazdrością.

Angela była niezwykle piękna, jednak na widok Eve jej zazwyczaj uwodzicielskie oczy przybrały nieprzyjemny, pełen pogardy i bezlitosny wyraz, przez co jej twarz straciła cały swój powab i czar.

Eve natomiast skinęła jej grzecznie głową na powitanie, wiedziała bowiem, że Angela, jako bliska przyjaciółka Geralda, musiała prędzej czy później zawitać do Burntwood Hall. Nie pragnęła jednak z nią rozmawiać, odwróciła się więc i weszła do sąsiadującej z salonem biblioteki. Już miała zdjąć z półki książkę, gdy do biblioteki wkroczyła Angela, zostawiając za sobą uchylone drzwi.

Przez dłuższą chwilę patrzyły na siebie w milczeniu, wreszcie Angela uśmiechnęła się wyniośle, mierząc Eve lodowatym spojrzeniem. Na co Eve, całkiem niewzruszona, westchnęła tylko i podeszła do okna. Było oczywiste, że Angela nie zjawiała się tutaj z gałązką oliwną.

- Proszę cię, Angelo - zwróciła się do niej spokojnie - nie obrażaj mnie swoimi minoderyjnymi komplementami i nieszczerymi uśmiechami. Jeżeli to ci nie zrobi różnicy, bądź uprzejma mi powiedzieć, dlaczego tu za mną przysłaś. Nie sądzę, byś miała mi do powiedzenia coś, czego chciałabym wysłuchać. Chyba że pragniesz mnie przeprosić za to, co zrobiłaś mi kiedyś. Ale w takim razie przeprosiny byłyby o trzy lata spóźnione.

Oczy Angeli zabłyśły złością. Obserwowała twarz Eve i jej doskonałą figurę z furią zrodzoną z zazdrości.

- Nie, nie zrobi mi to różnicy, Eve. Powiem ci, dlaczego tu za tobą przysłałam. I nie zamierzam przeproszać, bo nie sądzę, bym miała za co. Bez względu na to, co zdarzyło się między tobą a Marcusem na jarmarku w Atwood, Leslie i tak w końcu by cię zostawił i ożenił ze mną. Po prostu nie chcę, żebyś ponownie została zraniona. Pomyślałam więc, że udzielę ci rady. Posłuchaj jej, a nie zrobisz z siebie idiotki.

- Wybacz, Angelo, jeżeli wydaję ci się zaskoczona, jednak twoja troska o mnie jest całkiem niewiarygodna. O czym ty właściwie mówisz?

- Wiesz dobrze, o czym.

- Obawiam się, że nie. Proszę, bądź tak łaskawa i oświeć mnie w tym względzie.

- Słyszałam, że masz wyjść za Marcusa Fitzalana.

- Tak, ale doprawdy nie mam pojęcia, co to ma wspólnego z tobą. Chyba że chcesz mi pogratulować.

- Tego nigdy nie zrobię. Mówiłam ci już, jestem tutaj, żeby cię powstrzymać od zrobienia z siebie idiotki.

Eve popatrzyła na Angelę z niesmakiem.

- A jak według ciebie mam ją z siebie zrobić?

- Sądzę, że znam Marcusa daleko lepiej od ciebie - powiedziała z naciskiem. - Jak myślisz, długo wytrzymasz w tym małżeństwie, wiedząc, że on kocha mnie, a nie ciebie... i że będzie mnie kochał zawsze?

Eve uniosła brwi.

- Kocha cię! - zawołała kpiąco. - Wiesz, ty rzeczywiście musisz go dobrze znać!

- Tak, znam go dobrze. Zaprzyjaźniliśmy się w Londynie i jesteśmy naprawdę dobrymi przyjaciółmi. - Szczególny akcent położyła na dwa ostatnie słowa. - Proszę cię, spójrz na to. -

Pokazała piękny srebrzystobłękitny wachlarz wysadzany brylantami. - To prezent, który Marcus podarował mi ostatnio. Na urodziny. I muszę ci powiedzieć, że jest to jeden z wielu prezentów, które mi kupił w ciągu kilku miesięcy naszej znajomości. Marcus jest bardzo dla mnie hojny.

Eve pobladła. Ogarnęło ją dręczące uczucie niepewności. Serce miała rozdarte. Czyż istnieje na świecie większa idiotka niż ja? - spytała w duchu, przeklinając własną głupotę. Angela już raz ją oszukała, odbierając nadzieję na szczęście u boku Lesliego. Dlaczego więc nie miałyby tego zrobić po raz drugi? A może już to zrobiła? Eve wpatrywała się w wachlarz, niezdolna uwierzyć, że tak niewielki przedmiot ma tę zdolność, że może odmienić całe jej życie.

- Skąd mogę mieć pewność, że Marcus rzeczywiście dał ci to prezencie?

- Bo jest tutaj dedykacja. Zobacz.

Angela podsunęła jej wachlarz. Dedykacja brzmiała: „Z całą moją miłością. Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin. Marcus”.

Przeczytawszy te słowa, Eve nie miała już żadnych wątpliwości.

A na twarzy Angeli pojawił się wyraz złośliwego rozradowania. Wszystko, co mówiła lub robiła, obliczone było na podsyćcie gniewu Eve i sprowokowanie jej do zmiany decyzji dotyczącej ślubu z Marcusem.

- Kiedy wróciłam na północ, Marcus nadal się ze mną widywał. I gdyby nie ty z tą twoją przeklętą kopalnią, na pewno by się ze mną ożenił.

Eve patrzyła na nią z odrazą. Miała ochotę ją spoliczkować i sprawić w ten sposób, by z jej warg zniknął tryumfalny uśmiezek. Opanowała się jednak

Angela zbliżyła się do niej, zamykając z trzaskiem wachlarz.

- Wiem, jaką Marcus ma siłę perswazji, zwłaszcza kiedy czegoś bardzo chce. Nie wątpię, że zastosował ją wobec ciebie i przekonał, że to ty sama pragniesz tego małżeństwa. Wiedz jednak, że myśli o tym małżeństwie z taką samą zimną logiką, z jaką podchodzi do biznesowych transakcji. Kopalnia Atwoodzką sprawia, że cała ta sprawa jest dla niego tym większym wyzwaniem. Czy naprawdę wierzysz, że choć przez jedną minutę pragnie ciebie?

- Nie wiem, Angelo. To ty mi możesz powiedzieć, czy tak jest. W przeciwieństwie do ciebie nie znam się na subtelnej sztuce machinacji i intryg. - Eve skrzywiła się z pogardą, jednak ostatnia uwaga ubodła ją do żywego. Tym bardziej że miała głębokie przeświadczenie, iż Angela mówi prawdę. - Sądzę jednak, że, choć innymi niż ty metodami, także potrafię zadowolić Marcusa, gdy będę jego żoną. Powiedz mi, Angelo, czy zawsze musisz pragnąć tego, co należy do mnie? Czy sam fakt, że coś jest moje, sprawia, iż staje się w twoich oczach cenniejsze? Odnoszę nieodparte wrażenie, że próbujesz mnie zniechęcić do małżeństwa z Marcusem. Czy mam rację?

Wyraźnie rozzłoszczona Angela odwróciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom, rzucając przez ramię:

- Myśl sobie, co chcesz. Ale strzeż się, Eve... Pamiętaj, że jeszcze nie jesteś mężatką, a ja pragnę Marcusa. Zamierzam zostać jego żoną i nie dopuszczę do tego, byś stanęła mi na drodze.

- I co zrobisz, żeby to osiągnąć? Może mnie zamordujesz?

Oczy Angeli rozbłysły nienawiścią.

- Och, już ja coś wymyślę, możesz być tego pewna. Jeżeli tylko zechcę, bywam naprawdę bardzo niebezpieczna dla moich wrogów. - Wyszła z biblioteki.

Eve dygotała z gniewu i zazdrości, nękało ją także poczucie zagrożenia. Jakby mało było Geralda, to jeszcze Angela... Każde z nich z osobna było bardzo niebezpieczne, a jeśli zewrą szyki...

Na drugi dzień Angela znowu zjawiała się w Burntwood Hall. Eve miała okazję obserwować ją z pewnej odległości, gdy rozmawiała z Geraldem. Kiedy zorientowali się, że na nich patrzy, wymienili porozumiewawcze spojrzenia. A więc sojusz, który ma mnie zniszczyć, już powstał, pomyślała.

Na widok wachlarza, prezentu od Marcusa, który Angela miała znowu przy sobie, Eve zdenerwowała się ogromnie. Do oczu napłynęły jej łzy żalu i rozczarowania. Niechęć do Angeli walczyła w niej z zazdrością i gniewem. Miała przecież nadzieję, że między nią a Marcusem zadzierzgnęła się bliska więź. Tymczasem teraz okazywało się, że Marcus jest dla niej człowiekiem zupełnie obcym.

Pomyślała, że z początku, żyjąc w formalnym li tylko małżeństwie, przymknie oczy na jego przewiny, mimo to jednak wolałaby, żeby kochanką Marcusa okazała się jakakolwiek inna kobieta, a nie Angela Stephenson. No tak, mówiła sobie, on się ze mną ożeni, ale nigdy mnie nie pokocha. Nie pokocha mnie miłością równą tej, którą ja darzę jego. Tak pomyślała, bo, wejrzawszy w swoje serce, uświadomiła sobie wyraźnie, że przecież go kocha, kocha od dawna. Postanowiła jednak, że Marcus nigdy się o tym nie dowie.

Miłość ogarnęła ją niepostrzeżenie. W obecności Marcusa doznawała takiego uczuciowego zamętu, że prawie nie zdawała sobie sprawy, co się z nią dzieje. Tak, kochała go i nie mogła już nic na to poradzić. Wiedziała jednak, że nie wolno jej ulec sentymentom i ludzić się nadziejami, które żywiła od czasu wizyty w Brooklands.

Los zakpił sobie z niej, sprawiając, że pokochała człowieka, którego z taką niechęcią przyjęła jako ewentualnego kandydata na swego przyszłego męża. Uświadomiła sobie, że nie będzie jej łatwo pogodzić się z faktem, że on, żeniąc się z nią, myśli o innej kobiecie.

Jednakże, pomyślała z goryczą, od samego początku znałam przecież warunki, na jakich ma dojść do naszego związku. Wiedziałam, że jego myśli nie będą przy mnie. No cóż, nie ma rady, będę musiała wkroczyć w ten związek z szeroko otwartymi oczami, całkiem świadoma, czego mam się spodziewać. Dlaczego więc czuję się taka rozczarowana, taka zawiedziona? Muszę nauczyć się żyć w zaistniałej sytuacji i wykorzystywać ją najlepiej, jak się da.

Rozdział jedenasty

Wieczorem w salonie panował harmider, gdyż goście Geralda wypili zbyt wiele i zachowywali się bardzo hałaśliwie. Tymczasem Eve, wracając z pokoju babki, której przed chwilą życzyła dobrej nocy, natknęła się na swego kuzyna. Gerald stał na szczycie schodów i obserwował ją uważnie. Chcąc przejść do swojego pokoju, musiała go minąć, zbliżywszy się jednak, dojrzała w jego oczach wyraz, który sprawił, że ze strachu przeszedł ją zimny dreszcz.

Gerald tego wieczoru bardzo dużo wypił. Chwiał się na nogach, oczy mu błyszczały, a potargane włosy opadały na czoło. Rozwiązany halsztuk zwiślał nieporządnie, a biała, pognieciona koszula była splamiona winem i rozchełstana na piersi. Wyraz jego twarzy był jeszcze bardziej szyderczy i okrutny niż zazwyczaj. Wszystko to wróżyło jak najgorzej. Już miała się odwrócić i wejść do swojego pokoju, gdy Gerald zapytał cicho, groźnie:

- Dokąd idziesz?

- Do swojego pokoju. - Starła się uspokoić szalony łomot swego serca.

Chwycił ją za ramię. Spróbowała się wyrwać, jednak bez skutku.

- Przyłączysz się do nas na kieliszek przed snem? Moi przyjaciele, zwłaszcza Timothy, czują się urażeni, że nie pozwoliłaś im się lepiej poznać podczas tej wizyty.

Eve spiorunowała go wzrokiem.

- Jeżeli są urażeni, to powinni winić o to tylko siebie. Gdyby zachowywali się jak przystało na dżentelmenów, byłabym dla nich łaskawsza. A ty, Geraldzie, jesteś pijany. Wszyscy jesteście pijani. Proszę cię bardzo, pozwól mi odejść. I nie dotykaj mnie.

- No cóż - powiedział ironicznie - przecież nie po raz pierwszy jesteś dotykana.

Uśmiechając się oblesnie, przysunął twarz do jej twarzy, a potem zmierzył ją od stop do głów pożądlivym spojrzeniem. Próbowała się uwolnić, lecz ścisnął ją jeszcze mocniej, a drugą ręką chwycił pod brodę. Eve czuła na twarzy jego gorący oddech, a zapach alkoholu przyprawiał ją o mdłości.

- Zapewniam cię, że wiem o tobie więcej niż myślisz - powiedział Gerald. - Wiem, co się zdarzyło między tobą a Marcusem Fitzalanem podczas jarmarku w Atwood. Wiem, jak go uwodziłaś. Wiem także, że to wszystko nie skończyło się jedynie na pocałunku. Że zaszło znacznie dalej.

- Nie muszę wcale zgadywać, kto ci to powiedział. Angela, prawda? - Znów próbowała się wyrwać. - Puść mnie, Geraldzie. Puść mnie natychmiast.

- A co będzie, jeżeli tego nie zrobię? Co wtedy?

- Wtedy dopilnuję, żeby Marcus się o tym dowiedział.
- Ale jego tu przecież nie ma. Nie uratuje cię więc, prawda? A jak sądzisz, jak Marcus zareaguje, kiedy się dowie, że odważyłem się tknąć to, co on uważa za swoje? Bo mnie się, zdaje, że jego to nieszczęśliwie obejdzie, pod warunkiem, że wniesiesz mu to, co jest dla niego ważniejsze od wszystkich kobiet świata, to znaczy Kopalnię Atwoodzką. Jeżeli próbujesz odnowić wasz romans sprzed trzech lat, to nie miej na to zbyt wielkiej nadziei.
- A czy kopalnia nie jest najważniejsza także i dla ciebie?
- W istocie, jednak ty byłabyś dodatkową premią. Pociągasz mnie, Eve, a twój opór podnieca mnie do nieprzytomności.
- Jeżeli to ma być komplement, to proszę cię, oszczędź mi dalszych. Bo wiem, że gardzę tobą.
- Nic mnie nie obchodzi, co o mnie myślisz. Gdybym tylko chciał, łatwo bym cię złamał. - Roześmiała się ochryple - Ognista z ciebie kobieta. Ale ja cię poskromię, możesz być tego pewna. Im większy będziesz stawiała opór, tym słodsza będzie moja rozkosz. Zapewniam cię, że przyjdzie dzień, w którym znajdziesz się na mojej łasce. Mogę ci to przysiąc.
- Nigdy! Najpierw będziesz musiał mnie zabić.
- Zrobię to, jeśli zajdzie taka konieczność... na przykład gdy zignorujesz moje ostrzeżenie i nie odwołasz ślubu z Marcusem Fitzalanem. Naprawdę chcę dostać Kopalnię Atwoodzką, Eve, i zrobię wszystko, żeby tak się stało.

Eve z przerażenia oniemiała.

Wreszcie puścił ją, więc szybko uciekła do swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Dygotała wprost z obrzydzenia i strachu. Oddychała ciężko, niezdolna myśleć o niczym innym jak tylko o człowieku, który doprowadził ją do takiego stanu, człowieku, którego nienawidziła i którego się bała.

Tej nocy spała źle, nerwowo. W Burntwood Hall, w swoim dotychczasowym domu, nie czuła się już bezpieczna. Nie było jednak wyboru, musiała to wszystko jakoś przetrwać. Gerald jej groził, jednak nie miała powodu sądzić, że spełni swoje groźby. Nie, nie, on ich nie spełni. Nie spełni ich, jeżeli będzie trzymała go na dystans.

Było wkrótce po północy, gdy usłyszała pod drzwiami jakieś kroki. Poczucie zagrożenia sprawiło, że zaczęła dygotać i zabrakło jej w piersi tchu. Przez na wpół rozsunięte story do pokoju wlewało się światło księżyca. Eve wstała i podeszła do drzwi, nasłuchując. Wokół panowała groźna, przerażająca cisza. A w tej ciszy gałka u drzwi zaczęła się wolno obracać. Na szczęście jednak drzwi były zamknięte na klucz. Stwierdzając to z ulgą, Eve wprost bała się pomyśleć, co by się stało, gdyby tak nie było.

Stała z łomoczącym sercem, powstrzymując się od krzyku. Była pewna, że za drzwiami czai się Gerald. Drżąc na całym ciele, nie ruszała się z miejsca, dopóki nie usłyszała, że kroki się oddaliły. Dopiero wtedy, po dłuższej chwili, położyła się do łóżka i odetchnęła parę razy głęboko, chcąc odzyskać panowanie nad sobą.

Wpatrywała się w ciemność, a w głowie huczało jej od chaotycznych myśli. Spróbowała zapomnieć o Geraldzie i pomyśleć spokojnie o swoim związku z Marcusem, jednak zaraz przypomniała sobie o Angeli. Ta kobieta stanowiła dla niej okropny problem. Eve dałaby wszystko, żeby się od niej uwolnić, nie było jednak na to sposobu. Tak bardzo pragnęła, żeby to jej nieszczęsne małżeństwo z Marcusem ułożyło się mimo wszystko dobrze, jednak obecne okoliczności-zmuszały ją do ponownego rozważenia decyzji o ślubie. Nie wierzyła bowiem, że będzie mogła spokojnie znosić sytuację, w której Marcusa będzie coś łączyło z Angela.

Uświadomiła sobie, że rozwiewają się wszystkie jej nadzieje i marzenia. Zdała też sobie sprawę, co musi teraz zrobić, a to przysporzyło jej bezbrzeżnego cierpienia. Rozbolało ją serce, pełne

miłości do mężczyzny, którego ojciec przeznaczył jej na męża. Mężczyzny silnego, o niezłomnej woli. Człowieka, którym nie można było manipulować i który już zaczął ją kształtować, który zaczął z niej lepić taką kobietę, jakiej pragnął dla siebie na żonę.

Teraz bowiem przyszedł moment, w którym będzie musiała dorównać mu siłą, w którym będzie musiała stawić czoło wielkiemu gniewowi, jakim on z pewnością zapala, gdy mu powie, że nie może wyjść za niego. Wyobrażała sobie jego wściekłość wywołaną świadomością, że nie dostanie tego, co niegdyś było najdroższym skarbem jego rodziny, to znaczy Kopalni Atwoodzkiej.

Tak więc Eve podjęła decyzję. A podjąwszy ją, poczuła wewnętrzną pustkę. Miała nieodparte wrażenie, że uszło z niej życie. Ukrywszy twarz w poduszce, zaczęła płakać. I płakała tak długo, aż zabrakło jej łez.

Kiedy na drugi dzień po południu Marcus zbliżał się do Burntwood Hall, zdziwiło go panujące tam ożywienie. Domyślił, że to Gerald - znacznie wcześniej niż ktokolwiek się tego spodziewał - sprowadził się do dworu. Ogarnęło go przerażenie i wielki niepokój o bezpieczeństwo Eve.

Liczni goście Geralda spędzili rano na konnych przejażdżkach, a w tej chwili, po sutym obiedzie, przebywali w domu. Gdy Marcus zdecydowanym krokiem wszedł do salonu, obróciły się na niego wszystkie oczy. A on, z chłodną uprzejmością, przywitał się z Geraldem, który, udając obojętność, mierzył go czujnym wzrokiem. Skinął też głową całemu towarzystwu, a potem udał się do ogrodu, gdzie, jak powiedział mu jeden ze służących, przechadzała się Eve. Widząc ją, aż przystanął. Zaskoczyła go bowiem jej bladeść. Szła z lekka pochylona i wyglądała na bardzo strapioną. Jej skromny ubiór i stonowane zachowanie nie przywołały na myśl ognistej młodej kobiety, którą spotkał parę dni temu w majątku państwa Parkinsonów.

Marcus zbliżył się do niej, całkiem nie zdając sobie sprawy z zamętu, jaki szalał w jej głowie ani ze złych przeczuć, jakie ją przytłaczały.

Zmęczona, oszołomiona, ogromnie przygnębiona, czuła, że nigdy nie zdoła otrząsnąć się z tego stanu. Sądziła też, że po podjęciu swojej bolesnej decyzji nie może już się uważać za narzeczoną Marcusa. Pograżona w złych myślach, wyczuła w pewnej chwili, że ktoś stoi za jej plecami. Odwróciła się raptownie, niczym spłoszony królik.

Odgarnęła z twarzy opadający pukiel włosów, a Marcus zauważył, że uczyniła to drżącą ręką. Uderzyła go wielka bladeść jej twarzy i oczy - szeroko otwarte i pociemniałe z przerażenia i bólu.

- Och... Marcusie! Okropnie mnie przestraszyłeś - powiedziała bez tchu, gdy znaleźli się już w spokojnym zakątku ogrodu, gdzie nie mogły ich dogonić lubieżne spojrzenia Geralda i jego kompanów.

- Od kiedy to stałaś się taka nerwowa? - zapytał łagodnie. - Cóż, od chwili, gdy do Burntwood Hall zjechał Gerald ze swoimi kompanami, czyż nie tak? Dlaczego nie poinformowałaś mnie o jego przybyciu?

- Ja... ja nie widziałam potrzeby - odrzekła z wahaniem.

- No i o przybyciu jego kompanów - dodał Marcus. - Nie tracili czasu, od razu złożyli mi wizytę.

- Kto tu może składać wizyty, nie zależy już od mojej decyzji - odrzekła ostro Eve.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. - Marcus zmarszczył brwi. - Czy oni sprawiają ci jakieś kłopoty?

- Nie dzieje się nic, z czym bym nie mogła sobie poradzić. Jednak Marcus nie dał się przekonać. W jego oczach zabłysnął gniew.

- Posłuchaj, Eve, mam nadzieję, że mówisz prawdę... bo jeżeli Gerald groził ci w jakikolwiek sposób, to na Boga, przysięgam, że...

- Nie, nie - zaprzeczyła pospiesznie, pełna obaw, że Marcus przejrzy jej kłamstwo.

Wzruszyła się jednak bardzo, widząc, że tak się o nią troszczy.

- Tak czy siak, widzę, że jest tu nie lada zgromadzenie. Jak długo oni zamierzają zostać w Burntwood Hall?

- Przyjechali na tydzień, a dzisiaj mija czwarty dzień ich pobytu.

- Miejmy więc nadzieję, że przez hojność i gościnność Geralda nie zostaną dłużej. A tak przy okazji, Gerald wygląda na bardzo zadowolonego z siebie.

- No cóż, ma do tego dobry powód.

- A jak czuje się twoja babka?

- Całkiem dobrze, jednak w tej chwili nie ma najmniejszej ochoty wychodzić ze swojego pokoju.

- Nie winiłbym jej za to. Posłuchaj mnie, Eve, chcę, żebyście wraz z lady Pemberton przyjechały do Brooklands. Powód mojego zaproszenia jest oczywisty, a poza tym moja matka byłaby zachwycona, goszcząc cię u nas. Jest rzeczą naturalną, że chce cię lepiej poznać i omówić z tobą sprawy związane ze ślubem.

Widząc jego troskę, poczuła, że serce jej mięknie. Miała wielką pokusę przyjąć tę propozycję. Zapraagnęła zamieszkać w Brooklands i pod opieką Marcusa doznać wreszcie upragnionego poczucia bezpieczeństwa.

Równocześnie jednak poczuła ukłucie bólu i zazdrości, bo przypomniała sobie rozmowę z Angela, a także prezent, który dostała od Marcusa. I przyszło jej na myśl, że Marcus jest dla niej nawet niebezpieczniejszy niż Gerald. Cóż, musiała wreszcie zdobyć się na odwagę i powiedzieć mu, że postanowiła nie wychodzić za niego za mąż i w ten sposób zakończyć całą tę nieszczęsną sprawę. Pora rozwiązać mrzonki i zmierzyć się z okrutną rzeczywistością.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, Marcusie - powiedziała. - Ale muszę odmówić.

Położył jej ręce na ramionach. Eve spojrzała mu w oczy zalęknionym wzrokiem. Zachowywała się dziwnie. Marcus wyczuwał, że coś jest nie tak. Gdybyż tylko zechciała powiedzieć, o co chodzi!

- Eve, Eve, dlaczego nie pozwalasz sobie pomóc? Przecież nie jestem ślepy i widzę, co tu się dzieje. Powiedz mi, czy ze strony Geralda coś ci grozi? - Patrzył na nią serdecznie i z troską, mówił łagodnym tonem.

Obawiając się, że za chwilę się rozplacze, szybko pokręciła głową.

- Nie - skłamała.

W jego obecności nie odczuwała strachu, a wszystko to, co się wydarzyło, wydawało jej się wytworem wyobraźni. Tak, w obecności Marcusa zagrożenie ze strony Geralda zniknęło.

- A zatem czy coś mi obiecasz? -Co?

- Że jeżeli ktoś będzie ci groził, jeżeli znajdziesz się w jakimkolwiek niebezpieczeństwie, przyjedziesz do mnie do Brooklands... albo przynajmniej zawiadomisz mnie o tym. A wtedy natychmiast tu się zjawię.

Eve nie była w stanie dalej udawać. Chwila prawdy nadeszła, nie sposób było dalej ją odwlekać. Cofnęła się o krok i z twarzą stężoną, nieprzystępną wpatrzyła się w niego fiołkowymi oczami. Czuła się przy tym okropnie, bo to, co miała zrobić za chwilę, było najgorszą rzeczą, do jakiej była w życiu zmuszona.

- Możesz nie zechcieć gościć mnie w Brooklands, kiedy ci powiem to, co zamierzałam powiedzieć od chwili, gdy tu się pojawiłeś.

Marcus czekał z niewzruszonym wyrazem twarzy. Widział doskonale, jak bardzo jest spięta, że toczy z sobą wewnętrzną walkę.

- Marcusie... ja... ja postanowiłam jednak za ciebie nie wychodzić.

Znaczenie tych słów nie docierało do niego przez chwilę. Gdy jednak je pojął, zmienił się na twarzy. Ale nie okazał zaskoczenia. Utkwił tylko płonące spojrzenie w Eve.

- A czy mogę spytać, co spowodowało tę decyzję? - zagadnął spokojnie.

- Ja... ja po prostu nie mogę tego zrobić. Postanowiłam pojechać do babki do Cumbrii.

Marcus pobladł, zaczął ogarniać go gniew, nad którym nadludzki tylko wysiłkiem panował.

- Rozumiem... - Jego twarz była jak wykuta z granitu. - Naprawdę nie czujesz się zobowiązana? Zarówno wobec mnie, jak i wobec własnego ojca? Chyba pamiętasz, że zawarliśmy umowę. I jeżeli o mnie chodzi, to zamierzam w pełni się z niej wywiązać.

- Zatem przepraszam za wszelką niewygodę, jaką ci sprawiłam... Wiem, że mnie znienawidzisz... nie mogę cię za to potępiać. Zapewniam cię jednak, Marcusie, że nie mogę cię poślubić.

- A kopalnia?

- Mówię w tej chwili o sobie, a nie o kopalni. Kopalnia nie wydaje już mi się ważna. Nie wyjdę za ciebie, Marcusie. Nie mogę tego zrobić.

W tych prostych słowach było tyle stanowczości, że Marcus przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. Patrzył na Eve, szukając argumentów, które by ją skłoniły do zastanowienia. Wyraz jej twarzy świadczył, że nie była to decyzja, którą podjęła lekko i podpowiadał mu, że trzeba ją uszanować. Tutaj, w Burntwood Hall, coś się stało. Coś, o czym Eve mu nie powiedziała, a co, jak podejrzewał, miało związek z przybyciem Geralda.

- Czy nie sądzisz, że jesteś mi winna wyjaśnienie? Czy nie możesz mi powiedzieć, dlaczego nagle stałem się dla ciebie odrażający?

- Nie, nie... Wcale się taki nie stałem.

- Nie? A zatem czy wiesz, co czuje mężczyzna, gdy kobieta, z którą jest po słowie, nagle zrywa zaręczyny?

Eve, cała drżąca, pokręciła głową.

- No to ci powiem. Taki mężczyzna myśli, że jest ktoś inny, kto zajął jego miejsce w sercu tej kobiety i zaczyna wątpić, czy w ogóle kiedykolwiek je miał - powiedział szyderczo. - Więc kto to jest? Gerald, a może jeden z tych dandysów wpadł ci w oko?

- Proszę cię, nie oskarżaj mnie o taki brak gustu. Nie ma nikogo... nie dałam ci powodu do takich okropnych oskarżeń! - wybuchnęła Eve.

Bardzo chciała zapytać go o Angelę, chciała błagać, żeby zaprzeczył jej słowom, pragnęła, aby się okazało, że nigdy nie kupował jej prezentów i że nic nigdy ich nie łączyło. Jednak duma i obawa, że Marcus potwierdzi to, co mówiła Angela, powstrzymały ją. Niezdolna spojrzeć w jego płonące oczy, spuściła wzrok i poczuła, że zbiera jej się na płacz. Marcus być może był kobieciarzem, jednak jej serce nie chciało się wyrzec płomiennej miłości do niego.

- Ja... ja sądzę, że powinienes już odejść.

- Nie. Nie oddalę się, dopóki wszystkiego nie ustalimy.

- Wszystko jest już ustalone. Przykro mi. Nie mam nic więcej do dodania. - Chciała go wyminąć, lecz wyciągnął rękę i nie pozwolił jej przejść.

- Do diabła! Eve, nie możesz tego zrobić!

- Mogę...

Był zbyt silny i zbyt męski. I znajdował się zbyt blisko niej. A ona walczyła ze łzami, próbowała panować nad głosem i... pragnęła całym sercem, by wziął ją w ramiona, chciała poczuć jego usta

na swoich, chciała poczuć ogień w całym ciele. Jednak obraz Angeli, z tym jej przebiegłym, bezczelnym uśmiechem, stał między nimi.

Nagle od strony podjazdu dobiegł ich odgłos końskich kopyt. Eve spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła, że przed dom zajechał elegancki powóz ciągnięty przez parę dziarskich siwków. A z powozu wysiadła kobieta. Eve nie potrzebowała wysilać wzroku, by rozpoznać Angelę. Na jej widok ogarnęła ją ogromna zazdrość.

Tymczasem Angela szła w stronę domu, a światło słoneczne odbijało się od lśniącej błękitnej sukni. Eve odwróciła głowę, udając, że jej nie widzi. Nie chciała bowiem dać się wciągnąć w kolejną z nią kłótnię.

- Wygląda na to, że masz jeszcze jednego gościa - powiedział Marcus, który nie rozpoznał, kto przyjechał, ale był zły, że przyjazd tej osoby odwrócił uwagę Eve.

- To nie mój gość. To Angela Stephenson - odrzekła Eve ostro, a w jej oczach pojawił się błysk nienawiści. - Co za wspaniały moment sobie wybrała. Przyjechała zobaczyć się z Geraldem... ale jestem pewna, że będzie zachwycona, spotykając tu ciebie. A znając twoją skłonność do romansów, Marcusie, nie mam wątpliwości, że twój zachwyt będzie równie wielki. Obecność tej osoby złagodzi z pewnością cios, jaki przed chwilą ci zadałam... Proszę, wybac mi, ale muszę sprawdzić, czy moja babka czegoś nie potrzebuje.

Odwróciła się, lecz Marcus chwycił ją za ramię.

- Posłuchaj, Eve, zanim odejdziesz, musisz mi powiedzieć, czy naprawdę chcesz, żeby nasze drogi się rozeszły. Czy chcesz, żebyśmy się nigdy więcej nie zobaczyli?

Zadał to pytanie prawie szeptem, przybliżając twarz do jej twarzy.

- Tak, chcę tego...

- Zatem miej odwagę spojrzeć mi w oczy i powtórzyć swoje słowa - zażądał, wpatrując się w nią.

A ona stała skąpana w słonecznym blasku, z burzą ciemnych loków wokół twarzy tak bladej, że niemal przezroczystej.

- Tak - powtórzyła w końcu z ociąganiem. - Tego właśnie chcę.

- Powiedz mi także, że nie chcesz, żebym cię dotykał, całował. Zostałaś wychowana na damę i potrafisz nad sobą panować, to prawda, jednak wiem, jak łatwo jest sprawić, żebyś o tym zapomniała i pozbyła się wszelkich hamulców.

Eve, całkiem nieprzygotowana na takie słowa, chciała zaprotestować. Nie zdążyła jednak, bo Marcus przygarnął ją do piersi i pocałował w usta. Usiłowała wyzwolić się z jego ramion, a w jej sercu toczyła się zjadła, milcząca, bezlitosna walka. Ale Marcus był bardzo silny, a ona powoli słabła. Wiedziała już, że mu się nie oprze, bo ogarnęła ją fala podniecenia.

Czuła żar bijący od Marcusa, wyczuwała jego energię. Zabrakło jej tchu, osłabła, niezdolna oprzeć się pokusie, a gdy jego ręka, oderwawszy się od jej kibici, ujęła jej delikatną pierś, zapomniała o bożym świecie.

Jednak Marcus wypuścił ją z ramion tak szybko, jak ją w nie zagarnął. Odsunął ją od siebie tak nagle, że zakręciło jej się w głowie.

Eve, cała drżąca, wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Była tak piękna, jej uroda wprost go porażała. Marcus opanował się najwyższym wysiłkiem woli. Pragnąc jej rozpaczliwie, równocześnie patrzył na nią gniewnie.

A ona, oniemiała i wstrząśnięta, zrobiła się nagle bardzo słaba i bezbronna. Żałowała tego pocałunku, bo skomplikował tylko jeszcze bardziej całą sprawę. Podsycił jej miłość do Marcusa i spowodował, że zaczęła żałować swojej dramatycznej decyzji.

- Przepraszam za moje barbarzyńskie zachowanie - odezwał się Marcus. - Powiem ci jednak, że gdy podczas długich, samotnych nocy będziesz wspominać nasze uściski i pocałunki... a także reakcje własnego ciała, twoje pożądanie wzmocni jeszcze wyrzuty sumienia. Możesz mi odmawiać tak długo, jak zechcesz, jednak szybkość, z jaką twoje ciało reaguje na mój dotyk, świadczy lepiej niż słowa, że bardzo pragniesz być ze mną.

Patrzyła na niego całkiem bezradna. Jej policzki oblał rumieniec, usta były miękkie i drżące, a niezaspokojone pragnienie, które czuła w sobie, nie pozwalało zaprzeczyć słowom Marcusa.

- To nie jest koniec, Eve - mówił dalej głosem cichym i łagodnym. - Porozmawiamy o tym jeszcze, kiedy się już uspokoisz. Nie uda ci się tak łatwo usunąć mnie ze swojego życia. Nie pozwolę ci na to.

- Musisz - wyszeptła drżącymi ustami, próbując zapanować nad własnym ciałem. - Już podjęłam decyzję. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Do widzenia, Marcusie.

Pobiegła do domu. Weszła bocznymi drzwiami, bo nie chciała spotkać się z Angela.

Zadowolona, że powiedziała Marcusowi o swojej decyzji, pragnęła teraz być sama, uspokoić umysł i nerwy, tak bardzo wzburzone całą tą rozmową i namiętym pocałunkiem.

Marcus patrzył za nią oszołomiony i gniewny. Próbował zgłębić przyczynę, dla której tak nagle zmieniła swoje plany. Dochodził do wniosku, że Eve zakochała się w kimś innym. Tak, tak, nie mogło być inaczej. Pomimo jej zaprzeczeń, tylko takie wyjaśnienie wydawało mu się sensowne. Z drugiej jednak strony - jeżeli kochała innego, to nie powinna była być tak podatna na jego uściski i pocałunki. Mimo tej ostatniej wątpliwości, Marcus poczuł palącą zazdrość. Eve tak bardzo go zraniła...

Odprowadzał ją wzrokiem w milczeniu, z zaciśniętymi ustami. Starał się opanować wściekłość. Kusiło go, żeby ją dogonić i domagać się wyjaśnień, prosić, by dała mu szansę obrony. Jednak po chwili zmienił zamiar. Odwrócił się nagle na pięcie i odszedł. Nie, pomyślał, nie będę się zniżał do tego, żeby ją dalej błagać.

Zamierzał natychmiast opuścić Burntwood Hall, bo przecież nie miał powodu, żeby tu dłużej zostać. Zmienił jednak plany, gdy spostrzegł zbliżającą się do niego Angelę.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, Eve obmyła rozpaloną twarz zimną wodą. Zdawała sobie sprawę, że Angela zaraz odszuka Marcusa. Gdy podeszła do okna wychodzącego na ogród, stwierdziła, ku swej rozpacz, że rzeczywiście tak uczyniła i że teraz oboje spacerują ramię w ramię.

Ziemia zakołysała jej się pod nogami. Ogarnął ją wielki gniew. Marcus sprawiał wrażenie spokojnego. Zachowywał się tak, jakby przed chwilą nie stało się nic niemiłego, jakby nie przeżył żadnego rozczarowania. Uprzejmie skłoniwszy głowę, słuchał, co mówi Angela, a gdy schodzili po schodach, podtrzymywał ją troskliwie pod ramię. A Angela - z wprawą wytrawnej kokietki - spoglądała na niego spod rzęs i perliście śmiała się z czegoś, co właśnie powiedział. Lady Pemberton na wieść, że jej wnuczka postanowiła nie wychodzić za Marcusa Fitzalana, doznała prawdziwego szoku.

- Ależ Eve, nie mówisz chyba poważnie! - zawołała.

- Jak najbardziej poważnie, babciu. Nie mogę za niego wyjść. Już mu to powiedziałam. I to jest koniec sprawy.

- Jak to koniec? Masz przecież zbyt wiele do stracenia.

- Wcale nie. Mam do stracenia jedynie Kopalnię Atwoodzką. Nie zależy mi już na niej. Może ją sobie wziąć Gerald.

- Wyobrażam sobie, w jaki gniew wpadł pan Fitzalan, dowiedziawszy się o twojej decyzji.

- Rzeczywiście, rozgniewał się bardzo, jednak jego rozczarowanie bierze się stąd, że traci kopalnię, a wcale nie z tego powodu, że coś do mnie czuje. Byłam dla niego tylko środkiem do osiągnięcia celu, to wszystko. Nie chcę już dłużej w tym uczestniczyć. Sądzę, że postępując w ten sposób, zapewniam sobie przyszłe szczęście.

Babka, wcale nieprzekonana, przyjrzała jej się uważnie, ciekawa, co jest tego wszystkiego przyczyną. Od razu zauważyła, że Eve mówi drżącym głosem. Dostrzegła też gniew na jej młodej twarzy, a w jej pięknych oczach ból i cierpienie.

- A czy mogę zapytać - zagadnęła - co sprawiło, że zmieniłaś decyzję? Sądziłam, że twoje stosunki z panem Fitzalanem układają się dobrze.

- Mnie też się tak wydawało. Wygląda jednak na to, że Marcus oszukał i ciebie, i mnie. Postąpił wobec mnie okropnie. - Eve nie kryła złości. - Miał romans z kobietą, którą kiedyś uważałam za swoją przyjaciółkę. Z kobietą, którą zamierzał poślubić. I poślubiłby ją, gdyby nie testament mojego ojca. Ten romans trwa nadal i trwałby z pewnością po naszym ślubie. Babciu, po prostu nie mogę się na to zgodzić! Zresztą, skąd mam wiedzieć, czy w przyszłości, gdy ta kobieta mu się już znudzi, Marcus nie dokona kolejnego podboju? - Przerwała na chwilę. - Znam twoje poglądy na małżeństwo i wiem, że masz mnie za idiotkę. Ale... ale jak on śmie traktować mnie tak okropnie? Nie dam się upokarzać. To jest wykluczone. Nie wyjdę za niego tylko dlatego, by spełnić życzenie ojca czy zadowolić ciebie i jego.

- Czy pan Fitzalan ci powiedział, że kocha tę kobietę, o której mówisz?

- Nie. I nie spodziewam się, że mi to powie, ale ja wiem, że to prawda. Kobieta, o którą chodzi, sama mnie o tym poinformowała. Wiem to także od Geralda.

- Na twoim miejscu nie zwracałabym uwagi na to, co mówi Gerald, a już ta kobieta... Widzę, że wierzysz im obojgu, natomiast panu Fitzalanowi nie dajesz żadnej szansy. Nie pozwalasz mu się wytłumaczyć. Czy nie sądzisz, że postępujesz wobec niego z wielką bezwzględnością?

- Być może, babciu, ale ja naprawdę wierzę Geraldowi i tamtej kobiecie. Mam ku temu powody, zwłaszcza po tym, jak na własne oczy zobaczyłam Marcusa z tą osobą. A także po tym, jak zobaczyłam prezent, którym ją obdarował. To piękna i cenna rzecz, jedna z wielu, które od niego dostała. Nie mogę przecież pozwolić, żeby robili ze mnie idiotkę.

- Rozumiem, choć jestem głęboko rozczarowana. Zawsze sądziłam, że pan Fitzalan to mężczyzna dla ciebie.

- Przykro mi, babciu. I proszę, nie wiń mnie za to, że go odrzuciłam.

- Nie winię ciebie... Ale co teraz zrobimy?

- Jeżeli się zgodzisz, pojedę z tobą do Cumbrii. Chcę jak najszybciej wynieść się z Burntwood Hall. Po tym, jak sprowadził się Gerald, nie mogę tu dłużej zostać.

- Świetnie. Jeżeli tak postanowiłaś, to nie będziemy się dłużej zastanawiały. Wyjedziemy jutro. Muszę ci powiedzieć, że i ja odczuję ulgę, rozstając się z Geraldem.

Eve poleciała pokojówce, żeby spakowała kufry. Czuła się przy tym głęboko nieszczęśliwa.

Wiedziała doskonale, że nigdy nie zapomni Marcusa, choćby nawet uciekła na koniec świata.

Wiedziała także, że nic w jej życiu nie będzie takie samo jak przedtem.

Rozdział dwunasty

Po otrzymaniu od Eve listu z zawiadomieniem o jej wyjeździe, Emma na drugi dzień przyjechała do Burntwood Hall, żeby się pożegnać. Była zdumiona decyzją przyjaciółki. Przypuszczała, że przyczyną wyjazdu jest Gerald.

- Och, Eve! - zawołała, wchodząc do jej pokoju i patrząc z niedowierzaniem na pakującą kufry pokojówkę. - Czy to Gerald tak ci zatruł życie, że wyjeżdżasz? Chciałam ci powiedzieć, że wcale nie musisz jechać tak daleko, bo ty i twoja babcia możecie do czasu ślubu zamieszkać u nas.

- Posłuchaj, Emmo, nie będę cię okłamywała. Gerald jest zdeterminowany. Za wszelką cenę chce dostać w swoje ręce Kopalnię Atwoodzką. Posunął się do okropnych gróźb w stosunku do mnie. Wyznaję szczerze, że jestem przerażona i mam powody go się bać. Jest to jedna z przyczyn, dla których opuszczam Atwood.

- Tylko jedna? A jakie są inne? Eve, proszę, powiedz mi wszystko.

Usiadły na łóżku. Emma, która od razu zauważyła, jak bardzo Eve zmieniła się od dnia pikniku, była wstrząśniona. Jej przyjaciółka z dziewczyny pełnej życia stała się osobą o zbolalej twarzy i podkrążonych oczach, bladą niby opłatek. Wyglądała na bardzo zmęczoną i zrezygnowaną, jakby uszła z niej cała energia.

- Jadę z babką do Cumbrii.

- Ależ nie możesz tego zrobić! Za niecałe trzy tygodnie jest przecież twój ślub. Trzeba wszystko przygotować, a to wymaga wiele pracy.

- Ślubu nie będzie, Emmo. Nie wychodzę za mąż - odrzekła spokojnie Eve.

- Ale dlaczego? Co się stało?

- Nie wyjdę za Marcusa. Po prostu... nie mogę. Emma ujęła jej zimną dłoń.

- Bardzo cię proszę, powiedz mi wszystko. Tu nie chodzi jedynie o Geralda i jego groźby, prawda? Widzę, że chodzi o coś więcej. Czy coś się stało panu Fitzalanowi? - zapytała zaniepokojona.

Eve ze smutkiem pokręciła głową, a potem urywanym głosem powtórzyła Emmie swoją rozmowę z Angela. Przyjaciółka słuchała jej zdumiona, nie mogąc w to wszystko uwierzyć.

- Nie pamiętam, bym kiedykolwiek w życiu była bardziej zszokowana - powiedziała, kiedy Eve skończyła swoją opowieść. - To nie do wiary, że ona ponownie postępuje wobec ciebie w ten sposób. Kto by przypuszczał, że kobieta może być aż tak podła? Ale Eve, czy ty naprawdę jej wierzysz? Przecież obie doskonale wiemy, do czego jest zdolna. Powiem ci coś. Podejrzewam, że Angela po prostu zazdrości ci związku z panem Fitzalanem, a ty, uciekając teraz do Cumbrii, doprowadzisz do tego, że ona znowu zatryumfuje.

- Em, moja droga, na własne oczy widziałam dowód jego uczucia do niej - odrzekła spokojnie Eve.

- Jaki dowód?

- Wachlarz, który, jak twierdzi Angela, jest prezentem od Marcusa. Ten wachlarz jest przepiękny, srebrzystobłękitny, wysadzany brylantami. Jest na nim dedykacja podpisana jego imieniem. Widziałam ją na własne oczy. Czy może być bardziej niezbity dowód?

Emma, słysząc te słowa, doznała prawdziwego szoku. Jednak znając przebiegłość Angeli, nie była do końca przekonana, czy Eve nie powinna zinterpretować wątpliwości na korzyść Marcusa.

Eve westchnęła, kręcąc z rozpaczą głową.

- Och Em, już nic nie wiem. Mówiłam ci podczas pikniku, że ich zachowanie w Brooklands, gdy znaleźli się sam na sam, było podejrzane. Mówiłam ci, że widząc ich razem, zaczęłam sądzić, że są sobie znacznie bliżsi niż para normalnych znajomych.

- Mówiłaś mi też, że pan Fitzalan temu zaprzeczył.

- Trudno się przecież spodziewać potwierdzenia z jego strony. Oboje, on i Angela, byli bardzo sprytni, a ja zostałam przez nich oszukana. Dla Marcusa Fitzalana, podobnie ja dla Geralda, kopalnia jest rzeczą bardzo ważną. By ją zdobyć, Marcus ucieknie się do wszelkich środków.

- Moim zdaniem, Eve, sytuacja nie jest aż tak zła, na jaką wygląda. Wybacz mi, ale nie mogę uwierzyć, żeby pan Fitzalan postępował tak okropnie. Naprawdę, bądź sprawiedliwa. Zinterpretuj wątpliwości na jego korzyść. Zapytaj go wprost, jak jest naprawdę. Nie działaj pochopnie. Proszę cię o to bardzo.

- Musiałam podjąć taką decyzję. Nie mogłam nic na to poradzić. - Całkiem zdezorientowana Eve rozpaczliwie starała się opanować emocje. - Nie zniosłabym, gdyby mnie okłamał, zaprzeczając słowom Angeli. Nie zniosłabym też, gdyby je potwierdził.

- Ten dylemat można rozwiązać tylko w jeden sposób: pytając go o to wprost. Zrób to, Eve, a wtedy dowiesz się prawdy. Bo nie zamierzasz chyba pozostać w stanie kompletnej niewiedzy?

- Właśnie że zamierzam. Nie będę go pytała. Wiem, że z początku kopalnia zbliżyła nas do siebie, ale potem Marcus mnie rozczarował. Bo przecież zalecał się do mnie. Miałam więc chyba prawo spodziewać się, że będzie mi wierny... Trzy lata temu i on, i Angela głęboko mnie zranili i upokorzyli. Każde z nich ponosi jednakową winę za moje cierpienie. Nie chcę więc ponownie doświadczyć tego samego. Em, po prostu bym tego nie zniosła.

Emma milczała. Przyglądała się przyjaciółce, wzruszona jej cierpieniem. Ścisnęła jej dłoń ze zrozumieniem, bo to, co mówiła Eve, było prawdą. Została głęboko zraniona i tylko cudem wróciła do równowagi po załamaniu, jakie przeżyła po podłym postępku Angeli. A na dodatek pan Fitzalan, choć równie winny jak Angela, został oczyszczony z wszelkich zarzutów.

- Przypominam sobie, że opowiedział twojemu ojcu o tym zdarzeniu, nie mówiąc całej prawdy, bowiem w przeciwnym razie twój ojciec nie byłby dla niego taki pobłażliwy. Wyzwałby go raczej na pojedynek i zastrzelił. Pamiętam też, że potem Marcus Fitzalan, całkiem rozgrzeszony, udał się na dłuższy pobyt do Londynu. Być może jednak okazałby większą troskę i zrozumienie, gdyby wiedział, że wskutek całej tej historii miałaś poważnie zszarganą reputację. Muszę ci też powiedzieć, że wątpię, czy on ma pojęcie, ile z tego powodu wycierpiałaś. Z pewnością nie wie także, że całą tę intrygę ukuła Angela w jednym tylko celu: żeby zdobyć Lesliego Stephensona.

- Być może masz rację, Emmo. Ale wiesz, moja matka przez długie lata uczyła mnie, jak powinna zachowywać się dama, lecz ja zlekceważyłam wszelkie wpojone mi zasady. Nie powinnam była iść nad rzekę z Marcusem, nie powinnam słuchać Angeli. Sądzę więc, że gniew moich rodziców i sposób, w jaki potraktowało mnie towarzystwo w Atwood, były czymś, na co sobie w pełni zasłużyłam.

- Mimo to pana Fitzalana nie można rozgrzeszać.

- Ja go nie rozgrzeszam... w każdym razie nie całkowicie. Emma westchnęła i popatrzyła ze współczuciem na bladą, melancholijną twarz przyjaciółki.

- Kochasz go bardzo, prawda, Eve?

- Tak... - Łzy napłynęły jej do oczu. - Aż do dzisiejszego dnia nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo. Zakochałam się w nim, ale w swojej głupocie zapomniałam, że jego tak naprawdę interesuje Kopalnia Atwoodzką. Zrobiłam głupio, dając się ponieść uczuciom i marząc o rzeczach, które są całkiem nierealne.

Na wieść, że Eve ma jechać z babką do Cumbrii, Gerald nie potrafił ukryć radości. Gdy Eve pożegnała się już ze służbą, z której większość zostawała w Burntwood Hall, zdołał tuż przed wyjazdem dopaść ją na osobności.

- A zatem ogarnął cię strach, Eve? - zakpił okrutnie.

- Nie przed tobą, Geraldzie.

- Tak czy siak, jestem zadowolony, że wzięłaś pod uwagę moje ostrzeżenie... Czy mam rozumieć, że nie wyjdiesz za naszego znamienitego sąsiada?

Eve zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem i postanowiła nie ujawniać mu swojej decyzji. Niech się domyśla, niech spekuluje, niech się niepokoi.

- Nie bądź taki pewny siebie, Geraldzie. Jadę do Cumbrii, ale tylko na krótko. Nie zapominaj, że na ślub z panem Fitzalanem mam aż pięć miesięcy.

Po tych słowach ruszyła w drogę. Opuściła dwór Burntwood Hall, nie mając pojęcia, czy jeszcze tu kiedyś wróci.

Podczas podróży, gdy zapomniała już trochę o Geraldzie i jego groźbach, jej nastrój poprawił się nieco, jednak wszelka myśl o Marcusie wywoływała w niej ból i dziwne odrętwienie.

Opuszczała Burntwood Hall i Atwood z wielkim żalem, ale najbardziej cierpiała na myśl, że może już nigdy nie zobaczy Marcusa. Wiedziała bowiem, że człowiek o tak nieustępliwym charakterze jak on nigdy jej nie wybaczy tego, jak go potraktowała. Nie było więc między nimi nadziei na zgodę i na to, że wzajemnie zapomną sobie przewiny.

Na drugi dzień po wyjeździe Eve i lady Pemberton do Cumbrii Emma udała się do Brooklands, postanowiła bowiem zobaczyć się z Marcusem. Kierowała się niewyjaśnionym impulsem, bo właściwie nie miała dla niego współczucia i uważała za człowieka twardego, zgryźliwego i bezlitosnego. Intuicja podpowiadała jej jednak, że musi coś zrobić, żeby pomóc Eve.

Nie знаła zbyt dobrze Marcusa Fitzalana, dotąd rozmawiała z nim tylko kilka razy. Był tak męski, tak bardzo emanował siłą i witalnością, że czuła się w jego towarzystwie onieśmielona.

Zjawiwszy się w jego domu w Brooklands, usiłowała przypomnieć go sobie takim, jakim widziała go podczas pikniku. Wtedy bowiem, gdy bawił się z dziećmi, nie wydawał jej się taki straszny. Wspomnienie to trochę pomogło, bo uspokoiła się nieco i nabrała pewności siebie.

Upłynęły zaledwie dwa dni od rozmowy Marcusa z Eve w Burntwood Hall. Marcus czuł się tak rozczarowany, że z trudem udawało mu się odzyskać dumę i pozbierać myśli. Zachowanie Eve sprawiło go w wielki gniew i pomieszenie. Pragnął wyjaśnić. Pragnął wrócić do niej i błagać, by zmieniła decyzję. Nie pozwalała mu jednak na to męska duma.

Zaraz po powrocie, niby szaleniec, rzucił się w wir pracy. Próbował w ten sposób stłumić frustrację i gniew, które brały się z tego, że na samą myśl o Eve serce łomotało mu jak zadurzonemu młokosowi. Nocą, po dniu wyteżonej pracy, powracał okropny ból. Marcus rozpacział z powodu odrzucenia, a jeszcze większą rozpacz czuł, gdy się zastanawiał, jak będzie wyglądała jego przyszłość bez Eve.

Rozmyślał o niej długo. Uświadamiał sobie wyraźnie, jak wiele zaczęła dla niego znaczyć i jak wielką stała się jego miłość do niej. Znał w życiu mnóstwo kobiet - pięknych i zabawnych, kobiet, które kochał i o których potem zapomniiał. Żadna z nich jednak nie zdołała poruszyć jego serca tak jak Eve. To serce biło teraz tylko dla niej. Eve potrafiła, co prawda, wzbudzić w nim gniew i rozpacz, jednak żadne jej słowa, nic, co zrobiła, nie było w stanie ugasić jego miłości. Zrozumiał to teraz.

Gdy Emmę wprowadzono do jego gabinetu, Marcus wyszedł zza biurka i uprzejmie, choć chłodno, powiedział:

- Proszę usiąść, panno Parkinson. Muszę stwierdzić, że jestem zdziwiony, widząc panią tutaj. Czy mam rację, sądząc, że pani wizyta ma związek z Eve?

- Tak, oczywiście, panie Fitzalan.

Ona usiadła, on jednak stał nadal, a mówił tonem ostrym i suchym. W innej sytuacji Emma odwróciłaby się na pięcie i uciekła, bowiem Marcus w najmniejszym nawet stopniu nie przypominał tego człowieka, który parę dni temu wesoło zabawiał jej brata i siostry. W tej chwili jednak, choć zdenerwowana, stawiała mu dzielnie czoło.

- Przyjechałam do pana, bo bardzo martwię się o Eve. Sądzę, panie Fitzalan, że są pewne rzeczy, które powinien pan wiedzieć.

- Dotyczą one Eve? -Tak.

- Więc dlaczego nie przyjechała do mnie sama? Dlaczego przysłała panią, swoją przyjaciółkę? - zapytał ostro.

- Wcale mnie nie przysłała, co więcej, jestem pewna, że bardzo by się gniewała, gdyby dowiedziała się o tej wizycie.

Mimo to muszę panu powiedzieć, że Eve opuściła Atwood i udała się z babką do Cumbrii.

Słyszac te słowa, Marcus zamarł w bezruchu. Poparzył na Emmę i w tej samej chwili przestał nad sobą panować. Eve powiedziała mu, co prawda, że pojedzie z babką do Cumbrii, on jednak w to nie uwierzył, a już na pewno nie sądził, by stało się to tak szybko. Więc gdy usłyszał słowa Emmy, ogarnął go gniew i ogromne przygnębienie.

- Rozumiem... Kiedy?

- Wczoraj.

- Zatem jaki jest cel pani wizyty? Co ma mi pani do powiedzenia? Czy jest to coś, czego Eve nie chciała mi powiedzieć osobiście?

- Czy pan, panie Fitzalan, naprawdę nie ma pojęcia, dlaczego Eve, mimo wcześniejszych deklaracji, doszła do wniosku, że nie może za pana wyjść za mąż?

- Nie. Przypuszczam jednak, że to jeden z przyjaciół Geralda wpadł jej w oko. To jest dla mnie jedyne sensowne wytłumaczenie jej postępowania.

- A zatem jest pan wobec niej ogromnie niesprawiedliwy - powiedziała Emma ostrym tonem. - Od czasu, gdy trzy lata temu wykorzystał pan jej niewinność, rujnując jej reputację, w jej życiu nie było żadnego innego mężczyzny. I obawiam się, że po tym wszystkim nie będzie już żadnego więcej. Chyba że to wszystko da się jakoś naprawić.

- Rujnując jej reputację? - Marcus parsknął śmiechem. - Panno Parkinson, o czym pani mówi?

- Mówię o tym, że z powodu głupiego żartu, który skończył się tak okropnie, Eve ogromnie wiele wycierpiała. I nadal cierpi. To, co zaszło między panem a nią, stało się powszechnie wiadome, bo Angela Stephenson dopilnowała, żeby wieść rozeszła się jak najszybciej. Jednak czy pan nie miał sumienia, żeby na drugi dzień jechać do Londynu? -Spojrzała na niego oskarżycielsko. - Panie Fitzalan, Eve miała wtedy zaledwie siedemnaście lat, a jej przyszłość rysowała się nad wyraz ponuro. Nie chcąc, żeby stała się przedmiotem kpin, rodzice wysłali ją do babki do Cumbrii, ale towarzystwo w Atwood nie zapomniało jej tego błędu, nie wybaczyło. Jak pan wie, Leslie Stephenson zrezygnował z zamiaru oświadczenia się Eve i ożenił się z Angela, czyli stało się tak, jak Angela to sobie obmyśliła.

- Wiem o tym. Eve mówiła mi, że cała rzecz została ukartowana przez Angelę, a z przykrością stwierdzam, że wówczas mało o tym myślałem. Nie sądziłem, że Angela jest zdolna do takiej przebiegłości.

- Proszę mi wybaczyć, panie Fitzalan, ale wygląda na to, że wie pan o Angeli bardzo mało - odrzekła Emma tonem krytycznym i stanowczym. - Czy pan ma pojęcie o tym, że Eve przez kilka miesięcy nie wracała do Atwood i że już nigdy nie zobaczyła swojej matki? Matka jej zmarła na gruźlicę. .. ale jako przyjaciel sir Johna Somerville'a z pewnością pan o tym wie - dodała ironicznie. - Czy może pan sobie wyobrazić, jak Eve się z tego powodu zadrezczała? Powinna była wówczas być przy matce. Matka jej potrzebowała i nie powinna była umrzeć, nie widząc się z córką przed śmiercią. Eve nigdy nie otrząsnęła się z tej tragedii, o którą obwiniała siebie. Tragedia ta obudziła współczucie w sercach towarzystwa z Atwood, które po śmierci jej matki chętnie powitało jej powrót. Lecz krzywda już się stała. Eve, poza wizytami u ciotki

Shony w Londynie i u babki w Cumbrii, nie ruszała się z domu, żyła od tego czasu samotnie w Burntwood Hall. Marcus był tymi wiadomościami wstrząśnięty.

- Dobry Boże... nic o tym wszystkim nie wiedziałem.

- Oczywiście, że pan nie wiedział. Wprawdzie Netherley leży pięć mil od Atwood, ale równie dobrze mogłoby być oddalone o pięćset. Eve opowiedziała mi, jak pan się rozgniewał, dowiedziawszy się, kim ona jest. Być może chciał jej pan dać nauczki. I dał ją pan. Proszę mi jednak wierzyć, panie Fitzalan, była to dla niej ciężka lekcja. Lekcja, na którą nie zasłużyła. Nie sądzi pan przypadkiem, że to dość okrutne? Pan potraktował całą tę sprawę lekko i nie został obciążony żadną winą, a Eve cierpiała tak bardzo.

Marcus stał jak skamieniały. Przypominał zimny, marmurowy posąg. Cierpiał okropnie.

Świadomość, że zadał Eve tyle bólu, że musiała przejść taką mękę, paliła go żywym ogniem. Do tej pory nie miał pojęcia, że tyle wycierpiała z powodu jego bezdusności. Sir John nigdy mu o tym nie wspominał, a on sam był zbyt bezmyślny i zbyt zajęty innymi sprawami, żeby zapytać. Trzy lata temu między nim a Eve nie istniała żadna więź uczuciowa. Tak myślał i w swojej bucie sądził, że dał jej porządną lekcję życia. Przez długi czas w pamięci miał tylko jej gibkie ciało i czułą namiętność, z jaką go całowała. Teraz jednak nie mógł bez dreszczu grozy myśleć o tym, co jej wtedy powiedział, o tym, że nazwał ją kokietką, rozwiązał rozpustnicą, i o tym, jak ją potraktował. Bo teraz wiedział, jaka Eve jest naprawdę. Wiedział doskonale, że nie zasłużyła na takie traktowanie.

Dręczyły go wyrzuty sumienia. Jego postępowanie było złe, niewybaczalne. Nic dziwnego, że Eve okazywała mu taką wrogość, gdy spotkali się ponownie podczas pogrzebu. Przecież sobie na nią zasłużył.

Ogarnął go wielki gniew na własną głupotę. Jak mógł osobę tak czystą i słodką potraktować tak nikczemnie? Młoda i niedoświadczona Eve nie potrafiła się bronić... Była niewinną ofiarą żartu, który nie wypalił i który, w sposób całkiem nieumyślny, postawił ją na drodze człowieka zasługującego na miano libertyna. Dla jego ówczesnego postępowania nie było usprawiedliwienia. Będąc doświadczonym światowcem, powinien był się zorientować, z kim ma do czynienia i zachować się zupełnie inaczej.

- Cóż mam pani na to wszystko powiedzieć, panno Parkinson? - przerwał wreszcie milczenie. - Nie mogłem wtedy przewidzieć wpływu, jaki ten incydent, wcale nie tak błahy, jak wówczas sądziłem, będzie miał na życie Eve... a także na moje. Wiedziałem, że Eve pojechała do Cumbrii i że Leslie Stephenson odwrócił się od niej i poślubił Angelę, a także że zmarła jej matka. Wtedy jednak byłem nieobecny i dowiedziałem się o tym dopiero po powrocie. Proszę mi uwierzyć, nie wiedziałem, że Eve nie było przy matce w godzinie śmierci. Wszystko to jednak nie wyjaśnia, dlaczego Eve wyjechała teraz, dlaczego postanowiła zerwać nasze zaręczyny. Bo chyba nie zrobiła tego z zemsty za moje dawniejsze przewiny?

- Eve nie jest mściwa, panie Fitzalan. Postanowiła zerwać wasze zaręczyny wtedy, kiedy Angela jej powiedziała, że ona i pan się kochacie i że macie z sobą romans. Potwierdził to zresztą Gerald.

- Oczywiście! Gerald Somerville byłby zachwycony, gdybym romansował z Angielą Stephenson, bo taki związek przyniósłby mu same korzyści.

- Wie pan, może gdyby Eve się w panu nie zakochała i gdyby chodziło o inną kobietę, a nie o Angelę, wszystko to nie sprawiłoby jej aż takiego bólu - powiedziała spokojnie Emma. - Eve jest osobą bardzo dumną. To właśnie duma nie pozwoliła jej zapytać pana, czy Angielę i Gerald mówili prawdę. Za bardzo się bała, że pan potwierdzi ich słowa. Obawiała się tego zwłaszcza po tym, jak Angielę pokazała jej wachlarz, który dostała od pana w prezencie.

Słyszając o wachlarzu, Marcus spojrział na Emmę z bezgranicznym zdumieniem.

- Ależ to po prostu śmieszne! Wachlarz, mówi pani? Który niby jej ofiarowałem?

- Tak.

- Nigdy nie dałem Angeli żadnego prezentu.

- Ona twierdzi inaczej. Zresztą na tym wachlarzu była pełna miłości dedykacja od pana.

Marcus zamyślił się na chwilę, a potem pokręcił powoli głową.

- Jedyne wachlarz, jaki komukolwiek dałem w prezencie, to ten, który dwa lata temu ofiarowałem mojej matce na urodziny. Piękny, srebrzystobłękitny, wysadzany brylantami.

Emma westchnęła. Domyśliła się bowiem, jak wyglądała intryga Angeli.

- Sądząc po opisie, chodzi właśnie o ten wachlarz.

- Zatem mogę przypuszczać, że moja matka pożyczyła go Angeli albo jej matce, a one go nie zwróciły. Proszę mi wierzyć, z Angela nie łączy mnie absolutnie nic. I nigdy nie łączyło.

Powiedziałem to Eve w zeszłym tygodniu, gdy mnie o nią zagadnęła. Miałem nadzieję, że ją przekonałem, wygląda jednak na to, że się myliłem.

- Wtedy pan ją przekonał, kiedy jednak Angela pokazała jej taki dowód... Wie pan, panie Fitzalan, nie może pan winić Eve za to, że opadły ją wątpliwości. Pogłębiły się one po wizycie Angeli w Burntwood Hall, parę dni temu. Eve przestała być pewna, czy pan mówił prawdę. Bo widzi pan, Angela posiada wielką siłę przekonywania.

- A co takiego Eve jej zrobiła? Dlaczego Angela jest tak wobec niej mściwa?

- Nic. Eve nie zrobiła jej absolutnie nic, ale Angela jest bardzo zazdrosna. W dzieciństwie zazdrościła Eve bogatej i utytułowanej rodziny, a także urody i tego, że wszyscy ją lubili. A później jej okropną zazdrość wzbudził fakt, że na Eve zwrócił uwagę Leslie Stephenson. Angela postanowiła więc ich poróżnić, miała bowiem nadzieję, że Leslie ożeni się z nią. Była zdecydowana zagarnąć go dla siebie wyłącznie po to, żeby zrobić na złość Eve. Bo, moim zdaniem, tak naprawdę to ona go wcale nie kochała.

- Jak rozumiem, moje pojawienie się na jarmarku dało jej sposobność, żeby skompromitować Eve, wplątać ją w sytuację, w wyniku której Leslie Stephenson zrezygnuje z oczekiwanych przez wszystkich oświadczeń. Czy tak?

- Właśnie tak. Eve miała pana namówić, żeby pan z nią zatańczył. Angela wmówiła jej, że to wzbudzi zazdrość Lesliego i skłoni do szybszych oświadczeń, zwlekał z tym bowiem. Jednak to, że pan zniknął wraz z Eve za drzewami, przeszło najśmielsze jej oczekiwania. Odszukała natychmiast Lesliego i dopilnowała, żeby zobaczył was razem.

- No cóż, wiem bardzo dobrze, co było dalej...

- Panie Fitzalan, znałam Angelę od dawna i dobrze wiedziałam, do czego jest zdolna.

Zrozumiałam, co knuje, a kiedy Eve się oddaliła, próbowałam Angelę odwieść od jej planu, była jednak głucha i ślepa na wszelką perswazję. Jak zawsze zresztą w takich okazjach. Ważne są dla niej tylko jej własne potrzeby i okrutna satysfakcja. Podobnie było teraz: bezwzględnie przeprowadzona perfidna intryga, byle tylko osiągnąć swój cel i skłócić was. No cóż, Angela to jedno, ale jest jeszcze Gerald. Wbrew temu, co Eve panu powiedziała, po przybyciu do Burntwood Hall bardzo zatrul jej życie. Tak bardzo, jak tylko on potrafi.

Słyszając te słowa, Marcus pobladł.

- Mój Boże! Powinienem być się tego domyślić! Powinienem był nalegać, żeby Eve przyjechała do Brooklands. Kiedy zerwała zaręczyny, wpadłem w taką wściekłość, że zapomniałem o Geraldzie. Co on jej zrobił?

- Nie odważył się jej tknąć, jeżeli o to pan pyta - powiedziała pospiesznie Emma. - Jednak Gerald ma w sobie jakieś bestialstwo, które wzbudza u Eve ogromny strach. Powiedział jej bez

ogródek, że zrobi wszystko, żeby dostać Kopalnię Atwoodzką. Jego groźby ją przeraziły. Eve bardzo się boi, że jeżeli postanowi wyjść za pana, to Gerald przed waszym ślubem spowoduje, na przykład, jakiś wypadek, ale robi to tak, żeby podejrzenie nie padło na niego.

W oczach Marcusa zabłysnął wielki gniew.

- Nie odważy się - powiedział ze ściśniętym gardłem.

- A ja sądzę, że się odważy. Eve ma rację, obawiając się go tak bardzo. Ona się boi i jego, i Angeli, panie Fitzalan. Gerald pragnie kopalni, a Angela pana. Wspólnie stanowią siłę, z którą należy się liczyć. Nie sądzi pan, że mam rację?

- Rzeczywiście...

- Co do Angeli, to, choć jest zazdrosna i mściwa, nie zrobi Eve żadnej fizycznej krzywdy. Takie jest moje zdanie.

- Zaraz, zaraz, panno Parkinson... Nie mogę pojąć, że Eve, przy całej swojej odwadze, tak potulnie przyjęła groźby Geralda.

- Kiedyś by tak nie postąpiła, ale przez te trzy lata... Przez trzy lata starałam się pomóc mojej najbliższej przyjaciółce, robiłam, co mogłam, by wróciła do równowagi, panie Fitzalan. Kiedy już sądziłam, że zapomniała o bólu i przykrościach, wszystko zaczyna się od nowa. Koszmar wrócił. Intrygi, kłamstwa, poniżenie... Gdyby ktoś ją zaatakował otwarcie, walczyłaby odważnie do upadłego, lecz wobec nieuchwytnego demona strachu jest bezradna. To skutek tamtych przeżyć. .. Obawiam się, że jest to ponad jej wytrzymałość.

- Mogę to zrozumieć... Dlaczego jednak nie porozmawiała ze mną wprost? Dlaczego nie spytała mnie o Angelę? Dlaczego popada w takie skrajności?

- Zarówno lady Pemberton, jak i ja radziłyśmy jej tak postąpić, ale nie chciała nas słuchać. Jest taka uparta; swoim uporem przypomina czasami dziecko. - Przerwała na chwilę. - Co będzie z panem, panie Fitzalan? Co pan teraz robi?

- Nie musi się już pani martwić o Eve, panno Parkinson- powiedział Marcus serdecznie. - Jutro z samego rana pojedę do Cumbrii. Przedtem jednak wpadnę do Little Bolton, żeby wyjaśnić pewne rzeczy z Angela. A potem Eve i ja będziemy musieli poważnie porozmawiać.

- A co będzie, jeżeli ona, obawiając się Geralda, nie zaryzykuje powrotu?

- Zapewniam panią, że wracając ze mną, będzie bezpieczna. Kiedy ją już odnajdę, nic... i nikt... nas nie rozdzieli.

Emma uśmiechnęła się z ulgą. Czuła się tak, jakby z serca spadł jej kamień.

- Proszę mi wybaczyć, panie Fitzalan, ale od tamtego niefortunnego dnia przed trzema laty zastanawiałam się w duchu, czy Bóg zrobił mądrze, stawiając pana na drodze Eve. Teraz jednak widzę, że się nie pomylił.

- A mnie - uśmiechnął się ciepło - dobry Bóg nie mógł sprawić cudowniejszego prezentu niż pani. Dziękuję pani bardzo, panno Parkinson, za to, że pani tu przyjechała. Mam wobec pani ogromny dług.

- Zrobiłam to dla Eve, panie Fitzalan. Po tym, co przeszła, troszcę się ogromnie o jej szczęście. Jeżeli pan ją przekona, żeby zmieniła decyzję i wróciła do Atwood, to proszę ją przywieźć do nas. Niech u nas mieszka aż do ślubu. Mogę mówić w imieniu rodziców, bo ogromnie ją lubią i będą zachwyceni, mogąc ją gościć. W obecnej sytuacji Eve nie wolno wracać do Burntwood Hall.

Emma zjadła w Brooklands lekki posiłek i odbyła przyjazną pogawędkę z panią Fitzalan, która potwierdziła, że rzeczywiście pożyczyła wachlarz matce Angeli. Było to w środę, kiedy w Brooklands odbywało się przyjęcie, na którym obecne były Eve i jej babka. Pani Lambert zapodziała gdzieś własny wachlarz, a ponieważ było bardzo gorąco, poprosiła Ruth Fitzalan o

pożyczenie jej swojego, co ta oczywiście z chęcią uczyniła. Była pewna, że pani Lambert zwróci wachlarz przy najbliższej okazji.

Matka Marcusa wiedziała o wyjeździe Eve do Cumbrii, nie miała jednak pojęcia, że Eve zerwała zaręczyny z jej synem, dlatego Emma przemilczała ten fakt. Marcus natomiast nie powiedział o tym matce, bo miał nadzieję, że Eve odzyska rozsądek i dostrzeże swój błąd.

Dzięki temu, czego się dowiedział od Emmy, Marcus przestał się tak okropnie zadręczać. Był teraz w stanie myśleć o Eve z większym spokojem. Wiedział, że to Angela swoimi złośliwymi sztuczkami zasiała w jej umyśle wątpliwości i nieufność w stosunku do niego.

Myśl o tym, że Angela przysporzyła Eve tyle cierpienia, doprowadzała go do furii. Zagrywka zaiste była szatańska: Eve nie tylko została ugodzona, ale powróciły dawne koszmary, i to ostatecznie ją powaliło. Uciekła więc do Cumbrii... bo to była ucieczka. Po przemyśleniu wszystkiego, Marcusa ogarnęło ogromne współczucie. Nie mógł już teraz winić Eve za jej postępowanie wobec niego. Zastanawiał się także, czy ona, po tym, co jej uczynił, będzie mu mogła kiedykolwiek zaufać.

Równocześnie był pewien, że sam nigdy z niej nie zrezygnuje. Eve nie przypominała bowiem żadnej z kobiet, które znał dotychczas, a ból, który odczuwał po jej utracie, był wprost niewyobrazalny. Z radością myślał o tym, co powiedziała mu Emma, a mianowicie, że Eve go kocha. Chciał wiedzieć, jak głębokie jest jej uczucie, a także kiedy go pokochała.

Zaprzagnął natychmiast udać się do niej, przedtem jednak musiał rozmówić się z Angela. Dopiero potem zamierzał usprawiedliwić się przed Eve, zapewnić ją, że się myliła, wierząc w kłamstwa Angeli. Chciał okazać bezgraniczną cierpliwość i stopniowo przełamywać istniejące między nimi bariery. Pragnął obnażyć przed Eve swoją duszę i serce, powiedzieć jej, że nic oprócz niej dla niego się nie liczy.

Martwiło go jedno, a mianowicie że Kopalnia Atwoodzką, będąca centralnym punktem ich małżeńskiej umowy, mogła ich na zawsze rozdzielić. Bo przecież było możliwe, że Eve, właśnie ze względu na kopalnię, będzie zawsze wątpiła w jego miłość. Tymczasem prawda była taka, że choć bardzo pragnął kopalni, bez żalu by z niej jednak zrezygnował, gdyby dzięki temu miał odzyskać Eve.

Gdy Marcus pojawił się w Little Bolton, Angela nie potrafiła ukryć zaskoczenia, ponieważ nigdy dotąd nie odwiedził domu jej rodziców. A dom ten, w porównaniu z Brooklands i Burntwood Hall, był bardzo skromny. Dlatego Angela bardzo zazdrościła Eve. Zazdrość jej wzrosła tysiąckrotnie, gdy jawne stały się warunki testamentu sir Johna Somervillea. Fakt, że sir John pragnął, żeby Eve poślubiła Marcusa, doprowadzał Angelę do białej gorączki, bo Marcus był przecież człowiekiem, w którym zakochała się parę miesięcy temu, gdy zostali sobie przedstawieni w Londynie.

Przymilała się i kokietowała, wszelkimi sposobami próbowała zwrócić na siebie jego uwagę. On natomiast zawsze zachowywał się wobec niej grzecznie i uprzejmie, ale nie okazywał większego zainteresowania tą znajomością. Angelę, przyzwyczajoną, że zawsze dostaje to, czego pragnie i że mężczyźni ścielą jej się wprost do stóp, irytował fakt, że Marcus daje jasno do zrozumienia, iż jej wdzięki nie robią na nim większego wrażenia.

Mając już dosyć wdowieństwa i rozpaczliwie pragnąc wyjść za człowieka, który zapewni jej poziom życia, do jakiego przywykła po ślubie z Lesliem, z ogromną determinacją dążyła do tego, żeby złapać Marcusa w swe sidła. Sądziła, że jej się to uda, kiedy już wróci do West Riding, tam bowiem nie będzie miała konkurencji ze strony innych kobiet. Tam też, dzięki przyjaźni ich matek, będą spędzali razem znacznie więcej czasu.

Jej nadzieje rozwiały się jednak, kiedy zmarł sir John Somerville, pozostawiając testament zagrażający jej planom. Angela wpadła we wściekłość, nie mogła bowiem znieść myśli, że Eve staje jej na drodze. Nie znosiła jej serdecznie. Nawet kiedyś, przed laty, gdy udawała jej przyjaciółkę, w duchu życzyła jej jak najgorzej.

Teraz, gdy Marcus pojawił się w domu jej rodziców, przyjęła go sama. Spojrzawszy na niego, zrobiła się natychmiast czujna i podejrzliwa, zauważyła bowiem wielkie napięcie w jego urodziwej twarzy.

Marcus tymczasem, bez cienia uśmiechu, skinął jej na powitanie głową. Jego gniew stawał się coraz bardziej widoczny.

- Nie jest to towarzyska wizyta, Angelo - powiedział tonem twardym jak stal. - Jest ona dla mnie przykrą koniecznością, a na dodatek nie mam wiele czasu. Jadę do Cumbrii, by przekonać Eve do powrotu. A ty, oczywiście, wiesz, że opuściła Atwood, prawda?

Angela zbladła, zachowała jednak milczenie. Czekala, co Marcus powie dalej.

- Co powiedziałaś Eve? - zapytał ostro. - Co masz na usprawiedliwienie swojego postępowania?

- Ja? - zdziwiła się obłudnie. - Nie powiedziałam jej nic, co nie byłoby prawdą, Marcusie.

- Zaprzeczając w ten sposób, obrażasz moją inteligencję. Jak śmiałaś pojechać do Burntwood Hall i nakłaskać Eve do głowy tych kłamstw?! Jak śmiałaś pokazać jej wachlarz, twierdząc, że dostałaś go ode mnie w prezencie? Wiesz doskonale, że był to prezent dla mojej matki, i że ona pożyczyła go tylko twojej matce. Czy będziesz miała czelność temu zaprzeczyć?

Na ustach Angeli pojawił się pogardliwy uśmieszek.

- Nie, nie, wcale temu nie zaprzeczam. Wyznaję, że opowiedziałam Eve niewinną zmyśloną historyjkę o tym wachlarzu. Ale nie kłamałam. Mówiłam prawdę.

- Prawdę? Jak to? Wiesz, nie sądziłem, że potrafisz tak oszukiwać, tak intrygować. - Marcus stanął tuż przed nią, patrząc groźnie w jej orzechowe oczy. - Czasami potrafisz tyle gadać, bywasz taka przekonująca, tak serdeczna, twój głos jest wtedy taki uwodzicielski, jednak to wszystko nie gasi błysku zimnej kalkulacji w twoich oczach. Dotychczas nie zdawałem sobie sprawy, jaka potrafisz być podstępna. W końcu jednak zaczynam rozumieć metody twojego działania. Rozumiem także, dlaczego Eve uwierzyła w twoje kłamstwa.

Ostry ton głosu Marcusa zaskoczył Angelę. Gdy sobie uświadomiła znaczenie jego słów, twarz wykrzywił jej grymas wściekłości. Jej oczy patrzyły lodowatym, twardym spojrzeniem, a dłonie zacisnęły się w pięści.

- A ja ci powiem, Marcusie, że mnie oszukałeś! Zachowywałeś się tak, że uwierzyłam, że ci na mnie zależy. Uwierzyłam, że chcesz się ze mną ożenić - rzuciła z furją.

- Wierząc w to, oszukujesz sama siebie. Nigdy nie dałem ci żadnego powodu, żebyś sądziła, iż jesteś dla mnie kimś więcej niż tylko znajomą. Wiesz o tym bardzo dobrze. Ja ciebie nie pragnę, Angelo. Nie pragnę cię dzisiaj i nie zapragnę nigdy w przyszłości. Czy to jest dla ciebie jasne? Nigdy nie uważałaś Eve za swoją przyjaciółkę, prawda? Udawałaś tylko przyjaźń, a tak naprawdę jej nienawidziłaś. Ale zapamiętaj sobie: nigdy ci nie zapomnę tego, że przysporzyłaś jej tylu cierpień.

- Jednak i ty, Marcusie, przyczyniłeś się do nich. Nie jesteś w tej sprawie całkiem bez winy - zripostowała jadownicie.

- To prawda, ale aż do wczoraj nie zdawałem sobie z tego sprawy. I z tego powodu będę miał do końca życia wyrzuty sumienia. - Marcus, poblady z gniewu, powiedział to lodowato spokojnym tonem. - Kocham Eve. Nie powiem na ten temat nic więcej, bo nie muszę się tłumaczyć. I to jeszcze przed kim, przed tobą... Powiem ci tylko tyle: jesteś, Angelo, perfidną jędzą, używasz

najbrudniejszych sposobów walki, z jakimi się w życiu spotkałem. Chcąc otrzymać to, czego pragniesz, jesteś gotowa postąpić najpodlej.

Na twarzy Angeli pojawił się ohydny uśmiech.

- Masz rację, Marcusie. Nienawidzę Eve. Nienawidziłam jej na długo przed jarmarkiem w Atwood. Wtedy z nią wygrałam. A czy wygram w przyszłości... to się jeszcze okaże. Nie powiem ci, że mam nadzieję, iż będziecie razem bardzo szczęśliwi, bo oboje wiemy, jak wielkim kłamstwem byłoby to w moich ustach.

Marcus przyjrzał jej się uważnie. Rzadko zdarzało mu się widzieć aż taką nienawiść malującą się na ludzkiej twarzy. Ogarnięty gniewem, zacisnął pięści i przycisnął ręce do siebie. W przeciwnym razie chwyciłby Angelę za gardło i udusił.

- Z jakiegoś znanego tylko sobie powodu gotowa jesteś zniszczyć Eve. - Zmrużył oczy. - Ale powiem ci jedno: jeżeli zrobisz jej jeszcze jakąś krzywdę, zemszczę się. Nie schowasz się przede mną, choćbyś szukała najgłębszego ukrycia. Przysięgam, że znajdę cię wszędzie.

Po tych słowach wyszedł. Angela została sama. Gdyby podniósł głos albo ją uderzył, zniosłaby to lepiej, lecz on mówił tonem spokojnym, i tylko w jego lodowatym spojrzeniu czaił się wielki gniew. Odprowadzając go wzrokiem, Angela poczuła, że serce płonie jej żądzą odwetu. Tak, pragnęła się zemścić - tym razem nie tylko na Eve, lecz także na Marcusie.

Rozdział trzynasty

Koń Eve szedł stępą porośniętym trawą traktem, który wił się wśród cienistego lasu, pomiędzy wysokimi drzewami. Jechała tak przez blisko godzinę, aż w końcu się zatrzymała na szczycie pagórka.

Zsiadła z konia i przywiązała go do drzewa. Koń zaczął skubać trawę, a ona usiadła wygodnie, by po raz kolejny podziwiać znajomy górski krajobraz. W jej serce spłynął spokój. W zupełnej samotności kontemplowała widok skalistych szczytów i wysokich przełęczy. Wiedziała, że wśród tych gór kryją się jeziora, a nisko pośród drzew słyszała oddech wiatru. Wiedziała też, że gdzieś wokół przemykają się dzielne zwierzęta, a ku niebu szybuje ptactwo.

Po raz pierwszy od chwili przybycia do Ruston House, kumbryjskiego domu swej babki, Eve dopuściła do siebie myśl o Marcusie. Ta myśl była dręcząca, bo przecież Marcus ją zdradził, i to nie z kim innym jak z Angela, z kobietą, która kiedyś, udając przyjaźń, dążyła równocześnie do tego, żeby ją zniszczyć. Sprawiało to Eve podwójny ból. Po rozstaniu z Marcusem, zdruzgotana rozpaczą, myślała, że serce jej pęknie. A teraz niezdolna była przelać choćby jednej łzy, bo wszystkie wypłakała już przedtem, w Burntwood Hall, kiedy to myśl wszelka zamilkła, pozostała tylko rozpacz.

Upłynęły zaledwie trzy dni od przyjazdu do Cumbrii, a ona już za Marcusem tęskniła.

Brakowało jej radości, jaką sprawiał jej sam dźwięk jego głosu, a także jego bliskość. Zdawało jej się, że od ostatniego ich spotkania upłynęło tysiąc lat. Nie było jednak rady, musiała żyć dalej. Babka zapewniała ją, że czas leczy wszystkie rany, ale ona wątpiła, czy sprawdzi się to w jej przypadku. Sądziła, że nic prócz śmierci nie jest zdolne ugasić miłości, którą nosi w sercu, że nic nigdy nie ukoi jej żalu. Uświadamiając sobie, jak postąpiła z Marcusem, czuła ogromny ból w sercu. Sądziła, że Marcus, tak bardzo na nią zagniewany, nie zechce jej już nigdy więcej widzieć.

Jakże się myliła! Jak daleka była od prawdy! W tej samej chwili bowiem Marcus pojawił się przed nią na stromej ścieżce. Zatrzymał się i zapatrzył na nią. Eve siedziała nieruchomo, ubrana

w czarną wełnianą spódnicę i zapinaną pod szyję świeżo wyprasowaną bluzkę. Żakiet i kapelusz zdjęła i położyła na trawie obok siebie.

Jej włosy, zwinięte na karku, gładkie i ciemne, lśniły w słońcu, twarz miała wyraz dziwnej łagodności. Eve, wpatrując się w położone niżej wzgórze, wyglądała tak, jakby przytłoczyło ją trudne do zniesienia uczucie. Sprawiała wrażenie osoby, której wewnętrzny spokój został zakłócony, osoby przybyłej w to miejsce w poszukiwaniu ulgi i ukojenia. Była taka spokojna i taka naturalna, że Marcus prawie wstrzymał oddech, bo wydało mu się, że ma przed oczami jej nagą duszę. Nigdy nie widział jej tak pięknej, tak bardzo godnej pożądania, tak cudownie doskonalej. Niemal nierealnej, a zarazem jakże prawdziwej.

Jego miłość do niej wciąż rosła. Była to miłość wielka, a Marcus, uświadomiwszy to sobie wyraźnie, poczuł, że serce wali mu jak młotem. Ta jego miłość wydawała się wprost namacalna - mógł jej dotknąć, mógł ją zobaczyć, mógł poczuć jej słodki, intensywny aromat. Zafascynowany obserwował grę światła i cieni na pięknej twarzy Eve, dostrzegał wyraźnie, jak w rytm oddechu falują jej piersi. Wiedział, że mógłby tak stać i wpatrywać się w nią w nieskończoność. Ona jednak, czując na sobie jego spojrzenie, odwróciła głowę.

Patrzyła na niego zdumiona szeroko otwartymi oczami. Na jej twarzy odmalowały się dziwnie pomieszane uczucia. Bowiem jej oczy go rozpoznawały, jednak umysł podpowiadał, że ma przed sobą wytwór wyobraźni. Przez chwilę sądziła, że uległa złudzeniu przywołanemu przez marzenia. Zamarła w bezruchu z oczami pełnymi miłości, nie wierzyła bowiem, że Marcus zjawił się naprawdę.

Jak długo tu stoi i mnie obserwuje? - zapytała samą siebie, i Marcus - z rozwianymi na wietrze ciemnymi włosami, ze swoją szlachetną i pełną dumy postawą, ze swoją ogromną siłą - wydał jej się nagle tak niezłomny i niewyciężony jak otaczające ich górskie szczyty.

Eve nie była w stanie wymówić ani słowa, jej fiołkowe oczy wpatrywały się w Marcusa, a serce - na jedną krótką chwilę - poszybowało z radości pod niebiosa.

A potem wstała i przez dłuższy czas oboje patrzyli na siebie z ogromną miłością. Aż wreszcie ona, otrząsnąwszy się z szoku, zdołała przemówić:

- Marcusie! Ty?! Ty tutaj?!

Popatrzył na nią z niewysłowioną czułością, a potem podszedł do niej, mrużąc oczy w słońcu i pragnąc wyciągnąć ramiona i zamknąć ją w objęciach. Nie potrafił jednak tego zrobić.

Wpatrywał się w nią tylko w milczeniu.

- Czy naprawdę myślałeś - odezwał się wreszcie - czy naprawdę sądziłeś, że tak po prostu usuniesz mnie ze swojego życia? Rozstając się z tobą w Burntwood Hall, powiedziałem ci przecież, że nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Przyjechałem dzisiaj do Ruston House zaraz po twoim wyjeździe na konną przejażdżkę. Twoja babka powiedziała mi, w którą udałaś się stronę.

- Często przyjeżdżam w to miejsce. Widok jest tutaj taki wspaniały.

Marcus zmarszczył brwi.

- Proszę cię, Eve... Czy nie mogłabyś choć trochę ucieszyć się na mój widok?

- Ale ja... Ja jestem taka zaskoczona - powiedziała cichym głosem, czując łomot serca.

- Jeżeli cię przestraszyłem, to przepraszam.

- Nie, nie... Po prostu nie wiem, dlaczego przyjechałeś tu za mną... Bo przecież... po naszej rozmowie w Burntwood Hall... - Urwała gwałtownie, rumieniąc się na wspomnienie tamtego dnia i ostrych słów, jakie między nimi padły.

Ale także na wspomnienie namiętnego pocałunku Marcusa, który uczynił ją całkiem bezwolną. Zaczęła się w duchu modlić, by Bóg pozwolił jej oprzeć się tej fatalnej sile, która ją zawsze do niego przyciągała.

- Masz na myśli rozmowę, podczas której z taką stanowczością zerwałaś nasze zaręczyny? - Patrzył na nią uważnie. - No cóż, ja tego nie zapomniałem. Mamy jednak do omówienia sprawy, które są ważne dla nas obojga.

- Mogłeś przecież napisać i oszczędzić sobie męczącej podróży.

- Tak by się wydawało, jednak nie mogłem zawrzeć w liście tego, co pragnę ci powiedzieć. Eve, chciałem cię zobaczyć, chciałem wszystko naprawić i przekonać cię, żebyś ze mną wróciła.

- To nie jest możliwe, Marcusie. Nic, co mi powiesz, żadne twoje słowa nie skłonią mnie do powrotu do Atwood.

- Nie mam na myśli Atwood. Chcę, żebyś pojechała do Brooklands... jako moja żona.

Eve patrzyła na niego oszołomiona. Niezdolna była uwierzyć, że on - po wszystkim, co jej uczynił - ma odwagę prosić ją o to. Na usta cisnęły jej się gorące, pełne gniewu słowa. Nie mogła już dłużej milczeć. Musiała się z nim rozmówić na temat jego romansu z Angela.

- Ależ nawet ty... Nawet ty nie możesz być tak bezczelny, by, romansując z inną, spodziewać się, że za ciebie wyjdę! A fakt, że tą inną jest Angela, przekracza moją wytrzymałość. Gdyby to była jakaś inna kobieta, być może mój gniew nie byłby tak wielki.

- Proszę cię, Eve... Wyjaśnij mi, dlaczego tak mówisz, bo tego nie rozumiem.

- Naprawdę? Kiedy mnie pytałeś, dlaczego zerwałam zaręczyny, nie wyjaśniłam ci tego, teraz jednak mogę to uczynić. Otóż wiedz, że na własne oczy widziałam dowód uczuć, jakimi darzysz Angelę. Angela pokazała mi wachlarz z tą twoją czułą dedykacją, dodając przy tym, że nie jest to jedyny prezent, jakim ją obdarowałeś w ciągu kilkumiesięcznej znajomości. Nie pozwolę się oszukiwać, Marcusie! Poza tym tamtego dnia w Burntwood Hall... po rozstaniu ze mną... Jak śmiałeś być wtedy wobec niej taki nadskakujący? Zachowywałeś się prawie jak kochanek. I to w mojej obecności!

Wyrzuciwszy to z siebie, czekała w napięciu, co on powie. Ogarnęło ją rozpaczliwe pragnienie usłyszenia jego zaprzeczających słów. Chciała, żeby wszystko wyjaśnił, żeby zapewnił, że nie ma o co być zazdrosna. Rozczarowała się jednak, bo Marcus nie wyglądał ani na człowieka zaskoczonego, ani na takiego, którego nęka poczucie winy. Pozostał irytująco spokojny i nieustępliwy.

- Czy naprawdę wydawałem się wobec Angeli nadskakujący? Jeżeli tak, to nie zdawałem sobie z tego sprawy - powiedział w końcu. - Eve, zapewniam cię, że jej nie nadskakiwałem, byłem tylko uprzejmy. Tak samo uprzejmy jak wobec każdej innej kobiety.

- Angela nie jest każdą inną, Marcusie! - zawołała z oburzeniem Eve. - Byłeś, po prostu byłeś nadskakujący. Przecież was widziałam. Czy jesteś jej kochankiem?

Marcus popatrzył na nią z rozbawieniem. Ucieszył się bowiem, że groźby Geralda nie zgasiły jej walecznego ducha.

- No więc? Czekam na odpowiedź, panie Fitzalan. - Zabrzmiało to naprawdę groźnie.

A on uśmiechał się coraz szerzej. Zbliżył się do Eve i cichym głosem powiedział:

- Skoro sprawy między nami mają się tak, jak się mają, skoro zerwałaś nasze zaręczyny, nie mam obowiązku ci tego wyjawiać. Czuję się z tego zwolniony.

- Och! Ty potworze!

- Czy rzeczywiście jestem potworem? - zakpił. - Posłuchaj, Eve, zostałem przez ciebie zraniony, bardzo głęboko zraniony. Nie możesz więc winić mnie za to, że szukałem pocieszenia i zapomnienia w ramionach innej.

- Istnieją szlachetniejsze sposoby na znalezienie pocieszenia i zapomnienia, niż rzucanie się w ramiona innej kobiety. Rzecz jednak w tym, że w przeszłości, jak myślę, wiele razy szukałeś rozkoszy w ramionach Angeli.

- Dziwne, że to ty właśnie przywołujesz mnie z tego powodu do porządku. Przecież nie możesz mnie winić za to, że po tym, jak mnie tak bezwzględnie odepchnęłaś, szukałem uczucia gdzie indziej. - Znów się uśmiechnął, kpiąc w żywe oczy i grając na jej emocjach. - Ale wiesz, podejrzewam, że moja uprzejmość wobec Angeli tak bardzo cię rozgniewała... bo tak naprawdę to jednak trochę ci na mnie zależy.

- Zależy mi? Zależy mi na tobie? A cóż to za arogant z ciebie! - Z tej złości była gotowa go uderzyć.

- Nie sędzę, bym uważając tak, okazał się arogantem. Uważam też, że ty, Eve, powinnaś wejrzeć we własne serce i zapytać siebie o przyczynę swego gniewu. Czy moje rzekome nadskakiwanie innej kobiecie nie powoduje przypadkiem tego, że uświadamiasz sobie swoje uczucia?

- Nie. Dobrze wiem, co czuję... Ja... Och...

Eve odwróciła się od niego zarumieniona i zmieszana. Zdała sobie bowiem sprawę, że powiedziała za dużo. Marcus uśmiechnął się na to, unosząc pytająco brwi.

- Proszę cię, mów dalej. Słucham cię bardzo uważnie - powiedział cicho ponad jej ramieniem. Znajdował się przy tym tak blisko, że Eve czuła, jak jego ciepły oddech pieści jej ucho, czuła też żar jego ciała. - Nie przerywaj w chwili, gdy już byłaś bliska wyznania całej głębi swoich uczuć. Powiedz mi szczerze, czy się nie mylę, sądząc, że zerwałaś nasze zaręczyny, bo byłaś przekonana, że mam romans z Angela?

Eve westchnęła.

- Nie mylisz się, Marcusie. Muszę ci powiedzieć, że powrót do równowagi po tym, co zaszło między nami na jarmarku w Atwood, zajął mi wiele czasu. Wreszcie z wielkim trudem uporządkowałam jakoś swoje życie i nie zamierzam zniszczyć tego ładu, zawierając małżeństwo z mężczyzną, który kocha inną, małżeństwo, które właśnie dlatego musi skończyć się tragicznie. Marcus spoważniał.

- Eve, uwierz mi, nie kocham innej. Posłuchaj mnie. - Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. - Nie mam i nigdy nie miałem romansu z Angela. Nigdy nie myślałem o niej inaczej jak tylko o swojej znajomej. Musisz w to uwierzyć.

- Więc dlaczego byłeś taki dla niej uprzejmy, taki nadskakujący, dlaczego zachowywałeś się jak kochanek? No i jak wyjaśnisz sprawę tego prezentu? Poza tym przed chwilą powiedziałeś...

- Zapomnij, co powiedziałem przed chwilą. Drażniłem się tylko z tobą. To było okrutne i przepraszam cię za to.

A sprawa wachlarza jest bardzo łatwa do wyjaśnienia. Ten wachlarz, który pokazała ci Angela, należy do mojej matki. Podarowałem go jej na urodziny dwa lata temu. Matka pożyczyła go matce Angeli podczas przyjęcia w Brooklands, w którym i ty uczestniczyłaś. Jak zapewne pamiętasz, wieczór był wtedy bardzo ciepły, a pani Lambert zapodziała gdzieś swój wachlarz. Pożyczyła więc ten matki, a potem najwyraźniej zabrała go z sobą do domu. Dla mnie jest całkiem jasne, że Angela, osoba wyjątkowo złośliwa i podstępna, chciała cię pognać, mówiąc, że otrzymała go ode mnie w prezencie.

Eve popatrzyła na Marcusa zaskoczona. Jego wyjaśnienie było tak proste, że poczuła się głupio. Pamiętała, że na wachlarzu była dedykacja, nie zawierała jednak imienia osoby obdarowanej. Angela skorzystała z tego i posłużyła się wachlarzem w swoich niecznych celach.

- Ja... - wyjąkała. - Rozumiem teraz, jak to było. Znajac Angelę dobrze, powinnam była przejrzeć jej intrygę. Z właściwym sobie okrucieństwem chciała wpoić mi przekonanie, że małżeństwo ze mną jest dla ciebie tylko biznesowym kontraktem. Jest ona osobą, która gdy widzi, że wymyka jej się upragniona zdobycz, staje się głucha i ślepa na wszystko poza swoją nienawiścią. Ale żeby uciec się aż do tego... Wiesz, Marcusie, sędzę, że ona coś do ciebie czuje.

- Być może, jest to jednak uczucie całkowicie jednostronne. Musisz w to uwierzyć, Eve. Tamtego dnia, kiedy po zerwaniu zaręczyn zobaczyłaś mnie, jak spacerowałem z nią po ogrodzie, zachowałem się w sposób, którego się bardzo wstydzę. Gdybym znał postęпки Angeli, gdybym był świadom jej przewinień, gdybym wiedział, jak głęboko zraniły cię jej kłamstwa, zarówno ostatnio, jak i w przeszłości, nie byłbym dla niej taki uprzejmy. Ale tamtego dnia, nie wiedząc tego wszystkiego, chciałem cię ukarać. Ukarać za to, że ze mną zerwałaś. Postąpiłem tak, bo chciałem przełamać twoją obojętność. Wiedziałem, że nas obserwujesz. Zauważyłem, że stoisz przy oknie w swoim pokoju. Chciałem wzbudzić twój gniew i doprowadzić do tego, że ujawnisz wobec mnie swoje prawdziwe uczucia. A teraz cieszę się, że mi się to udało.

- Dobrze to odegrałeś - uśmiechnęła się Eve, ale jej usta drżały.

- Prawda? Udało mi się. Jednak wszystkie te gry bardzo mnie zmęczyły. A wkrótce zrobię to, co powinienem był zrobić już dawno. - Przysunął się do niej z uśmiechem, patrząc przy tym na jej piersi ukryte pod zapiętą pod szyję bluzką. - A ty, moja najdroższa, przekonasz się, jaki ze mnie dominujący i namiętny mężczyzna.

- Naprawdę? - zapytała Eve zalotnie, czując, że na policzkach pojawia jej się purpurowy rumieniec.

Bo Marcus patrzył na nią tak samo jak trzy lata temu i wiele razy później - po każdym pocałunku - doprowadzając ją do stanu dziwnej bezwolności. Stanu, w którym zgodziłaby się na wszystko, byle tylko czuć, że obejmują ją jego silne ramiona, że jego usta całują jej usta, a ona sama drży na całym ciele, bo wzbiera w niej fala namiętności.

- Tak, i to bardzo szybko. Na razie jednak będę musiał zadowolić się pocałunkiem.

Stali skapani w promieniach słońca. Marcus położył Eve ręce na ramionach i spojrzał jej głęboko w oczy. A ona, cała promienna, nie mogła opanować drżenia. Ręce Marcusa były silne i ciepłe. Delikatnie zaczął pieścić jej policzki. Pochylił głowę i przyciągnął ją do siebie. Objął ją ciasno, sprawiając, że zalała ją fala rozkoszy. Dotknął ustami jej ust. A potem jego rozchylone wargi - ciepłe i wilgotne - stały się bardziej stanowcze i zaborcze. Pocałunek był długi i namiętny.

Gdy zabrakło im tchu, Marcus z westchnieniem podniósł głowę i spojrzał w twarz Eve. Chłonał wzrokiem całą jej urodę, czuł też jej piersi, wtulone w niego i wzbierające rozkoszą. Nie mógł uwierzyć, że trzyma ją w objęciach, bo przecież tak niedawno oświadczyła mu, że nie chce go więcej znać. Czuł się jak człowiek, na którego rzucono urok, przyszło mu więc do głowy, że Eve jest czarodziejką. Pomyślał też, że jedynie mężczyzna, w którego żyłach zamiast krwi płynęłaby lodowa woda, mógłby jej się oprzeć.

Pochylił głowę i bardzo powoli przesunął wargami po jej policzku, całował ją delikatnie, chwycił zębami miękką płatek jej ucha. Usłyszał, jak Eve gwałtownie westchnęła. Podniósł głowę i na jego twarz powoli wypłynął promienny uśmiech. Gdy jednak pochylił głowę ponownie, Eve odsunęła się od niego.

- Bardzo cię proszę, Marcusie, nie rozpraszaaj mnie - powiedziała, choć jej największym pragnieniem było poddać się jego pieszczotom. - Już czas, żeby między nami zapanowała prawda. Mamy jeszcze bardzo wiele do omówienia. Muszę ci tyle wyznać.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Zapragnął ją znowu pocałować, musiał jednak poprzestać na tym, że trzyma ją w objęciach.

- Och, wiem już wszystko, co powinienem wiedzieć. Dopilnowała tego twoja droga przyjaciółka, Emma Parkinson.

- Jak to? Emma?

- Tak, właśnie ona. Kiedy wraz z babką wyjechałaś do Cumbrii, Emma odwiedziła mnie w Brooklands. I muszę powiedzieć, że jest to osoba, która potrafi być silna i mówić przekonująco.

Najpierw oskarżyła mnie o to, że trzy lata temu, na jarmarku w Atwood, postąpiłem wobec ciebie w sposób niegodny dżentelmena, a ja się wcale nie broniłem, bo rzeczywiście tak było. Teraz jednak muszę cię zapytać, czy miałaś pojęcie o tym, że tamtego dnia zrobiłaś na mnie ogromne wrażenie. Przekonałem się też, że z całą pewnością nie jesteś osobą pruderyjną i zimną. Od tamtej pory zawsze o tobie pamiętałem.

Te słowa wywołały u Eve falę wspomnień. Prawda była taka, że tamten dzień pozostał także w jej pamięci. Jednakże fakt, że zachowała się wtedy tak głupio i niestosownie, odbierał jej radość z tego, co zapamiętała. Teraz też oblała się rumieńcem i odsunęła jeszcze bardziej od Marcusa, choć w głębi duszy cieszyła się z jego słów, bo świadczyły o tym, że jednak mu na niej zależy.

- Marcusie, proszę, nie mów więcej o tamtym dniu, bo zachowałam jakieś dziwne, nierealne, a równocześnie wprawiające w zmieszanie wspomnienie chwili, gdy tak bezwstydnie ci się narzucałam. Nie mogę o tym myśleć. Chcę całkiem zapomnieć.

Marcus uśmiechnął się.

- Natomiast ja wcale nie chcę zapomnieć, jak się czułem, całując cię i dostrzegając twoją reakcję. Wszystko to sprawia, że bardzo pragnę, by tamte chwile się powtórzyły... - Zaraz jednak spoważniał. - Jednak muszę przyznać, że wywarłem wtedy na ciebie niczym nieusprawiedliwiony nacisk. Byłem tak zarozumiały i arogancki, że nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo mogę cię skrzywdzić. Szczerze żałuję swego postępowania i przykro mi z powodu tych wszystkich krzywd i upokorzeń, których przeze mnie doznałaś. Nie miałem pojęcia, że następstwem mojego nikczemnego zachowania było twoje wielkie cierpienie. Wyobrażam sobie, jak musiałaś mnie nienawidzić za to, że z mojego powodu nie mogłaś być w Burntwood Hall w chwili śmierci matki.

Na to wspomnienie w oczach Eve pojawił się wyraz ogromnego bólu, a jej serce ogarnął wielki smutek. Prawda była bowiem taka, że wciąż zadrećzała się wyrzutami sumienia.

- Nie mogę zaprzeczyć, że był to straszny okres w moim życiu. Nie mogę odżalować, że nie było mnie przy mamie w jej ostatnich chwilach. Wygląda jednak na to, że Emma bardzo się rozgadała. Najwyraźniej odbyliście długą i ciekawą rozmowę. Co jeszcze ci powiedziała, Marcusie?

- Opowiedziała mi o wizycie Angeli w Burntwood Hall, a także o wszystkich jej kłamstwach. No i o tym, że bardzo przstraszyły cię groźby Geralda. Ale zapewniam cię, że już on mi za nie odpowie - zakończył gniewnym tonem.

- Nie, nie! Wolalabym, żebyś zostawił tę sprawę. Gerald w sensie fizycznym nie wyrządził mi żadnej krzywdy, więc wolalabym zapomnieć o jego słowach. Ale proszę cię, Marcusie, powiedz mi więcej o swoich stosunkach z Angela - dodała, pragnąc odwrócić jego, a także swoją uwagę od Geralda, którego groźby niepokoiły ją bardziej, niż była gotowa przyznać.

- Och, temat nieszczęsnej Angeli naprawdę bardzo mnie już zmęczył.

- Przecież nie powiesz mi, że byłeś ślepy na jej wdzięki - zagadnęła Eve, próbując nie zwracać uwagi na widoczną w jego oczach czułość. - Cokolwiek by nie powiedziec o jej charakterze, Angela jest bardzo piękną kobietą.

Postanowiła nie dopuścić do tego, żeby się wykrecił, pomyślała bowiem, że skoro ma jeszcze raz rozważyć swoją decyzję o małżeństwie, to musi wiedzieć wszystko.

- Jednak nie tak piękną jak ty. Będiesz zapewne zadowolona, gdy ci powiem, że zerwałem z nią wszelkie kontakty. Oświadczyłem jej jasno, co do niej czuję i wątpię, czy w przyszłości będzie nas niepokoiła.

- Więc pojechałeś się z nią zobaczyć?

- Tak, bo po tym, co mi powiedziała panna Parkinson, nie mogłem zignorować postępków Angeli wobec ciebie.

- Jak dawno się znacie?

- Zналиśmy się krótko w Londynie, a potem, kiedy wróciła do West Riding, zaczęła bywać w Brooklands z rodzicami, którzy, jak wiesz, przyjaźnią się z moją matką.

- Tak, wiem o tym... Marcusie, naprawdę nie zauważałeś tego jadu... tej złośliwości, która się kryje za jej uśmiechem?

- Nie, wyznaję, że nie, a to dlatego, że nigdy jej się dokładnie nie przypatrywałem. Muszę powiedzieć, moja najdroższa, że nie znałem Angeli tak dobrze jak ty. Ty zauważałaś jej intrygi i jadowite insynuacje, bo znałaś ją dłużej, a przebieg waszej znajomości był nad wyraz niefortunny. - Usiadł na miękkiej trawie, pociągając Eve za sobą. - Natomiast do mojego zetknięcia się z Angela doprowadził zwykły kaprys zrodzony z obojętności, a także namowy mojej matki. I nic więcej. Zapewniam cię, że gdyby twój ojciec nie zostawił takiego testamentu i gdybym nie spotkał na swej drodze ciebie. .. - wziął ją w ramiona i ucałował kuszące usta - to i tak nigdy bym się z Angela nie ożenił. Mogłaby na to czekać nawet milion lat. Ta niewielka sympatia, jaką ją obdarzałem, to jakiś nieważny pyłek w porównaniu z radością i oślepiającą miłością, którą czuję do ciebie. - Spojrzał jej w twarz z taką czułością, że zalała ją fala oszalamiającego szczęścia. Czowała też radość i przyływ nadziei, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyła. - No tak... więc powiedziałem ci to wreszcie. Najdroższa, wiedz, że nieświadomie stałaś się niezmiernie ważną częścią mojego życia. Jeżeli nie zechcesz zostać moją żoną, stanę się najniezwyklejszym z ludzi. I nigdy, przenigdy nie uwolnię się od myśli o tobie. Żeby cię uszczęśliwić, chętnie podarowałbym ci cały świat.

Powiedział to bardzo spokojnie i pewnie, lecz jego słowa wcale nie rozwiały wątpliwości dręczących Eve. Wciąż nie mogła uwolnić się od myśli, że Marcus chce się z nią ożenić nie tylko z miłości.

- Będę bardzo szczęśliwa - powiedziała z westchnieniem -odnawiając swoją obietnicę zostania twoją żoną... Tyle że, Marcusie, wcale nie pragnę całego świata. Tytuły i bogactwa nic dla mnie nie znaczą. A i ta jedyna rzecz, na której tobie tak bardzo zależy, nie jest już dla mnie istotna. Zmarszczył brwi.

- Sądzę, że mówisz o Kopalni Atwoowdzkiej? -Tak.

- Eve, spójrz na mnie... Powoli podniosła na niego oczy.

- Po wizycie twojej przyjaciółki, panny Parkinson, zastanawiałem się nad tym bardzo poważnie. To, co zasugeruję, może cię zaszokować i zaskoczyć, jednakże, za twoją zgodą, postanowiłem ustanowić zarząd powierniczy nad kopalnią na rzecz naszych dzieci.

Eve na taką wieść wprost oniemiała. Patrzyła na niego z niedowierzaniem, wiedziała bowiem, ile ta decyzja musiała go kosztować.

- Jeżeli się na to zgodzisz, tak właśnie postąpię - dodał.

- Ależ... ależ tak, tak, oczywiście. - Czyż mogła się nie zgodzić? Była ogromnie zaskoczona tą propozycją i bardzo uradowana. Czowała się tak, jakby Marcus rzucił jej linę ratującą życie, linę, której się mogła uchwycić. - Marcusie... czy jesteś tego absolutnie pewny?

- Absolutnie.

- No to... to co innego mogę powiedzieć? Przyjrzał jej się ze zmarszczonymi brwiami.

- Wydajesz się trochę zdezorientowana.

- Nie, wcale nie. Sądzę, że to bardzo dobry pomysł. Nie chcę tylko, żebyś zrobił coś, czego będziesz potem żałował.

- Zapewniam cię, że nie będę żałował, a nasze dzieci w przyszłości odniosą z tego korzyść. Jeżeli, oczywiście, Bóg nas nimi pobłogosławi.

- I... i zrobisz to dla mnie?

- Dla ciebie, moja najdroższa, zrobiłbym wszystko.

- Jednak to nie wydaje się sprawiedliwe. To ty masz prawo do tej kopalni. Całkiem niekwestionowane prawo. Tak długo jej pragnąłeś. Chciałeś nią zarządzać tak jak twój ojciec, a przed nim także twój dziadek. Oddanie jej w ręce powierników będzie dla ciebie bolesne, bo przecież to oznacza, że będą nią administrowali inni.

Marcus uśmiechnął się z lekką ironią.

- Czasami, Eve, bywa tak, że otrzymanie czegoś upragnionego nie jest wcale sprawiedliwe. Jeżeli zostanę właścicielem Kopalni Atwoowdzkiej, zawsze będziesz miała wątpliwości. Zawsze będziesz wątpiła w moją miłość, a jest to ostatnia rzecz, której pragnę. Mam całkowitą pewność, że postępuję słusznie. Poza tym powiernikami uczynię ludzi, którym naprawdę ufam.

Eve, słuchając tych słów, patrzyła na Marcusa z bijącym sercem, niezdolna uwierzyć, że robi dla niej coś takiego. Przecież jednym zdecydowanym pociągnięciem sprawił, że zniknęły jej wątpliwości. Eve z całą pewnością wiedziała już, że ją kocha. Jego oczy płonęły, gdy na nią patrzył, płonęły miłością i namiętnością, którą przedtem tak rozpaczliwie pragnęła w nich zobaczyć. A jej oczy błyszczały ze szczęścia.

- Więc co mam na to powiedzieć?

- Powiedz tylko, że odnawiasz obietnicę zostania moją żoną.

- Tak... odnawiam ją. Nie ma nic, czego pragnęłabym bardziej niż naszego małżeństwa.

- Eve, kiedy z takim pośpiechem opuściłaś Burntwood Hall... to przecież Gerald musiał się zastanawiać nad tego przyczyną. Czy mu przypadkiem nie powiedziałaś, że się nie pobierzemy?

- Nie, nie powiedziałam mu tego.

Słyszając to, Marcus uśmiechnął się szeroko, jedna jego brew powędrowała w górę, a gdy się odezwał, ton jego głosu świadczył o tym, że znowu się z nią droczy.

- Rozumiem. Zastanawiam się więc, czy nie było tak, że nie miałaś co do tego stuprocentowej pewności.

- Wcale tak nie było - stwierdziła z szelmowską miną. - Tak, chciałbyś, abym przyznała, że taki właśnie był powód, ale chodziło o coś innego. Chciałam tylko, żeby Gerald trochę dłużej łamał sobie głowę. Czy to tak źle?

- Jeżeli weźmie się pod uwagę, jak okropnie cię traktował, to nie. Nie było w tym nic złego. Chcę jednak, żebyś aż do naszego ślubu mieszkała w Brooklands.

- Nie, nie. Sądzę, Marcusie, że będzie najlepiej, jeżeli przez ten czas będę mieszkać u Emmy.

Marcus zmarszczył brwi.

- Wolałbym mieć cię w Brooklands, gdzie mógłbym cię pilnować.

Eve poczuła się tak, jakby zimna dłoń ścisnęła jej serce.

- Czy sądzisz, że Gerald będzie mi nadal zagrażał? Marcusowi przemknęło przez myśl, że Gerald – człowiek podły i zdeterminowany - może się uciec do czegoś więcej niż tylko słownych gróźb. Ponieważ jednak nie chciał Eve niepokoić, zatrzymał tę obawę dla siebie.

- Mam szczerą nadzieję, że nie.

- A zatem proszę cię, zawieź mnie prosto do państwa Parkinsonów. Jeżeli się u nich schronię, Gerald aż do naszego ślubu nie będzie wiedział, że wróciłam.

Marcus zmarszczył brwi. Nie podobał mu się taki plan, widząc jednak, że takie jest pragnienie Eve, zgodził się.

- Dobrze, zawiozę cię tam, a sam, zaraz po powrocie, będę musiał pojechać do Leeds w interesach. Załatwię też sprawę ustanowienia powiernictwa nad kopalnią. Będzie zarządzana przez radę powierniczą, dopóki nasze dzieci nie dojdą do pełnoletności i nie obejmą nad nią kontroli.

- Co jednak będzie, Marcusie, jeżeli nie będziemy mieli dzieci? Przecież to zdarza się w niejednym małżeństwie.

- Wtedy skorzystają na tym dzieci moich braci. Jednakże ja - spojrzał jej głęboko w oczy - mam szczerą nadzieję, że pokój dziecięcy w naszym domu będzie zapełniony, a żeby tak się stało... zajmę się tym natychmiast po ślubie. Nauczę cię, jak się kocha, moja najdroższa, i mam nadzieję, że okażesz się chętną i pełną entuzjazmu uczennicą.

Eve obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.

- Nie mogę się już tego doczekać... Naprawdę cię kocham, Marcusie. Nie znajduję wprost słów, żeby ci powiedzieć, jak bardzo.

Objął ją ciaśniej ramionami.

- Wiem. Także cię kocham, i to równie mocno jak ty mnie. Obiecuj, proszę, że kiedy będę w Leeds, nie oddalisz się na krok z domu państwa Parkinsonów. Pamiętaj, Gerald nie może się zorientować, gdzie jesteś, bo w przeciwnym razie może ci złożyć niezapowiedzianą wizytę. Ale teraz - dodał pospiesznie - skończmy już z tym tematem. Mam inne, i to znacznie ważniejsze rzeczy na głowie.

- O? Na przykład jakie?

- A takie, że chcę cię jak najszybciej pocałować. Czy się temu sprzeciwisz?

- Nie sprzeciwiałam się, kiedy całowałeś mnie poprzednio, więc...

- Doskonale. Jak rozumiem, że nie sprzeciwiasz się i teraz. - Przybliżył twarz do jej twarzy. - Widzę, że naprawdę tego chcesz. Jednak pamiętając o naszej umowie, zawartej jakiś czas temu, w myśl której nasze małżeństwo będzie przez pewien okres małżeństwem jedynie z nazwy, zastosuję się do niej i przestanę cię całować, kiedy tylko tego zażadasz.

Eve z westchnieniem poddała mu się całkowicie. Wcale nie chciała, żeby przestał ją całować. Przeciwnie, pragnęła, żeby ich pocałunek trwał w nieskończoność.

- Czy masz coś przeciwko temu, że bym nie dotrzymała tej naszej umowy? - zapytała szeptem.

- Nie, zapewniam. - Uśmiechnął się, pieszcząc jej policzek. - Witam to z entuzjazmem. Czuję wielką ulgę na myśl, że Kopalnia Atwoodzką przestała być dla mnie najważniejszą rzeczą na świecie, bo bez przeszkód mogę folgować całkiem nowym emocjom... nad którymi, co prawda, nie bardzo panuję.

- Czy rzeczywiście? - Pocałowała go w usta.

- Uwierz mi, kopalnia jest teraz na drugim miejscu.

- A co jest na pierwszym?

- Czy naprawdę musisz o to pytać?

- Muszę.

- Domagasz się, bym ci to zademonstrował?

- Domagam się. - Westchnęła prowokująco.

- Jest pani nienasycona, panno Somerville.

- Jeżeli taka jestem, to z twojej winy - zamruczała, obdarzając go uśmiechem, na którego widok jego serce wezbrało czułością.

Zaczął więc jej demonstrować, co jest dla niego na pierwszym miejscu. Jego ręce pieściły Eve delikatnie, a ona poddawała się tym pieszczotom i reagowała w sposób, który omal nie doprowadził go do utraty panowania nad palącym pożądaniem. Ujął w dłonie jej twarz, całował

do utraty tchu. Zamknął Eve w ciasnym uścisku, a ona, ogarnięta rozkoszą, wzdychała i szeptała czułe słowa.

Oboje w zapamiętaniu znaleźli się bardzo daleko od rzeczywistego świata. Wiedzieli, że się wprost rozpaczliwie kochają, że zostali dla siebie stworzeni. Ogarnięci radością, zapomnieli o wszystkim, co im mogło zagrozić.

Gdy wreszcie zdołali się od siebie oderwać, gdy wstali z zielonego posłania, pojechali powoli do Ruston House, gdzie stara lady Pemberton oczekiwała na nich z największą niecierpliwością. Widok promieniejącej szczęściem twarzy wnuczki powiedział jej wszystko. Stara dama wiedziała już, że między Eve a Marcusem Fitzalanem wszystko ułożyło się pomyślnie.

Rozdział czternasty

Państwo Parkinsonowie byli zachwyceni, mogąc gościć u siebie Eve, ona zaś, spokojna, że do uszu Geralda nie dotrą wieści o jej powrocie do Atwood, cieszyła się pobylem w przyjaznym domu. Jej ślub z Marcusem miał się odbyć za tydzień. Zaplanowano, że, pomimo uroczystego charakteru, będzie to najcichszy od wielu lat ślub w tej okolicy.

Jednakże ani Eve, ani rodzina Parkinsonów nie mieli pojęcia, że Angela, zażywając konnej przejażdżki, wypatrzyła Marcusa i Eve zdążających do domu rodziców Emmy. Widząc ich razem, doznała ataku zazdrości. Ogarnęła ją furia, bo przypomniała jej się upokarzająca wizyta Marcusa w Little Bolton. Angela wróciła pamięcią do ich rozmowy, podczas której Marcus dał jej okrutnego kosa i udzielił ostrej reprimandy za podłe postępowanie wobec Eve.

Postanowiwszy skłócić dopiero co pogodzoną parę, Angela ze złośliwym uśmiechem skierowała swego konia w stronę Burntwood Hall. Cieszyła się i tryumfowała na myśl, że znów pokrzyżuje Eve plany.

Tymczasem Marcus, zainstalowawszy narzeczoną u państwa Parkinsonów, zegnał się z nią zasmucony i wielce zatroskany. Miał bowiem poważne wątpliwości, czy jest naprawdę bezpieczna.

- Obiecuj mi, że nie będziesz sama wychodziła z domu. Nie wychodź, Eve, i czekaj na mój powrót z Leeds. Wtedy zawiozę cię do Brooklands. Złożysz tam wizytę mojej matce, która bardzo chce omówić z tobą szczegóły ceremonii ślubnej, a także porozmawiać na temat twojej pozycji w Brooklands, już po ślubie.

Eve, zadowolona z jego troski, uśmiechnęła się do niego z czułością.

- Oczywiście. Obiecuję ci to. Będę postępowała tak jak mówisz.

- Świetnie. - Zapragnął wziąć ją w ramiona i pocałować. Ponieważ jednak obserwoowało ich wiele par życzliwych i ciekawskich oczu, musiał, z pewnym zniecierpliwieniem, zadowolić się jedynie lekkim całusem w policzek.

Eve odprowadziła go wzrokiem, tak bardzo kochająca, radosna i szczęśliwa, wciąż czując ciepło jego warg na policzku. Z wielką niecierpliwością zaczęła już odliczać dni dzielące ich od ślubu, jednakże jej doskonały nastrój prysnął w jednej chwili, kiedy, wkrótce po wyjeździe Marcusa, wręczono jej list przyniesiony z Burntwood Hall.

Służący zastał ją wraz z Emmą w salonie. Gdy wzięła od niego list, przeszył ją zimny dreszcz, bo rozpoznała pismo Geralda. Trzymała w dłoni kopertę i patrzyła na nią przerażona, bojąc się ją otworzyć.

Emma, która natychmiast zauważyła jej zmieszanie i rozterkę, podeszła bliżej i stanęła za jej plecami.

- Posłuchaj, Eve, musisz go otworzyć i przeczytać, co Gerald do ciebie pisze.

Eve ogarnął taki strach, że aż ścisnęło jej się serce.

- Ale skąd on wie, że wróciłam do Atwood?! Skąd dowiedział się o tym tak szybko? Ktoś musiał mnie widzieć i zawiadomić go o tym, a Gerald nie tracił czasu, tylko od razu napisał ten list. Drżącymi rękami otworzyła kopertę. Gerald pisał, że pragnie przeprosić za swoje zachowanie i że zaprasza ją jutro na kolację. Podkreślał przy tym, że mają do omówienia sprawy, które są ważne dla nich obojga i których nie można ignorować.

Emma, która wyczuła zdenerwowanie Eve, zapytała, czy może przeczytać list.

- Co za impertynencja! - zawołała oburzona, rzuciwszy na niego okiem. - Po tym wszystkim, co zrobił, po takich okropnych groźbach ośmiela się zapraszać cię na kolację! Nie możesz jechać, Eve. Musisz koniecznie pokazać ten list panu Fitzalanowi i trzymać się jak najdalej od Burntwood Hall, przynajmniej do czasu waszego ślubu. Gerald to bezwzględny libertyn, który ma wobec ciebie jak najgorsze zamiary. Jestem pewna, że nie byłabyś tam bezpieczna.

- Tak, tak. Masz rację, Emmo. Odpiszę oczywiście, że nie przyjmuję zaproszenia i zawiadomię Geralda, że jego zainteresowanie moją osobą nie jest mile widziane.

Jak powiedziała, tak zrobiła, jednak jej odmowa nie powstrzymała go od dalszych prób. Na drugi dzień przyszedł bowiem kolejny list z zaproszeniem. Eve, nie dziwiąc się temu wcale, zignorowała go, ale bezczelność i nachalność Geralda wywołała gniew Emmy.

Eve, choć próbowała uspokoić przyjaciółkę, choć twierdziła, że zachowanie Geralda zbytnio jej nie niepokoi, tak naprawdę była przerażona. Całym sercem pragnęła jak najprędzej zobaczyć znowu Marcusa. Gdy po dwóch kolejnych dniach nie dostała następnego listu od Geralda, jej nastrój poprawił się nieco, a potem od pani Fitzalan przyszło zaproszenie do Brooklands. Eve ucieszyła się niezmiernie, tym bardziej że jej wizyta miała mieć miejsce za kolejne dwa dni, już po powrocie Marcusa z Leeds. Uspokojona, poczuła się prawie beztróska wśród zawsze żywych i wesołych dzieci państwa Parkinsonów.

W przeddzień wizyty w Brooklands Emma wraz z rodzicami wybierała się do przyjaciół.

Zamierzali zabrać z sobą wszystkie dzieci oprócz Jonathana, który nie znosił takich wizyt.

Oznajmił więc matce, że nie czuje się dobrze. Pani Parkinson, nieco zatroskana, dotknęła jego czoła. Stwierdziwszy jednak, że chłopiec nie ma gorączki, postanowiła nie odwoływać wizyty. Nakazała tylko, że Jonathan do chwili jej powrotu ma leżeć w łóżku, a jeśli jego stan się nie poprawi, trzeba będzie wezwać lekarza.

Eve pragnęła zostać w domu, nalegała jednak, by Emma, która chciała dotrzymać jej towarzystwa, pojechała z rodzicami.

- Posłuchaj, Eve, naprawdę nie masz nic przeciwko temu, że cię opuszczę? Powiedz tylko słowo, a zostanę z tobą w domu.

- Ależ tak, Em, jestem tego pewna, naprawdę. Poczytam sobie książkę, a później zajrzę do Jonathana.

Jakiś czas później odszukała ją młoda służąca z pokoju dziecięcego. Podnosząc głowę znad lektury, Eve zobaczyła jej zatroskaną twarz i załamane ręce.

- Co się stało? O co chodzi, Maggie?

- Chodzi o panicza Jonathana, panienko. Zostawiłam go samego w pokoju. Spał, a w każdym razie myślałam, że śpi. Kiedy jednak wróciłam po dziesięciu minutach, jego już nie było. Łóżko jest puste, a panicza ani śladu.

- Maggie, przecież Jonathan jest chory.

- Tak twierdził, panienko, ale panicz Jonathan potrafi udawać. Robi to doskonale, zwłaszcza wtedy, kiedy chce się od czegoś wymigać. Nie raz mu się to zdarzało.

- Przeszukałaś już dom?

- Tak, panienko, caluteńki, ale jego nigdzie nie ma. Niania szuka go teraz na strychu. Jednak po mojemu on tam nie poszedł.

Eve zmarszczyła brwi.

- Mój Boże. - Odłożyła książkę i wstała. - Lepiej go dobrze poszukajmy. Przecież nie może być daleko.

- Tak, panienko, ale on musiał wyjść z domu.

Z początku Eve nie niepokoiła się zbyt, kiedy jednak po upływie pół godziny Jonathan się nie znalazł, ogarnął ją wielki niepokój. Kazała całej szóstce służących zacząć poszukiwania poza terenem posiadłości. Służący rozdzielili się i ruszyli w różne strony. Odprowadzając ich wzrokiem, Eve zwróciła się do młodej pokojówki:

- Posłuchaj, Maggie, czy przychodzi ci do głowy, gdzie on mógł pójść? Zastanów się dobrze. Gdzie panicz Jonathan lubi chodzić... gdzie lubi się bawić? Czy ma w pobliżu jakichś kolegów, których być może zapragnął odwiedzić?

- Ma kolegów, synów państwa Fairchilde'ow, którzy mieszkają niedaleko, a także synów państwa Simpsonów, których też czasami odwiedza. Lubi także łowić ryby w rzece albo w stawie, ale wie, że nad wodę nie wolno mu chodzić samemu.

Na tę wieść Eve zrobiło się zimno z przerażenia. Rzeka! Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślała? Jonathan uwielbiał łowić ryby, ale zawsze chodził nad rzekę z ojcem albo z innym opiekunem. Poza tym rzeka znajdowała się pół mili od domu, nieopodal kopalni odkrywkowej. Z pewnością Jonathan nie mógł tam pójść, bo w tamtej okolicy jest zbyt niebezpiecznie dla małego chłopca.

Eve wyjrzała przez okno i zobaczyła ciemne chmury. Jej niepokój o Jonathana jeszcze wzrósł.

- Boże drogi, Maggie, zbliża się burza! Miejmy nadzieję, że panicz Jonathan nie poszedł nad rzekę. Biegnij do stajni i każ jednemu ze stajennych rozpytać się u sąsiadów, zwłaszcza u państwa Fairchilde'ow i państwa Simpsonów, a ja pójdę nad rzekę. Jeżeli służący wrócą bez niego, każ im natychmiast tam biec.

Nie zastanawiając się ani przez chwilę, nie myśląc o własnym bezpieczeństwie ani o tym, co obiecała Marcusowi, a troszcząc się jedynie o Jonathana, Eve natychmiast ruszyła w stronę rzeki. Nie zdawała sobie sprawy, że ze skraju lasu ktoś zaczął ją śledzić. Po pewnym czasie dotarła do rozstajów, gdzie zaczęła się modlić, żeby Jonathanowi nie strzeliło do głowy pójść stromą ścieżką na prawo. Ścieżka ta, która prowadziła na skróty ku rzece, biegła obok głębokiej nieczynnej już kopalni odkrywkowej. Grunt był tu bardzo zdradliwy, zwłaszcza po dużym deszczu, bo wtedy zbcze pękało i jeden fałszywy krok mógł sprawić, że człowiek tracił życie. Zaczepiając spódnicą o krzewy dzikich róż, Eve szła bardzo szybko krętą dróżką, a serce waliło jej jak młotem. Po wyjściu z ciemnego lasu odetchnęła z ulgą, zaraz też zobaczyła przed sobą lśniący i rwący nurt. Rzeka wpadała do stawu położonego ćwierć mili od miejsca, łączącego ją z kanałem. Eve ruszyła biegiem, usiłując nie zwracać uwagi na ciemniejące niebo. Szukała wzrokiem drobnej postaci Jonathana w nadziei, że chłopiec siedzi gdzieś na brzegu ze swoją wędką. Nie zobaczyła jednak nikogo.

Gdy dotarła do samego brzegu, zaczęła wpatrywać się w wodę, która dudniła po skalistym dnie. W tym miejscu rzeka była bardzo płytka, ale dalej znajdował się głęboki staw. Ruszyła biegiem w tamtą stronę. Zdawała sobie przy tym sprawę, że jeżeli nie znajdzie chłopca na brzegu, to będzie musiała wracać obok starej kopalni.

I nagle, modląc się wciąż w duchu o bezpieczeństwo Jonathana, zobaczyła jego złotą główkę. Chłopiec siedział spokojnie pod drzewami na rozpostartym na ziemi czerwonym kubraczku i nabijał na haczyk jakieś wijące się żyjątko.

Eve w pierwszej chwili nie uwierzyła własnym oczom, a zaraz potem odczuła ogromną ulgę. Roześmiała się głośno, zawołała Jonathana po imieniu i, unosząc spódnicę, pobiegła prosto do niego. Nie miała pojęcia, co zrobić - czy nakrzyczeć na chłopca, czy go uściskać. Jonathan podniósł głowę i uśmiechnął się do niej trochę zmieszany, lecz natychmiast zmienił się na twarzy i zerwał z krzykiem na równe nogi. Wskazywał przy tym coś, co znajdowało się za nią.

Eve zatrzymała się w biegu, nie rozumiejąc słów chłopca, a zaraz potem, zanim zdążyła się obejrzeć, poczuła, że od tyłu chwytają ją czyjeś ręce. Była tym całkiem zaskoczona, mimo to jednak zaczęła się szarpać, próbując się uwolnić. Zawołała do Jonathana, żeby biegł do domu, ale w tej samej chwili potknęła się i upadła do przodu, uderzając głową o coś twardego.

W ostatnim przeblýsku świadomości zdała sobie sprawę, że pochylają się nad nią dwie ciemne postacie. Chciała zawołać coś do Jonathana, który wciąż krzyczał, chciała mu nakazać, żeby wracał biegiem do domu i sprowadził pomoc, ale w tej samej chwili poczuła, że chwytają ją jakies silne ręce i unoszą. A potem pochłonęła ją dusząca ciemność.

Marcus udawał się właśnie konno do jednej ze swoich kopalń, kiedy natknął się na gospodarzy swojej ukochanej, którzy wraz z Emmą i gromadką drobnych dzieci jechali z wizytą do przyjaciół. Zamieniwszy z nimi kilka słów, odprowadził ich wzrokiem, po czym ruszył w dalszą drogę.

Podczas tej krótkiej rozmowy dowiedział się od Emmy, że Eve została sama w domu. Oczywiście uznał, że to wymarzona okazja, by się z nią zobaczyć. Zawrócił więc konia i ruszył w stronę Atwood. Choć na drugi dzień miał ją zawieźć do Brooklands, chciał już dzisiaj zobaczyć Eve, bo tęsknił za nią ogromnie.

W kieszeni jego surduta spoczywał prezent dla niej -piękny zaręczynowy pierścionek z rubinami i brylantami.

Gdy Marcus zbliżył się do domu państwa Parkinsonów, uświadomił sobie nagle, że naokoło panuje dziwny spokój. Uśmiechnął się, sądząc, że ten wyjątkowy stan wynika z chwilowej nieobecności ruchliwych, pełnych energii dzieci. Dopiero kiedy zsiadł z konia, do jego uszu dobiegł niezwykły harmider panujący we wnętrzu domu. Nie zastanawiając się ani przez chwilę, nie czekając, aż ktoś go wprowadzi, Marcus otworzył pospiesznie drzwi, wszedł do środka i z miejsca natknął się na ogromnie zdenerwowanego Matthew Somerville'a, usiłującego uspokoić zrozpaczoną służbę.

Gdy w drzwiach pojawiła się wysoka sylwetka Marcusa, wszyscy natychmiast umilkli. Coś go tknęło. Miał przeczucie, że zaszło coś niedobrego. Wszedł do holu i spojrzał pytająco na młodszego brata Geralda.

- Co się tu dzieje? Czy coś się stało?

Matthew, który na widok Marcusa doznał ogromnej ulgi, postąpił krok naprzód.

- Dzięki Bogu, że pan się zjawił. Tak, panie Fitzalan, obawiam się, że stało się coś złego. Udawałem się właśnie do kopalni, lecz chcąc zobaczyć się z Emmą, zajechałem tutaj. Nie zastałem jej jednak, bo, jak się okazało, wraz z rodzicami i siostrami pojechała z wizytą. W domu zostali tylko Eve i Jonathan. Służący twierdzą, że Jonathan oznajmił matce, że źle się czuje, zapakowano go więc do łóżka. On jednak zniknął wkrótce po wyjeździe całej rodziny, a Eve pobiegła go szukać.

- Dokąd? Dokąd pobiegła? - zapytał Marcus, w którym natychmiast obudziła się czujność.

- Nad rzekę, ponieważ podejrzewała, że Jonathan mógł pójść na ryby.

- I co było dalej? Jakie przedsięwzięto kroki po wyjściu Eve? Czy ktoś udał się za nimi?

- Tak. Służba ruszyła na poszukiwanie, jednak nie znalazła ani Eve, ani chłopca.

- Więc może oni nie są nad rzeką? Może znajdują się gdzie indziej?

Matthew pokręcił tylko głową, a następnie pokazał Marcusowi leżący na fotelu czerwony chłopięcy kubraczek, a także wędkę.

- To są rzeczy Jonathana. Kubraczek znaleziono nad rzeką, wśród kamieni, a po Eve i chłopcu nie było nawet śladu.

Marcus uważnie przyjrzał się znalezionym rzeczom, nic jednak na nich nie zauważył, natomiast w jego sercu pojawiło się czarne, przerażające przeczucie.

- Kto znalazł te rzeczy? - Spojrzał na przerażone twarze milczącej gromadki.

- My, to znaczy ja i Maggie, proszę pana - powiedział stajenny. - Szukaliśmy ich wszędzie, nawet w starej kopalni, ale nigdzie ich nie było. Na ziemi, w pobliżu miejsca, gdzie znaleźliśmy kubraczek panicza Jonathana, znajdowały się ślady wskazujące na walkę. Przykro mi, ale nie znalazłszy nikogo, musieliśmy wrócić do domu. Nie mieliśmy pojęcia, co jeszcze możemy zrobić.

- Postąpiliście słusznie - pochwalił ich Marcus. - Dzięki wam wiemy, z którego miejsca zacząć poszukiwania. Jak dawno Eve wyszła z domu?

- Dwie godziny temu - odrzekł Matthew.

Marcus z determinacją odwrócił się w stronę okna, a w tej samej chwili niebo rozdarła pierwsza błyskawica, po której rozległ się grzmot zapowiadający burzę. Wiedział doskonale, co się stało. Tak, wiedział to, choć nikt nie udzielił mu na ten temat informacji. Czuł się jak człowiek udręczony sennym koszmarem. Przeklinał samego siebie za to, że spuścił Eve z oka, że jej nie dopilnował.

Nie wątpił, że to sprawka Geralda. Że to on uprowadził jego ukochaną. I myśli, że oto teraz Eve, oszołomiona i przerażona, znajduje się w rękach człowieka gotowego na wszystko dla uzyskania majątku, wypełniła jego serce wielkim gniewem. Gdy odwrócił się wreszcie od okna, wszyscy oniemieli na widok wyrazu jego twarzy.

- Dwie godziny, mówi pan?! - Jego krzyk odbił się od ścian pokoju. - Równie dobrze mogły upłynąć dwa dni! Mówiłem Eve, żeby nie wychodziła z domu, żeby nie chodziła nigdzie sama. Bałem się, że coś takiego może jej się przytrafić. Mam wszelkie powody przypuszczać, że została uprowadzona.

Matthew, z poszarzałą jak popiół twarzą, podszedł do Marcusa i stanął obok niego.

- Mnie też przyszło to do głowy. Nie widzę jednak żadnego powodu, dla którego ktokolwiek miałby porywać Eve i Jonathana.

- Nie widzi pan? - Marcus zmierzył go lodowatym spojrzeniem. - A ja panu powiem, że jest ktoś, znany z imienia i nazwiska, kto chce usunąć Eve ze swojej drogi, ktoś nadzwyczaj zdeterminowany i równie szalony. Ktoś, kto zrobi wszystko, by nie dopuścić do naszego małżeństwa.

Matthew pobladł jeszcze bardziej, wiedział bowiem, kogo Marcus Fitzalan ma na myśli. Nie był jednak w stanie przyjąć tego do wiadomości.

- Sądzi pan, że tą osobą jest Gerald, prawda?

- Tak. Wiem to z całą pewnością.

- Mojego brata można oskarżać o wiele rzeczy, panie Fitzalan, jednak do takiej podłości by się nie posunął.

- Pańska lojalność wobec brata jest godna pochwały, ale dowiedz się pan, że od czasu śmierci ojca Eve, kilkakrotnie jej groził. Więc podejrzewam, że właśnie on za tym stoi. Jednak fakt, że ma w swoich rękach także Jonathana, może uratować Eve.

- Uratować? - zapytał Matthew, przerażony sugestią Marcusa. - Nie sądzi pan chyba, że Gerald mógłby wyrządzić jej krzywdę?

- Nie tylko tak sądzę, ale nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Pański brat zrobi wszystko, żeby nie dopuścić do naszego małżeństwa i zdobyć Kopalnię Atwoowdzką. Jest bardzo zadłużony i choć posiada teraz majątek ziemski, chce zdobyć też kopalnię, bo bez niej jego sytuacja jest rozpaczliwa. - Marcus spojrział na stajennego: - Chodźmy. Musimy się spieszyć. Zaprowadź mnie nad rzekę, gdzie znalazłeś kubraczek Jonathana, a pan, panie Somerville, musi pojechać -do Atwood i zmobilizować jak najwięcej ludzi do pomocy w poszukiwaniach. Trzeba też powiadomić państwa Parkinsonów.

Gdy wychodzili z domu, spadły pierwsze ciężkie krople deszczu.

- Nie sądzę, by Gerald zrobił jej krzywdę, panie Fitzalan powiedział Matthew, choć prawda była taka, że lepiej niż kto inny zdawał sobie sprawę, do czego zdolny jest jego brat.

Mimo to miał nadzieję, że Gerald nie posunie się aż do morderstwa.

Marcus spojrział na niego w milczeniu i obaj zaczęli się gorąco modlić, by się nie mylił.

Kiedy Eve odzyskała przytomność, uświadomiła sobie ze zgrozą, że ziścił się najgorszy koszmar, jaki ją w życiu prześladował: groźby Geralda stały się rzeczywistością. Uświadomiła też sobie, że zeszytniała i obolała leży na twardym klepisku. W pewnej chwili usłyszała obok siebie cichy jęk Otworzyła oczy. Rozejrzała się naokoło, starając się nie poruszać głową, gdyż bardzo ją bolała.

Pierwszą rzeczą, jaka przedstawiła się jej oczom, była przerażona i biała jak papier twarzyczka Jonathana. Skulony i przycupnięty między nią a ścianą, chłopiec przypominał schwytanego w niewolę ptaka. Drżał na całym ciele, policzki miał mokre od łez, a w oczach wielki strach. Wstał i pochylił się nad nią, a potem nią potrząsnął.

Eve czuła pulsowanie w głowie, mimo to zacisnęła zęby, zdecydowana nie poddać się rozpacz, a także wyzbyć się wciąż narastającego, podstępного strachu. Wiedziała doskonale, że nie może pozwolić sobie na słabość, bo musi chronić Jonathana. Kiedy zaś pojawi się Gerald, musi rozmawiać z nim przytomnie i z jasnym umysłem. Bo co do tego, że on się tu pojawi, nie miała żadnych wątpliwości.

Czyniąc ogromny wysiłek, usiadła prosto, oparła się o ścianę i przygarnęła do siebie Jonathana. Chłopiec był zziębnięty, lecz ku wielkiej uldze Eve stwierdziła, że nie stała mu się żadna fizyczna krzywda. Jonathan w jej ramionach poczuł się bezpieczniej i przestał tak bardzo dygotać.

- Wszystko w porządku, Jonathanie - wyszeptła. - Nie bój się. Nikt nam nie zrobi krzywdy.

Z zewnątrz dobiegały odgłosy szalejącej burzy, deszcz lał strumieniami, bębniąc o ściany. Rozglądając się wokół, Eve zorientowała się, że znajdują się w małej nieużywanej szopie, brudnej i obrosniętej pajęczynami. Na klepisku wały się połamane narzędzia i inne bezużyteczne przedmioty. Słabe światło sączyło się przez podarty worek zasłaniający umieszczone bardzo wysoko okienko, a także przez dziurę w dachu, przez którą na klepisko kapiała woda deszczowa.

Okienko znajdowało się tak wysoko, że w żadnym wypadku nie mogła do niego dosięgnąć, a w pomieszczeniu nie było nic, na czym mogłaby stanąć, by wyrzeć przez nie na zewnątrz. Co do ciężkich drzwi, to nie musiała próbować ich otworzyć, by wiedzieć, że są porządnie zaryglowane. Uświadomiwszy sobie, że nie ma stąd żadnego wyjścia, straciła odwagę. Nie miała pojęcia, gdzie dokładnie się znajdują, bo w tej okolicy było mnóstwo opuszczonych starych szóp, a także nieużywanych szóp.

Siedząc na brudnym klepisku, Eve usiłowała sobie przypomnieć wszystko, co się wydarzyło. Wiedziała, że nad rzeką ktoś ją zaatakował, zawołała do Jonathana, żeby uciekał i biegł do domu po pomoc. Jednakże chłopiec stał jak sparaliżowany. Był zbyt przerażony, by jej posłuchać. Tymczasem ona, w trakcie szarpaniny, potknęła się i uderzyła mocno głową o coś twardego, przez co straciła przytomność. Zanim jednak to się stało, zauważyła dwóch mężczyzn. Co będzie dalej? - myślała gorączkowo. Jak długo ci ludzie będą ich trzymać w tej szopie?

Dygocząc z zimna, podciągnęła kolana, niezdolna uwierzyć, że znajduje się w takim położeniu. Przyszło jej do głowy, że to musi być sen, że się wkrótce obudzi, jednak przenikająca ubranie wilgoć świadczyła, że to wszystko prawda.

Eve podejrzewała, że ludzie, którzy ich tu zamknęli, czyli zbiry opłacone przez Geralda, znajdują się gdzieś w pobliżu, w przeciwnym razie nikt na tym pustkowiu nawet nie usłyszy jej krzyku.

Dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie, jak rozpaczliwie Gerald pragnął Kopalni Atwoodzkiej i z jaką determinacją dążył do jej zagarnięcia. A także do czego był zdolny. Nie miała żadnych wątpliwości, że był gotów ją zabić. Jednak największą jej wściekłość budził fakt, że śmiał tak okropnie przstraszyć dziecko.

- Jonathanie, posłuchaj. Może wiesz, gdzie jesteśmy? Czy widziałeś, gdzie ci ludzie nas przywieźli?

Chłopiec wtulił się w nią mocniej.

- Nie - wyszeptał drżąc. - Oni zakryli mi oczy. Nic nie widziałem.

- A czy ich poznałeś?

- Nie.

- Ilu ich było?

- Dwóch.

- Czy zrobili ci coś złego?

- Nie, ale mnie okropnie przstraszyli.

- Jak myślisz, jak długo nas tu więzli?

- Nie wiem. Chyba niezbyt długo.

- A mieli konie?

- Tak. Dwa.

Aha, pomyślała, jeżeli przywieźli nas tutaj na koniach, to znajdujemy się dalej od Atwood, niż z początku przypuszczałam. Zamknęła oczy i objęła mocniej Jonathana.

- Nie martw się. Wydostaniemy się stąd. Wszyscy nas już na pewno szukają.

Mówiła tonem pewnym, choć żadnej pewności nie miała. Jednak Jonathan jej uwierzył, a o to przecież chodziło.

Podtrzymywała ją na duchu jedynie myśl, że wszyscy będą ich szukać. Służba, przerażona ich zniknięciem, na pewno natychmiast zawiadomi państwa Parkinsonów i Marcusa, a on domyśli się, że to sprawa Geralda. Pojedzie do Burntwood Hall i zmusi tego łotra, żeby wyjawiał, gdzie się znajdują. No i przybędzie tu wkrótce. Tak, Marcus po nich przyjedzie.

Ale zaraz opadły ją wątpliwości. Co będzie, jeżeli ani Marcus, ani nikt inny się nie zjawi? No bo przecież Gerald może nie zdradzić, gdzie są, może się wszystkiego wyprzeć, stwierdzić, że o niczym nie ma pojęcia. Przerażona tą myślą, Eve podeszła szybko do grubych drzwi i zaczęła w nie walić. Wołała przy tym o pomoc, jednak szalejąca burza zagłuszyła jej krzyk. Umilkła więc, uświadomiwszy sobie, że to na nic, że nikt jej nie pomoże.

Czas dłużył jej się niemiłosiernie. Upłynęła cała wieczność, zanim usłyszała za drzwiami podniesione, gniewne głosy. Zaczęła nasłuchiwać. Ktoś mówił coś o dziecku

i o tym, że cała rzecz się nie powiodła. Słyszając to, Eve zerwała się na równe nogi i mocno objęła przerażonego Jonathana. Była równie wystraszona jak malec. Omal nie krzyknęła, kiedy drzwi otworzyły się nagle i do szopy wkroczył nie kto inny tylko sam Gerald, natomiast dwaj mężczyźni, którzy dokonali porwania, zostali za drzwiami. Eve, ogarnięta paniką i wiedzona odruchem strachu, omal nie rzuciła się na swego prześladowcę. Pragnęła, tak, bardzo pragnęła zadać mu ból - ukarać go za to, że w tak okropny sposób potraktował ją i Jonathana.

A Gerald, wkroczywszy do środka, rozejrzał się wokół siebie. Z rozdętymi nozdrzami, z nerwowym grymasem na twarzy, pienił się na tych dwóch idiotów, którzy tak spartaczyli robotę. - A więc miałam rację! - wybuchnęła Eve, niezdolna ukryć nienawiści. - To ty nas tutaj więzisz. Jak śmiesz, ty łotrze? Jak mogłeś zrobić coś takiego? Jonathan to przecież dziecko, a z twojego powodu doznał takiego wstrząsu, jest przerażony!

Gerald rzucił przelotnie okiem na drobną postać chłopca, który tulił się do Eve.

- Akurat to było niezamierzone. Tak czy siak, zapewniam cię, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie dopuścić do twojego małżeństwa z Marcusem Fitzalanem. Kiedy się już z tobą zabawię, Marcus raczej nie zechce cię wziąć, bo nie bierze się zepsutego towaru. Z pewnością też nie będzie pragnął skandalu. I przestanie tak bardzo pożądać Kopalni Atwoodzkiej, bo jej objęcie będzie oznaczało, że musi również wziąć ciebie.

- Nie licz na to, Geraldzie - odrzekła Eve z jawną pogardą. - On wyzwie cię na pojedynek, na pistolety albo na rapiery. A zapewniam cię, że jest mistrzem fechtunku i wspaniałym strzelcem. Gerald wybuchnął pełnym okrucieństwa, nienaturalnym śmiechem.

- Nie boję się go, bo sam też doskonale fechtuję i strzelam. Wątpię zresztą, czy sprawy zajdą aż tak daleko, bo ty w jego oczach będziesz bezwstydną rozpustnicą, kobietą splamioną, wykorzystaną, nienadającą się na jego żonę. Po takim skandalu nie uratuje cię nawet cud.

Eve przejął zimny dreszcz, bo jego słowa były prawdą. Gdyby spełnił swoją groźbę, drastyczne plotki rozeszłyby się lotem błyskawicy i skandal byłby gotowy. Plotkowano by, upokarzano, a ona nie mogłaby się bronić. Zdawała sobie z tego sprawę, lecz mimo to nie zamierzała dać się zastraszyć.

- Specjalnie przywiozłeś mnie do tej obskurnej szopy, by właśnie tutaj dokonać swego okropnego czynu?

- Och nie. Gdyby nie chłopiec, zawieziono by cię w znacznie przyjemniejsze miejsce, gdzie byłoby nam wygodnie. W miejsce pełne ludzi, którzy widzieliby, jak bardzo cieszymy się swoim towarzystwem.

- Naprawdę spodziewałeś się, że będę na tyle uległa, że wezmę udział w takim przedstawieniu?

- Istnieją metody, którymi mógłbym cię do tego zmusić.

- Masz na myśli narkotyki?

- Jeżeli to by było konieczne.

- Co za wstrętna z ciebie kreatura - powiedziała głosem drżącym z nienawiści i gniewu. - Nie mogę uwierzyć, że w naszych żyłach płynie ta sama krew. Jesteś szaleńcem, bo tylko szaleniec mógł wymyślić coś takiego. Tylko szaleniec mógł uprowadzić kobietę po to, by dostać w swoje ręce kopalnię.

Wargi Geralda wykrzywiły się w wyrazie okrutnego szyderstwa.

- Nie jestem gorszy ani wstrętniejszy niż Fitzalan. Nie daj się zwieść jego słodkim słówkom, moja droga. Mówiłem ci: on chce kopalni, a ty jesteś tylko dodatkiem do niej. Niczym więcej.

- Mylisz się. - Eve próbowała zyskać na czasie i użyć wszelkich sztuczek, by wyzwolić się z tej rozpaczliwej sytuacji. - Muszę ci powiedzieć, Geraldzie, że mogłeś oszczędzić sobie czasu i wysiłku. Nie musiałeś uciekać się aż do tak drastycznych środków jak porwanie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał z błyskiem w oku.

W normalnych warunkach kłamstwo nie przeszłoby jej przez gardło, jednak teraz nie miała żadnych skrpułów.

- Jak wiesz, wróciłam właśnie z Cumbrii, z domu mojej babki, gdzie przyjechał także Marcus. Być może powinienes zadać sobie pytanie, dlaczego to zrobił.

- Nie mam ochoty go zadawać. Zapytam cię natomiast, czy to w ogóle ma jakieś znaczenie.

- Zapewniam cię, że ma. Bo widzisz, Marcus i ja wzięliśmy tam ślub.

- Kłamiesz - syknął purpurowy z gniewu. - Próbujesz mnie oszukać. Byliście tam za krótko. Nie mieliście na to czasu.

- I tu się mylisz, bo istnieje coś takiego jak specjalne zezwolenie. Po naszym powrocie Marcus pojechał do Leeds. Zamierzamy ustanowić powiernictwo nad Kopalnią Atwoodzką na rzecz naszych przyszłych dzieci. Marcus uznał więc, że najlepiej zacząć to załatwiać od razu.

Dla odmiany teraz Gerald zbladł śmiertelnie. Eve, ku swej wielkiej satysfakcji, zauważyła, że drży. Wyglądał jak człowiek opętany przez szatana.

- Czy to prawda?! - krzyknął histerycznie.

- Tak, jest to najprawdziwsza prawda.

Gerald wydał z siebie potężny ryk, chwycił Eve za ramiona i potrząsnął nią dziko. Jonathan, który wciąż trzymał się jej spódnicy, krzyknął przerażony

- Ty jędo! - Gerald odepchnął ją tak mocno, że zatoczyła się na ścianę.

Gdy odzyskała równowagę, zauważyła, ku swemu wielkiemu zadowoleniu, że ten łotr się załamał, że niepomierne cierpi.

Uwierzywszy w słowa Eve, Gerald doznał ogromnego wstrząsu. Jego cierpienie nie miało granic. Już nie mówił, tylko wydawał z siebie nieartykułowane dźwięki niczym zwierzę.

Całkowicie się załamał. Eve poczuła, że powinna mu współczuć, jednak po tym, co jej zrobił, nie znalazła dla niego litości.

Wreszcie Gerald ze strasznym grymasem na twarzy ruszył ku drzwiom.

- Dokąd idziesz? - Eve zaniepokoiła się nie na żarty. - Nie chcesz chyba nas tutaj zostawić?

- Zostaniesz tutaj, dopóki nie postanowię, co z tobą zrobić - syknął, odwracając się ku niej. - I nie bądź taka pewna siebie. Sprawa jeszcze nie jest zakończona. Jeszcze nie wygrałaś.

- Opamiętaj się, Geraldzie! Zawieź do domu przynajmniej Jonathana. Czy zastanowiłeś się, jakie mogą być konsekwencje twojego postępowania? Czy myślisz, że nikt się nie zastanawia, gdzie jesteśmy, że nikt nas nie szuka?

- Nigdy was tutaj nie znajdą, a nikt mi nie udowodni, że mam coś wspólnego z waszym zniknięciem. - Jego oczy dziko błysnęły. - Wszyscy pomyślą, że poszłaś szukać chłopca. Jak wiesz, w okolicy jest kilka niezabezpieczonych szybów, a wypadki nie są czymś nadzwyczajnym. Gdy będziesz martwa, nie oskarżysz mnie o porwanie.

Eve znów ogarnęło przerażenie. Wyglądało na to, że Gerald doskonale to sobie zaplanował.

- Zastanów się, lepiej być oskarżonym o porwanie niż o morderstwo. A to ostatnie udowodni ci Marcus. Tego możesz być pewien!

- Nawet on nie będzie miał na to dość sprytu. - Znów ruszył do drzwi.

Podbiegła do niego i zaczęła błagać, żeby ich wypuścił, strasznie bowiem się bała zostać w tej okropnej szopie. On jednak odepchnął ją tak mocno, że zatoczyła się na ścianę, a potem wyszedł, upewniając się, że drzwi zostały dobrze zaryglowane.

Eve zaczęła walić pięściami w twarde drewno i błagać, by ją wypuścił, jednak w odpowiedzi usłyszała tylko szum deszczu i oddalający się tętent końskich kopyt.

Została sama z Jonathanem, który z twarzą schowaną w jej spódnicy cicho łkał. Zrozpaczona i przemarznięta do szpiku kości, usiadła na klepisku. Przyciągnęła do siebie chłopca, próbując uspokoić nerwy. Rozpoczął się dla nich znowu czas oczekiwania, a jej rozgorączkowana wyobraźnia zaczęła intensywnie pracować.

Rozdział piętnasty

Po daremnych poszukiwaniach, w których wzięli udział wszyscy mieszkańcy okolicy, Marcus ruszył do Burntwood Hall, by stanąć twarzą w twarz z Geraldem.

Tymczasem Gerald siedział w salonie przed dużym kominkiem, na którym płonął ogień, i coraz bardziej pogrążał się w rozpacz, którą spowodowały słowa Eve. Uwierzył jej. Przecież również on zastanawiał się, dlaczego ona i Fitzalan pojechali nagle do Cumbrii.

Myśląc o tym wszystkim, zaczynał żałować swego postępowania. Przeklinał także własną głupotę, bowiem zrozumiał wreszcie, że, uprowadzając Eve, zagroził swojej nowo uzyskanej społecznej pozycji. Rozumiał też doskonale, że nie istnieje żaden honorowy sposób na wyplątanie się z tej sytuacji. A nade wszystko bał się, że zostanie aresztowany.

Po drugiej stronie kominka siedziała Angela, którą od dłuższego czasu łączyła z Geraldem wątpliwej jakości przyjaźń. Za bardzo byli do siebie podobni, by sobie do końca ufać. Angela wiedziała doskonale, że Gerald potrafi być niebezpieczny i dlatego czyniła wszystko, żeby nie uczynić z niego swojego wroga. Do Burntwood Hall przyjechała przed chwilą i nie miała pojęcia o tym, co przydarzyło się Eve i Jonathanowi.

Gdy wprowadzony przez służącego Marcus wkroczył do salonu, Gerald spojrzał na niego niezmiernie zaskoczony. Marcus podejrzewał jednak, że udaje, bo musiał się spodziewać tej wizyty. Jednak Gerald był tak wzburzony i roztrzęsiony, że nawet o tym nie pomyślał.

W oczach Marcusa płonął gniew. Gdyby nie wzgląd na bezpieczeństwo Eve i Jonathana, rozdarłby na strzępy Geralda.

Ten zaś spojrzał na niego z jawną nienawiścią, wstał z fotela i stanął z nim twarzą w twarz.

- O! Cóż ja widzę! Pan Fitzalan zawitał w moje progi! Czy wolno spytać, czemu zawdzięczam tę raczej wątpliwą przyjemność?

- Nie jest to wizyta towarzyska. Gdyby to zależało ode mnie, moja noga nie postałaby w tym domu. A ty, Somerville, wiesz doskonale, dlaczego tu jestem. Będę więc mówić krótko i rzeczowo. Otóż, jak ci na pewno wiadomo, Eve i syn państwa Parkinsonów zaginęli. Wiem, że to ty, Somerville, jesteś za to odpowiedzialny. Więc pytam: gdzie oni są? Gdzie ich przetrzymujesz?

Pytanie było tak obcesowe, że Gerald zeszywniał, a potem, mrużąc oczy, zmierzył swego gościa nienawistnym spojrzeniem.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi. To oskarżenie jest wprost śmieszne. Dlaczego pan sądzi, że jestem odpowiedzialny za zniknięcie tych dwojga?

- Obaj doskonale wiemy, dlaczego. - Te ostatnie słowa Marcus wypowiedział cicho i lodowatym tonem. - Mylisz się, Somerville, sądząc, że w sprawie Kopalni Atwoodzkiej działają coś twoje groźby i próby zastraszania. Eve opowiedziała mi o nich. Chciałem się z tobą natychmiast rozprawić, ale powstrzymała mnie od tego. Teraz żałuję, że posłuchałem jej prośb. - Spojrzał na niego jak na nędznego robaka. - Te groźby były poważnym błędem, ale uprowadzenie Eve i chłopca to coś więcej niż błąd. To poważne przestępstwo. Możesz być pewien, że prawo obejdzie się z tobą surowo i pójdiesz na długie lata do więzienia. A może nawet czeka cię stryczek.

Gerald słuchał Marcusa, a na jego czole zabłyśły krople potu. Jego pewność siebie zniknęła bez śladu, wciąż jednak się bronił.

- Ależ, panie Fitzalan, mówiłem już panu, że nie wiem nic o zniknięciu Eve. Eve pana okłamała, mówiąc o jakichś groźbach. I myli się pan, sądząc, że mógłbym skrzywdzić swoją krewną.

- Tak, tak, oczywiście. Chciałbyś, żebym w to uwierzył. Dlaczego jednak nie byłeś zaskoczony, kiedy powiedziałem, że Eve zaginęła? Na myśl, że osoba tak urocza i przyzwoita znajduje się w rękach tak okrutnego i pozbawionego skrupułów łotra, robi mi się niedobrze. Ośmieliłeś się ją uprowadzić, bo sądziłeś, że w ten sposób zmusisz ją do odwołania naszego ślubu. Ale zapamiętaj moje słowa: ja ją odnajdę!

Gerald wzruszył ramionami, udając, że nie przejmuje się tym, co mówi Marcus, a równocześnie jego słowa natchnęły go nagłą nadzieją. Być może Eve skłamała, mówiąc o tym ślubie w Cumbrii? Zaczął się gorączkowo zastanawiać. Czyżby miał jeszcze szansę na przeprowadzenie swego planu? Jeżeli Eve i Marcus się nie pobrali, to, w razie śmierci Eve, kopalnia jednak przejdzie w jego ręce!

Ale pozbywając się Eve, musiałby równocześnie usunąć tego uprzykrzonego chłopca, na co wcale nie miał ochoty. Jednakże było to konieczne, bo inaczej zostawiłby przy życiu świadka.

- Mam nadzieję, że pan ją znajdzie - odrzekł chłodno. - Mam także nadzieję, że nic jej się nie stało i że znajdując ją, nie przekona się pan, że jest martwa.

- Nie odważyłbyś się! - Oczy Marcusa groźnie zabłyśły, a z twarzy emanowała taka nienawiść, że Gerald stracił całą swoją butę. - Mówiłem ci, już, Somerville, że nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Jesteś najgorszego gatunku łajdakiem. Przysięgam, że jeżeli Eve spadnie choćby włos z głowy, nie ukryjesz się przede mną, nie unikniesz mojej zemsty. Policzę się z tobą na twój sposób, nie zaznasz choćby odrobiny litości. Może jesteś Somerville'em, utytułowanym arystokratą, jednak ja mam też wpływy i potężnych przyjaciół. Obiecuję ci, że cię zniszczę, jeżeli tkniesz Eve choćby jednym palcem. Przysięgam na wszystko, co święte, że najpierw cię doprowadzę do ruiny, aż wylądujesz w rynsztoku, a potem zamorduję cię własnymi rękami.

- Nawet jeżeli spotka cię za to stryczek?

- Jeżeli uda mi się uwolnić ziemię od takiego śmiecia jak ty, z przyjemnością poniosę wszelkie konsekwencje.

Angela, która do tej pory w milczeniu słuchała tej wymiany zdań, zerwała się na równe nogi.

Marcus spojrział na nią jak na zupełnie obcą osobę i powiedział:

- Angelo, jak zapewne się zorientowałaś, nie mam w tej chwili nastroju na towarzyskie uprzejmości. Powiem ci tylko, że wcale mnie nie dziwi twoja obecność w tym domu. Znana to prawda, że swój ciągnie do swego. Nie zdziwiłoby mnie także, gdybym się dowiedział, że maczałaś palce w tej kryminalnej historii. - Zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

A ona przeraziła się, bo wysłuchawszy gniewnej wymiany zdań między mężczyznami, rozumiała, o co tu chodzi. Prawda jednak była taka, że wbrew temu, co sądził Marcus, nie miała w uprowadzeniu Eve żadnego udziału. Wiedziała natomiast, jak bardzo Gerald nie chciał dopuścić do ślubu Marcusa z Eve. By osiągnąć ten cel, był gotów na wszystko. Nawet na zbrodnię.

Postanowiła, że Gerald, idąc na dno, nie pociągnie jej za sobą.

- Ależ Marcusie! Naprawdę nic nie wiem o tej sprawie! Po prostu musisz mi uwierzyć!

Marcus, o dziwo, uwierzył w jej słowa. Wiedział doskonale, że jest złośliwa i zazdrosna, nie sądził jednak, żeby posunęła aż do przemocy fizycznej.

- Zniknęła nie tylko Eve, ale także Jonathan Parkinson. Gdzie oni są, do cholery? - Spojrzął na Geralda, znów mając ochotę rzucić się na niego.

- Powiedziałem już, że nie wiem. A teraz proponuję, żeby pan jak najszybciej stąd wyszedł, bo za chwilę wezwę służbę i każę pana wyrzucić.

- Już idę. Ale oświadczam: to nie koniec sprawy! Wrócę tu z przedstawicielami prawa, Somerville, a wtedy zobaczymy, jak długo zdołasz zachować milczenie.

Kiedy za Marcusem zamknęły się drzwi, Gerald opadł na fotel z twarzą białą jak kreda. Zdawał sobie doskonale sprawę, że wpakował się w sytuację bez wyjścia. Na pewno Marcus kazał go śledzić, nie mógł więc nigdzie się ruszyć, a już na pewno nie mógł pojechać do kopalni Kettlewell.

Angela przyglądała mu się uważnie. Widziała jego panikę i narastający strach. Nie miała już wątpliwości, że oskarżenia Marcusa były słuszne. Chciała jak najszybciej poznać szczegóły.

- Boże drogi! - zawołała. - To po prostu nie do wiary! Ty głupcze, ty idioto! Coś ty narobił?! No tak, Marcus się nie myli. Zrobisz wszystko, żeby tylko dostać w swoje ręce tę przeklętą kopalnię. Ale posłuchaj, cokolwiek zamierzasz uczynić Eve, nie wolno ci skrzywdzić chłopca. Przecież nawet ty nie upadniesz tak nisko, żeby skrzywdzić dziecko!

Gerald zerwał się i w wielkim wzburzeniu zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju.

Wreszcie zatrzymał się i spojrzał na Angelę, bo przyszło mu do głowy, że ona może podsunąć mu jakieś rozwiązanie.

- Dobrze, przynajmniej, to ja kazałem uprowadzić Eve. Chciałem skompromitować ją do tego stopnia, żeby musiała wyjść za mnie, a nie za Fitzalana. Ale to się nie udało. Natomiast chłopiec pojawił się niespodziewanie, w momencie porwania. Wynajęci przeze mnie ludzie nie mieli więc wyboru: musieli porwać i jego.

- Gdzie oni teraz są?

- Ale Angelo... jeżeli ci powiem... to czy mogę liczyć na twoją dyskrecję?

- Owszem, ale tylko pod warunkiem, że obiecasz nie zrobić im krzywdy.

- Nie mogę tego obiecać. Nie rozumiesz? Przecież wtedy stracę wszystko!

Angela podeszła do niego i mocno wbiła palce w jego ramię, wpatrując się w niego płonąącym wzrokiem.

- Ty i tak wszystko stracisz, Geraldzie. Marcus odnajdzie Eve. Jeżeli jednak zrobi to zbyt późno, zawiśniesz na szubienicy. A teraz żądam odpowiedzi: gdzie są Eve i chłopiec?

Gerald, czując, że wszystko stracone, skulił się pod jej spojrzeniem.

- W starej szopie na terenie zamkniętej kopalni Kettlewell, milę od gościńca prowadzącego do Leeds.

Angela patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła się i wybiegła z pokoju, mając nadzieję, że dogoni Marcusa.

On tymczasem wypytywał młodego stajennego o zabudowania znajdujące się na terenie majątku. Zamierzał bowiem, poszukując Eve i Jonathana, sprawdzić dosłownie każdy kamień.

W tej samej chwili z domu wybiegła Angela i szybko zbliżyła się do niego. Zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

- O co chodzi? - zapytał ostro.

- Musisz mi uwierzyć, Marcusie - powtórzyła swoją niedawną prośbę. - Naprawdę nie brałam w tym udziału. Można mnie oskarżyć o wiele rzeczy, nie jestem jednak morderczynią. Gerald powiedział mi, że Eve znajduje się na terenie starej kopalni Kettlewell, niedaleko gościńca prowadzącego do Leeds. Czy wiesz, jak się tam dostać? Na tę wieść Marcus pobladł.

- Tak, oczywiście. Znam tu wszystkie kopalnie. Niepokoi mnie jednak, że oni są właśnie tam. Kopalnia Kettlewell jest od pewnego czasu nieczynna, ale szyb nadal jest niezabezpieczony.

Pojadę tam natychmiast. Każ komuś ze służby jechać za mną powozem. I to szybko. Nie wiadomo, w jakim stanie zastanę Eve i Jonathana.

Bez chwili zwłoki dosiadł konia i ruszył galopem, nieświadomy, że ogarnięty paniką Gerald uciekł z domu tylnymi drzwiami. Nie mógł sobie darować, że powiedział Angeli, gdzie znajdują się jego więźniowie. On także zmierzał w stronę kopalni Kettlewell w nadziei, że przybędzie tam przed Marcusem i że zdąży usunąć wszelkie ślady ich bytności.

Zbliżał się zmierzch, a sama myśl o spędzeniu nocy w tej okropnej szopie napawała Eve przerażeniem. Wyczerpana bezustannym strachem, gniewem i rozpaczą, a także głodem, nie mogła sobie nawet przypomnieć, kiedy jadła po raz ostatni. Jonathan, jeszcze bardziej niż ona przerażony i przemarznięty, dygotał na całym ciele. Miał na sobie wilgotne ubranie, a w szopie wraz ze zbliżającym się zmierzchem zrobiło się bardzo zimno. Jeżeli zostaniemy tu choć trochę dłużej, pomyślała Eve, chłopiec przeziębii się i ciężko rozchoruje.

Gdy minął pierwszy szok po wyjściu Geralda, w jej sercu obudziła się wściekłość. Tak wielka, że Eve przestała nawet odczuwać panujący dokoła chłód. Ta wściekłość dała jej dziwną siłę. Eve ogarnął bunt. Nie mogła pogodzić się z tym, że nie jest w stanie wyrwać się z okropnego więzienia.

O nie! Nie będzie tu siedzieć beczynn timer czekać na powrót Geralda. Nie dopuści, żeby to on zdecydował o jej losie! Podeszła do drzwi i spróbowała je otworzyć. Zauważyła, że drewno gdzieś zbutwiało, jednak drzwi nie ustępowały. Z pewnością na zewnątrz zabezpieczone były potężnymi ryglami i łańcuchami.

Rozejrzała się więc w poszukiwaniu przedmiotów, za pomocą których można by było podważyć zawiasy. Ku swojej radości, wśród porzuconych na klepisku połamanych narzędzi, znalazła stary oskard. Podniosła go więc i wbiła między drzwi a ościeżnicę, by posłużyć się nim jako dźwignią. Mocowała się przez jakiś czas, jednak drzwi się nie poddawały.

Tymczasem mały Jonathan, obserwując jej próby, postanowił przyjść z pomocą. Wspólnymi wysiłkiem, podsycanym nadzieją wolności, doprowadzili do tego, że jeden z zawiasów pękł z trzaskiem. Chłopiec wydał okrzyk tryumfu i z zapalem zabrał się za drugi.

Eve, z bijącym sercem i zaciśniętymi zębami, przyłączyła się do niego. Kiedy w końcu pękł i drugi zawias, zaatakowali bezzwłocznie trzeci, na samym dole. Gdy i on bardzo powoli ustąpił, Eve i Jonathan ostatkiem sił pociągnęli drzwi do środka, a potem, uszczęśliwieni, wyszli na zewnątrz. Nareszcie byli wolni.

Na dworze było znacznie cieplej niż w szopie. Burza już przeszła, przestał padać deszcz, tylko z gałęzi chwiejących się w podmuchach lekkiego wiatru skapywały ostatnie krople.

Powietrze po burzy było czyste jak kryształ. Eve rozejrzała się naokoło i zorientowała się, że są w kopalni Kettlewell, zamkniętej od osiemnastu miesięcy. Wiedziała, że ta kopalnia znajduje się dwie mile w linii prostej od brzegu rzeki, skąd zostali uprowadzeni.

Szopa, w której ich uwięziono, była jedyną na terenie kopalni nadającą się do tego, bowiem pozostałe były w ruinie. Rozglądając się naokoło, Eve zobaczyła porzucone kopalniane wózki, stare liny oraz resztki rozpadającego się konnego kieratu. Wszystko porośnięte było chwastami i bluszczem. Pobliski las wkraczał już na opuszczony teren. Widok ziejącej czarnej czeluści niezabezpieczonego szybu mroził krew w żyłach. Jakże łatwo nieuważny wędrowiec mógł runąć w przepaść.

W okolicy Atwood znajdowało się kilka wyeksploatowanych kopalni, jednak tam, zgodnie z warunkami dzierżawy, nieużywane szyby zostały zasypane. Dlaczego kopalnia Kettlewell została do tego stopnia zaniedbana, Eve nie miała pojęcia. Zdawała sobie jednak sprawę, że stan tej kopalni był czymś bardzo wygodnym dla Geralda, jeżeli chciał pozbyć się jej i Jonathana.

Doszedłszy do tego wniosku, zastanawiała się przez chwilę, w którą pójść stronę. Zdecydowała się szybko.

- Chodź, Jonathanie. - Wzięła chłopca za rękę. - Robi się ciemno, więc musimy się spieszyć.

Wiem, gdzie jesteśmy. Jeździłam tędy wiele razy, więc nie zabłądzimy.

Ruszyli starym zarośniętym traktem dla wozów prowadzącym w dół niewielkiej pochyłości, kierując się w stronę domu Jonathana.

Tymczasem Gerald, który jadąc inną drogą, przybył na teren kopalni, zanim zdążył tam dotrzeć Marcus, wpadł w dziką furję, gdy zobaczył, że jego więźniowie uciekli. Uświadamiając sobie, że traci wszystko, co ostatnio osiągnął, natychmiast zaczął ich ścigać. Skierował konia tam, gdzie, jego zdaniem, musieli udać się Eve z Jonathanem.

Marcus dotarł do szopy w kilka minut później. Nie znalazłszy Eve i Jonathana, pomyślał z przerażeniem, że pozostawieni przez Geralda na straży złoczyńcy przewieźli ich w inne miejsce. Przystanął niezdecydowany, w którą jechać stronę. Po chwili jednak dostrzegł w błocie ślady stóp - ślady kobiety i dziecka. I już wiedział, że Eve i Jonathan skierowali się do Atwood.

Eve doznała wielkiej ulgi, gdy przez prześwit między drzewami zobaczyła rzekę i otwarte pola. Zapadał bowiem zmierzch, a ona nie chciała po zmroku znajdować się w lesie, bo w takiej sytuacji wyobraźnia płata człowiekowi figle. Wszystko naokoło stało się dziwne i niesamowite, wysokie drzewa przybierają postać strasznych olbrzymów, wydaje się, że wśród cieni czają się jakieś postacie. Zadrżała, słysząc w oddali skowyt i ujadanie psa. Przestraszona pomyślała, że to wilk, który wyłoni się zaraz spośród ciemnych zarośli i zaatakuje ich z wyszczerzonymi zębami. Natychmiast jednak wzięła się w garść, bo zdawała sobie sprawę, że puszczając w ten sposób wodze wyobraźni, może ulec panice. Oboje z Jonathanem byli pełni nadziei, że zaraz znajdą się w domu. Poczuli się więc całkowicie zaskoczeni, gdy za ich plecami rozległ się tętent kopyt i spośród drzew, niby jakieś widmo, wyłonił się jeździec na dużym siwym koniu. Stanęli jak wryci.

Eve natychmiast rozpoznała Geralda, który z dzikim wzrokiem i wyrazem straszliwej nienawiści na twarzy, pędził prosto na nich.

Na szczęście Eve odzyskała przytomność umysłu i, nie będąc w stanie zejść mu z drogi, zasłoniła sobą Jonathana. Potrąceni przez konia, upadli na ziemię. Byli tak oszołomieni, że nie mogli się ruszyć, a Gerald najechał na nich ponownie.

Marcus, usłyszawszy krzyk kobiety, natychmiast zorientował się, gdzie są i pognał w tamtym kierunku. Wyjechał pędem z lasu w chwili, gdy Gerald zamierzał właśnie zsiąść z konia, pod którego kopytami widać było skulone na ziemi postacie Eve i Jonathana. Zobaczywszy jednak potężną sylwetkę Marcusa, wydał z siebie nieartykułowany, pełen nienawiści okrzyk, spiął swego siwka i oddalił się galopem niczym ktoś, kogo ścigają piekielne demony.

Eve z trudem podniosła się z ziemi, pomagając także wstać Jonathanowi. Marcus zauważył, że chwieje się na nogach. Najwyraźniej osiągnęła kres wytrzymałości. Na jej twarzy, białej jak alabaster, malował się wyraz cierpienia, ale piękne fiołkowe oczy płonęły nieziemskim blaskiem. Patrząc Marcusowi w twarz, ruszyła w jego stronę. Na jej drżących wargach ukazał się promienny uśmiech, a wspaniałe włosy opadły na ramiona.

- Marcus! Marcus! - krzyczała.

Wstąpiła w nią niezwykła siła. Szła ku niemu, niezdolna uwierzyć, że zdążył na czas, że uratował ją i Jonathana przed okropnym losem, jaki gotował im Gerald.

Jej poobcierane boleśnie dłonie krwawiły. Wyciągnęła ku niemu ręce i wpadła w jego rozpostarte ramiona. Marcus objął ją i przytulił, a jej natychmiast zrobiło się ciepło. Poczuli się

bezpieczna. Poczula, że tworzy jedność z tym człowiekiem, którego kochała ponad wszystko. Zdawało się jej, jakby wreszcie wróciła do domu po pełnej trudów i niebezpieczeństw podróży. Przez dłuższą chwilę trwali w bezruchu przytuleni. Milczeli. Odczuwali zbyt wielką ulgę i zbyt byli wzruszeni, żeby cokolwiek mówić.

- Eve, moja najdroższa - odezwał się w końcu Marcus. - Już wszystko dobrze. Naprawdę wszystko. Jesteś bezpieczna - wyszeptał. - Ale co ja przeżyłem, szukając ciebie! Ten szaleniec Somerville to przebiegły łotr. Zaplanował to bardzo dokładnie.

- Tak, tak Marcusie - wymruczała w jego szyję. - Jestem bezpieczna, wolna. Och, Marcusie, nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty. Bogu niech będą dzięki, że zdążyłeś na czas.

- Kiedy sobie uświadamiam, co przeżyłaś zamknięta w tej strasznej szopie, kiedy myślę, co ten łotr mógł ci zrobić, to mam ochotę go zabić.

- Cii... - Eve uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. - Nic mi się nie stało, Marcusie. Naprawdę. W tym sensie, który masz na myśli, on mnie nawet nie tknął palcem. Zanoszę za to dzięki do Boga.

- Wyglądasz na skrajnie wyczerpaną. Czy któreś z was jest ranne? - Odsunął ją od siebie na długość ramienia i przyjrzał się jej uważnie, a potem Jonathanowi.

Z wielką ulgą dostrzegł, że Jonathan wygląda zaskakująco dobrze, zaniepokoił się jednak, kiedy na twarzy Eve zauważył strużkę zaschniętej krwi. Tłumiąc wielki gniew na Geralda, który obudził się w nim na ten widok, wyciągnął rękę i dotknął skaleczenia, a ona skrzywiła się lekko.

- Jak to się stało?

- Kiedy zaatakowali mnie zniemacka ludzie wynajęci przez Geralda, upadłam i uderzyłam się w głowę. Lecz nie martw się, Marcusie. Jestem wyczerpana, ale nie stała mi się żadna krzywda. Gdy wymówiła te słowa, nadjechali inni poszukujący ich ludzie, których, podobnie jak Marcusa, zaalarmował krzyk Eve. Zajęli się natychmiast Jonathanem i Eve.

- Zabierzcie ich do domu - polecił. - I to szybko. A ja będę ścigał Geralda. Muszę ruszać natychmiast, bo niedługo się ściemni.

Eve spojrzała na niego z niepokojem. Tymczasem jeden z mężczyzn podniósł Jonathana i posadził go przed sobą na siodle. Jonathan uśmiechał się teraz, bo cała ta historia wydawała mu się wspaniałą przygodą, o której chciał jak najprędzej opowiedzieć siostrze.

- Bądź ostrożny, Marcusie - poprosiła Eve błagalnym tonem, gdy dosiadł konia. - Nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało.

Pochylił się w siodle i ucałował jej usta.

- Będę ostrożny. A Gerald poniesie surową karę. Nie ucieknie mi.

Eve odprowadziła go wzrokiem, a potem, wiedzioną odruchem, spojrzała w niebo. Zobaczyła, że wzeszły wszystkie gwiazdy, że świecą jasno i że po burzy, która szalała w dzień, nie pozostało nawet śladu.

Rozdział szesnasty

Marcus ruszył w pogoń, nie tracąc już ani chwili, i wkrótce zobaczył przed sobą Geralda. Spiął więc konia, by jak najszybciej dogonić łotra.

Posuwali się w kierunku Atwood. Wyłoniwszy się z mroku panującego wśród drzew, Gerald doznał ogromnej ulgi i, galopując ostro, zaczął zmierzać ku rzece. Wkrótce jednak znalazł się na terenie podmokłym, nierównym, a w miarę jak zbliżał się do kopalni - coraz bardziej zdradliwym.

Wiedział, że Marcus go ściga i że jest coraz bliżej, smagał więc swego konia pejcem. Przerażone zwierzę, ponaglone okrutnie zadawanym bólem, pędziło na oślep, zbliżając się coraz bardziej do popękanej krawędzi odkrywkowej kopalni, na której dnie, wskutek niedawnego deszczu, utworzyło się brudne bajoro. Z bajora tego sterczały kawały skał i ogromne głazy. Popękana krawędź wielkiego dołu porastały gęsto głogi i jeżyny. Przykrywały one częściowo wąską ścieżkę, śliską po niedawnym deszczu, przez co groziło obsunięcie się w głąb przepaści. Marcus zauważył, że Gerald zbliża się pędem do tej krawędzi. Zawołał więc na niego, chcąc go ostrzec, jednak Gerald zignorował jego wołanie. Dopiero w ostatniej chwili, gdy ziemia zaczęła się obsuwać, próbował zawrócić konia, ale było już za późno.

Koń z przeraźliwym rżeniem stanął dęba; a potem, straciwszy grunt pod nogami i wisząc nad krawędzią, zaczął dziko wierzgać kopytami. Przerażony Gerald starał się odzyskać nad nim panowanie, lecz sprawa była już przesądzona. Marcus, zatrzymawszy wierzchowca, patrzył bezradnie, jak koń i jeździec koziołkują w powietrzu, jak wiszą przez chwilę nad czeluścią niby ogromny ptak, a potem, już rozdzieleni, odbijają się od ścian wyrobiska i spadają na dno. I jak leżą tam całkiem nieruchomo.

Do Marcusa dołączyli pozostali członkowie grupy poszukiwawczej. Widząc, co się stało, zsiadli z koni i wraz z Marcusem zaczęli schodzić zarośniętą drogą, po której niegdyś poruszały się wagoniki wywożące na powierzchnię kopalniany urobek. Gerald leżał na wznak w groteskowej pozycji, z rozrzuconymi rękami i nogami. Jego brązowe oczy były szeroko otwarte, a z ust sączyła się wąska strużka krwi. Marcus nie musiał przykładać mu głowy do piersi, żeby się przekonać, że jest martwy.

Kiedy Eve i Jonathan wrócili cali i zdrowi, wszyscy domownicy odetchnęli z ulgą. Pani Parkinson chwyciła chłopca w ramiona. Tuląc go i całując, postanowiła nie spuszczać go więcej z oczu. W następnej jednak chwili skarciła go srodze za to, że wyszedł sam z domu i spowodował tak wielkie kłopoty. A potem znowu go uściskała.

Zdjęła z niego ubranie i wykąpała w gorącej wodzie z gorczycą, a następnie zapakowała do łóżka i kazała zjeść talerz gorącej zupy. Jonathan był zdrowym i krępkim dzieckiem, nie odczuł więc skutków okropnej eskapady. Nawet się nie przeziębził. Potem długo opowiadał wszystkim o swojej i Eve ucieczce, traktując ją jako fascynującą przygodę, w której szczęśliwie mógł brać udział.

Natomiast w pamięci Eve historia uprowadzenia i uwięzienia w szopie na terenie starej kopalni Kettlewell zapisała się jako przerażający koszmar. Było już późno, ale nie chciała iść spać. Pragnęła najpierw zobaczyć się z Marcusem. Czuła się tak, jakby uszła z niej cała energia i opuściły ją wszystkie siły.

Kiedy do dworu państwa Parkinsonów dotarły wieści o tym, że Gerald zginął na dnie wyrobiska, Eve doznała szoku. Podobnie jak ona wstrząśnięty był Matthew, który, mimo że była już noc, natychmiast wyruszył na miejsce wypadku, by zająć się szczątkami nieszczęsnego brata. Gdy ciało Geralda zostało wydobyte na powierzchnię, Marcus bezzwłocznie ruszył do dworu, by zobaczyć się z Eve. W dworze panował teraz spokój, wszyscy udali się na spoczynek. Czuwała tylko Eve, która zeszła na dół.

Gdy szła ku Marcusowi z otwartymi ramionami, ogarnął go wielki gniew, zauważył bowiem, w jaki sposób to, co przeżyła za sprawą Geralda, odbiło się na jej wyglądzie. Żal było na nią patrzeć. Fiołkowe oczy były ogromne i podkrążone, a twarz bardzo blada.

Marcus także wyciągnął do niej ramiona, a ona dała się w nich zamknąć jak dziecko szukające opieki. Zanim jednak złożyła głowę na jego piersi, zobaczył, że broda zaczyna jej drzeć, a oczy napętniają się łzami.

- Och, Marcusie - zaszlochała, nie panując już dłużej nad emocjami.

Tulił ją długo, kołysał i całował włosy, szepcząc słodkie, czułe słowa pocieszenia. Pełen bezbrzeżnej miłości, czekał cierpliwie, aż wypłacze do końca wszystkie łzy.

A ona, wtulona w jego ramiona, wylała cały swój ból, całe swoje cierpienie. Wszystko, co przytrafiło jej się tego dnia, wypłynęło na powierzchnię, przybierając formę potoku słów i łez. Marcus słuchał w milczeniu. Wiedział, że to przyniesie jej ulgę, że oczyści ją z całego zła i pomoże wrócić do równowagi.

Kiedy Eve się już uspokoiła, gdy znalazła ukojenie w jego ramionach i poczuła się w nich całkiem bezpieczna, westchnęła głęboko, ocierając dłońmi łzy płynące po policzkach. On zaś szepnął cicho:

- Moje biedactwo, co on ci zrobił?

- Nic, czego nie można uleczyć.

- A jak się ma Jonathan?

- Nadzwyczaj dobrze zniósł to wszystko... wygląda na to, że lepiej ode mnie. - Uśmiechnęła się do Marcusa przez łzy.

- Bogu niech będą dzięki.

- Już wiem, co stało się z Geraldem. Gdzie on jest? Gdzie go zawieziono?

- Do Burntwood Hall. To był jego dom - odrzekł łagodnie Marcus. - Jest przy nim Matthew.

- Wiem. On... to znaczy Matthew bardzo dobrze sobie z tym radzi. Czy Gerald cierpiał, Marcusie?

- Nie, zginął natychmiast. Spadając, skręcił kark. Eve podniosła na Marcusa oczy pełne łez.

- Gerald próbował mnie zniszczyć, Marcusie. Gdybym nie wydostała się z tej szopy, z całą pewnością by tam wrócił i pozbawił mnie życia. I nie tylko mnie. Także Jonathana, który był przypadkowym świadkiem mojego porwania.

Marcus objął ją ciaśniej ramionami.

- Gdyby to uczynił, to sam nie uszedłby z życiem. Odnalazłbym go wszędzie, nie umknąłby przed moją zemstą. - Jego głos drżał z gniewu. - Chodź, Eve. - Wziął ją za rękę i zaprowadził do pustego salonu, gdzie usiedli przytuleni na kanapie przed kominkiem, na którym przygasał już ogień. - Jak się teraz czujesz?

- Jestem oszołomiona nadmiarem przeżyć. Czuję ulgę, zadowolenie, a równocześnie jestem przerażona i zaskoczona. Bo pomyśl tylko: człowiek, który chciał odebrać mi życie, sam nie żyje. Och, Marcusie, tak strasznie się bałam!

Przytulił ją mocniej.

- Ja także. Kiedy Matthew powiedział mi, że zniknęłaś... nie masz pojęcia, jak się wtedy zadreżczałem. - Pocałował ją w czubek głowy. - A kiedy sobie wyobrażałem, co on ci może zrobić... że może już cię zabił... to było po prostu piekło. Mój Boże, jak bardzo żałuję, że pojechałem do Leeds, że nie skłoniłem cię, żebyś zamieszkała w Brooklands. Gdybyś tam była, nie stałyby się te wszystkie straszne rzeczy. Nie mogę sobie darować, że nie przewidziałem, co ten łotr zrobi.

- Nie obwiniaj się, Marcusie. Nie było w tym twojej winy. Żadne z nas nie mogło przecież przewidzieć, do czego posunie się Gerald.

- Eve, kochanie, jesteś bardzo wielkoduszna, ale dla mnie nie ma tak łatwego usprawiedliwienia. Podniosła na niego wzrok i dostrzegła na jego twarzy wyraz wielkiego cierpienia.

- Och, jest. Trzeba samemu być złoczyńcą, żeby przewidzieć jego zamiary. - Uśmiechnęła się lekko. - Czy wiesz, że kiedy Gerald przyjechał do szopy, próbowałam go oszukać?

Powiedziałam, że uzyskaliśmy specjalne zezwolenie i pobraliśmy się w Cumbrii, dlatego cokolwiek by zrobił, i tak nie dostanie kopalni.

- Hm, bardzo sprytne - stwierdził z podziwem Marcus. - A on ci uwierzył?

- Z początku był podejrzliwy, jednak starałam się mówić jak najbardziej przekonująco, aż wreszcie uwierzył. Wtedy wpadł w furję. Po prostu szalał. Błagałam, żeby nas wypuścił, ale nie chciał mnie słuchać. Odjechał, zostawiając nas w zamknięciu, a ja nie miałam pojęcia, jakie będzie jego następne pociągnięcie. A tak przy okazji, skąd wiedziałaś, gdzie nas szukać? Nadjechałaś od strony kopalni Ketdewell. Ktoś musiał ci powiedzieć, że właśnie tam jesteśmy. Marcus uśmiechnął się do niej czule.

- Zdziwisz się, ale za to musisz podziękować Angeli. To ona mi powiedziała, gdzie was szukać. Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

- Angela? - powiedziała wreszcie. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że także ona miała coś wspólnego z moim uprowadzeniem?

- Nic o nim nie wiedziała aż do chwili, gdy zjawilem się w Burntwood Hall i stanąłem oko w oko z Geraldem. Była tam wtedy i naprawdę przeraziła się na myśl, że Gerald może mieć coś wspólnego z twoim zniknięciem. Wygląda na to, że po moim wyjściu powiedział jej, gdzie jesteście. Zapewne nie dobrowolnie, zapewne wymusiła na nim tę informację. W jaki sposób, nie wiem i wcale nie chcę wiedzieć. Ale jestem jej za to wdzięczny. Angela zazdrości ci wielu rzeczy, kochanie, nie sądzę jednak, by była zdolna do fizycznej przemocy, nie mówiąc już o morderstwie. Aż tak mściwa i zdeprawowana nie jest.

- Cieszę się, że tak myślisz. Mimo to, gdy o niej myślę, przebiegają mnie ciarki. Gerald działający w pojedynkę był straszny, ale połączone siły jego i Angeli stanowiłyby zabójczą mieszankę. Wyobrażam sobie, jak bardzo Gerald chciał, żebyś potwierdził lub zaprzeczył to, co mu powiedziałam o naszym ślubie w Cumbrii.

- Nie mógł mnie o to zapytać wprost, bo przyznałby się tym samym, że ma coś wspólnego z twoim uprowadzeniem, a wtedy bez skrupułów pozbawiłbym go życia. - Jego stężale rysy i stalowy błysk w oczach świadczyły o tym, że mówi prawdę.

- Zrobiłbyś to dla mnie?

- Dla ciebie, Eve, zrobiłbym wszystko. - Przyciągnął ją do siebie. - Nigdy w to nie wątp. Kocham cię i nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Uwielbiam cię, a wkrótce będzie o tym wiedział cały świat.

- Jest jedna rzecz, która mnie bardzo niepokoi, Marcusie.

- Jaka?

- Ci ludzie, którym Gerald był winien pieniądze. Czy mogą ich zażądać od jego brata?

- Zażądać oczywiście mogą, ale nic nie wskórają, bo pożyczili pieniądze Geraldowi, nie Matthew. Ci ludzie to łotry najgorszego autoramentu, więc łatwo odbiją to sobie na tych nieszczęśnikach, którzy wpadną w ich łapy. Odsetki od takich pożyczek są ogromne. Och, ale prawie bym zapomniał. .. Kupiłem ci coś w Leeds.

Wyjął z kieszeni pierścionek i włożył go na jej palec. Eve olśniła uroda klejnotu. Marcus patrzył na nią czule, a ona była pewna, że ją kocha i że ta miłość z czasem jeszcze wzrośnie i stanie się czymś najważniejszym w ich życiu. Widziała to w jego oczach i czuła się bezgranicznie szczęśliwa.

Na drugi dzień rano, kiedy Marcus osobiście zajął się zabezpieczaniem wyrobiska w kopalni Kettlewell, Eve odwiedził Matthew.

Był bardzo przygnębiony śmiercią brata, ponadto wiedział, że ta śmierć spowoduje drastyczne zmiany w jego życiu. Na myśl o nich popadł w panikę. Robił teraz wrażenie człowieka znacznie starszego niż w rzeczywistości.

- Wiesz, co to oznacza, prawda Matthew? - zapytała go Eve podczas spaceru po ogrodzie. - Po śmierci Geralda to ty stajesz się spadkobiercą majątku ziemskiego Somerville'ow.

- Tak, wiem, ale dzieje się to w takich okolicznościach... Nie wiem, czy powinienem przejąć Burntwood Hall.

- Ależ Matthew, obejmując kontrolę nad majątkiem, będziesz właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Jesteś naprawdę wart tego, by zająć miejsce mojego ojca, a ja cieszę się, że majątek znajdzie się w dobrych rękach.

- Dziękuję ci, Eve. Zrobię wszystko, by zawsze zasługiwać na taką opinię. Obiecuję ci to. Wiedz jednak, że nigdy tego nie chciałem. Nigdy nie myślałem, że w ogóle odziedziczę ten majątek. W moim pojęciu prawo do tego miał tylko Gerald, a po nim jego synowie.

- Nikt z nas nie mógł przewidzieć, co się stanie.

- To prawda. Eve, wiedziałem, jaki jest Gerald. Wiedziałem, że nigdy nie zmieni swoich okropnych obyczajów, nie ustępuje się, nie zainteresuje majątkiem. Jednak powiem ci, że pomimo tego, co zrobił tobie, pomimo tego niewybaczalnego postępu, który mną głęboko wstrząsnął, wobec mnie był zawsze w porządku. Jestem od niego dużo młodszy, a on zawsze, zwłaszcza po śmierci rodziców, bardzo o mnie dbał. I były okresy, kiedy byliśmy sobie naprawdę bliscy.

Eve nie przerywała. Słuchała spokojnie, jak Matthew broni człowieka, który bez żadnych skrupułów zamierzał pozbawić ją życia w celu uzyskania Kopalni Atwoodzkiej. Wiedziała, z jakim trudem Matthew, który wyrósł przecież w cieniu Geralda, to wszystko przyjmuje. Żałowała go i szczerze mu współczuła. Powstrzymała się od komentarza, że okazując wielkoduszność człowiekowi, który był zdolny do morderstwa, zachowuje się jak głupiec. Nie dała upustu własnej goryczy, choć na wspomnienie Geralda z ogromną siłą obudziły się w niej na nowo wszystkie złe uczucia.

Nie potrafiła jednak być okrutna. Niech Matthew zachowa swoje złudzenia, pomyślała.

- On tak naprawdę nie był zły - mówił dalej, próbując przekonać Eve, że jego brat był człowiekiem, jakiego ona nigdy nie poznała i wcale nie chciała poznać. - W dzieciństwie i w młodości nasza matka i babka wprost go uwielbiały. Rozpieszczały go, psuły, powodując, że stał się człowiekiem bez zasad. Gerald zawsze miał wszystkiego w nadmiarze, uważał też, że cały świat powinien mu się kłaniać. Był też stanowczo zbyt przystojny, znacznie przystojniejszy ode mnie - stwierdził z godną podziwu pokorą.

- Matthew, jesteś wobec swojego brata bardzo wielkoduszny. Bardziej niż on sobie na to zasłużył - powiedziała wreszcie łagodnie. - Twoja lojalność jest godna pochwały, ale nie powinieneś zbyt nisko cenić siebie. Co do mnie, to nie jestem w stanie dobrze myśleć o Geraldzie, rozumiem jednak twoje uczucia, bo był twoim bratem. Ale powiem ci, że nie zasługiwał na takiego brata jak ty. Gdyby choć w połowie przypominał cię, mój ojciec i ja z zadowoleniem przyjęlibyśmy fakt, że majątek przechodzi w jego ręce. Jednak przy jego charakterze było to niemożliwe.

- Wiem, Eve, wiem. I rozumiem cię doskonale. Ale - dodał Matthew z ciężkim westchnieniem - jestem tylko prostym człowiekiem, a moje życie nagle okropnie się skomplikowało.

- Sądzę, że doskonale sobie poradzisz - uśmiechnęła się Eve, biorąc go pod rękę i kontynuując wspólny spacer po ogrodzie. - Mój ojciec byłby szczęśliwy, gdyby wiedział, że to ty wprowadzasz się do Burntwood Hall... zwłaszcza jeżeli Emma będzie dzieliła z tobą życie.

- Emma?! - zawołała Matthew, patrząc na nią ze zdumieniem. - Ależ... ja... ja nie myślałem...

- Ożenisz się z nią, prawda?

- Ależ... tak - powiedział, nagle onieśmielony, uśmiechając się z zażenowaniem. - Sądzę, że tak... jeżeli oczywiście ona mnie zechce. Nie pytałem jej o to.

- A zatem powinienes to zrobić w odpowiedniej chwili -zakpiła z lekka Eve. - Jesteś dobrym człowiekiem. Nikt, kto cię poznał, nie może cię nie kochać. Jakkolwiek ci się życie ułoży, nikt nigdy nie będzie wątpił, że wart jesteś tego, by pójść w ślady mojego ojca.

Gdy Eve wróciła do Burntwood Hall, służba powitała ją serdecznie, ale ze łzami w oczach.

Wszyscy wiedzieli bowiem, że jej powrót jest tylko chwilowy. Zdawali sobie sprawę, że wkrótce, po ślubie z panem Fitzalanem, Eve opuści ten dom. Natomiast z wielkim zadowoleniem powitali wieść, że to Matthew Somerville odziedziczył majątek i że to on wkrótce się tutaj sprowadzi.

Eve poleciła całej służbie zebrać się w holu. Wygłosiła krótką mowę, zapewniając, że Matthew będzie chciał, żeby wszyscy tu zostali, że na nich liczy, ona zaś nie wątpi, że będą mu wiernie służyli.

Pogrzeb Geralda był tak cichy jak ślub Eve i Marcusa, który odbył się tydzień później. Eve, po zdjęciu żałoby, wyglądała prześlicznie. Smukła jak trzcina szła obok Marcusa Fitzalana w kremowej jedwabnej sukni. A Marcus - przystojny, wysoki i silny - wyglądał bardzo elegancko w czarnym ubraniu z białą atłasową kamizelką i z ciemnymi włosami zaczesanymi gładko do tyłu.

Na ślubie było jedynie kilkoro bliskich przyjaciół, a po ceremonii w Burntwood Hall odbyło się uroczyste śniadanie. Atmosfera panowała beztraska. Eve od czasu do czasu zauważała spojrzenie męża, który zerkał na nią ponad kieliszkiem szampana, nie mogąc się doczekać nocy.

- Małżeństwo ci najwyraźniej służy - powiedział jej, gdy na krótki moment znaleźli się sam na sam. - Nigdy nie widziałem cię piękniejszej niż w tej chwili.

- Tak chyba wyglądają wszystkie panny młode.

- Ja zauważam tylko jedną. Emma była prawie tak samo promienna jak panna młoda, i w pewnej chwili szepnęła Eve, że wiosną przyszłego roku odbędzie się kolejny ślub, bo Matthew poprosił ją o rękę. Uradowana Eve uściskała przyjaciółkę.

- Tak bardzo się cieszę, Em. Wszystko potoczyło się tak dobrze.

- Nie myślałam o czymś podobnym w najśmielszych marzeniach. Czy możesz sobie wyobrazić? Będę nosiła tytuł lady Somerville! Och, Eve... nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

- Na pewno się przyzwyczaisz - roześmiała się Eve. - Ten tytuł nie mógł się dostać miłszej osobie. Mam w tym też swój prywatny interes, bo będę mogła przyjeżdżać do Burntwood Hall, kiedy tylko zechcę.

Emma spoważniała.

- Obie miałyśmy wielkie szczęście, Eve. Jednak Matthew niepokoi się tym spadkiem, bo wiąże się z nim ogromna odpowiedzialność.

- Ależ nie ma żadnych powodów do niepokoju. Przecież Matthew będzie miał u swego boku ciebie, poza tym sam jest człowiekiem uczciwym i nosi głowę nie od parady. Inaczej niż jego nieszczęsny starszy brat...

Eve bez żalu opuszczała Burntwood Hall i udawała się z Marcusem i jego matką do swego nowego domu.

Ruth Fitzalan, która ogromnie przeżyła to, co się przydarzyło Eve z winy Geralda, była uszczęśliwiona, że wszystko się dobrze skończyło. Doznała też ogromnej ulgi, dowiedziawszy

się, że Marcus i Eve tak zgodnie działają w sprawie Kopalni Atwoodzkiej, przekazując ją w ręce powierników do czasu, aż dorośnie nowe pokolenie Fitzalanów.

Nie chcąc im zawadzać w Brooklands, Ruth postanowiła na drugi dzień pojechać do Londynu i zamieszkać ze swoim synem Williamem, jego żoną Daisy i dwójkiem ich dzieci.

- Proszę nie sądzić, że musi mama opuścić Brooklands - powiedziała Eve, która знаła zamiary swej teściowej.

- Wcale tak nie sędzę, kochanie - uśmiechnęła się Ruth Fitzalan. - Ale to bardzo ważne, żebyście z Marcusem zostali sami. Powinniście dobrze się poznać, a jeśli chodzi o ciebie, to chcę, żebyś całkiem swobodnie zadomowiła się w Brooklands. Miałam nadzieję, że pojedę do Londynu z Angela, dowiedziałam się jednak, że wyjechała w zeszłym tygodniu.

Marcus i Eve, słysząc to, wymienili ukradkiem znaczące spojrzenia, postanowili bowiem nie mówić Ruth o dawnych intrygach i nikczemnym postępowaniu Angeli wobec Eve. Nie służyłoby to przecież niczemu i zatruło jej przyjaźń z rodzicami tej młodej kobiety. Poza tym mieli wobec Angeli dług wdzięczności, bo gdyby nie powiedziała Marcusowi, gdzie Gerald więzi Eve i Jonathana, wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

- Teraz, gdy się już pobraliście, mam zamiar spędzać więcej czasu w Londynie - mówiła dalej Ruth. - Będę tam odwiedzała przyjaciół, znajdę też sobie mnóstwo innych zajęć. No i tak bardzo się cieszę, że znowu zobaczę Williama i Daisy, a także ich dzieci. Możliwe też, że Michael złoży im wizytę. Jego statek ma wkrótce zawinąć do Plymouth, więc być może wpadnie do Londynu. Ruth popatrzyła serdecznie na synową, która siedziała blisko Marcusa. Wiedziała doskonale, że gdyby nie było jej teraz w pokoju, ci dwoje obejmowałiby się. Nigdy dotąd nie spotkała ludzi tak bardzo się kochających jak jej syn Marcus i Eve. Na myśl o tym serce się radowało.

- Mam nadzieję, Eve, że spodoba ci się życie w Brooklands. Bardzo się bałam, kiedy przybyłam tu po swoim ślubie. Pamiętam to doskonale. Wkrótce jednak zadomowiłam się i pokochałam to miejsce ogromnie.

- Jestem pewna, mamo, że ja także je pokocham - uśmiechnęła się Eve.

- Pokocha je tym bardziej, że ja tutaj jestem - zażartował Marcus i uniósł z lekka brwi, gdy Eve spojrzała na niego z udawaną irytacją.

- Widzę, Marcusie, że po ślubie twoja zarozumiałość nie zmalała ani na jotę - zganiła go równie żartobliwie.

- Więc moja uwaga nie zrobiła na tobie wrażenia?

- Żadnego. Jesteś okropnym zarozumialcem.

- Cóż, nie zaprzeczam, ale jak widać, zupełnie ci to nie przeszkadza, bo inaczej nie ulegałbyś tak szybko mojemu nieodpartemu czarowi. - Uśmiechnął się do niej uśmiechem, na którego widok zmiękłoby serce każdej kobiety.

Eve odwzajemniła mu się równie uroczo.

- Zaczynam teraz rozumieć, że zadając się z tobą, byłam kompletną idiotką, bo zachowujesz się w sposób wprost oburzający.

- Masz rację, kochanie, absolutnie oburzający. - Marcus uśmiechnął się szeroko.

- On zawsze się tak zachowywał - skomentowała jego matka, czekając z niecierpliwością na powóz, który miał ją zabrać do Londynu. Chciała bowiem jak najszybciej wyjechać i jak najszybciej zostawić ich samych.

W tę noc, kiedy się tak naprawdę poznali, żadne nie miało powodu do skarg. Marcus, zgodnie z oczekiwaniami Eve, okazał się silnym, pełnym energii kochankiem, potrafił jednak także okazać ogromną czułość. Dziwili się oboje, że kiedyś powstała w ich głowach myśl o formalnym tylko małżeństwie. Pragnęli się z tak ogromną siłą, że żadne z nich nie potrafiło się jej oprzeć.

Gdy znaleźli się wreszcie w sypialni, Marcus natychmiast wziął Eve w ramiona.

- Czy powiedziałem ci już, że jesteś przepiękną panną młodą? - Chwycił zębami płatek jej ucha, a potem ugryzł go leciutko i odnalazł jej usta.

A ona, czując jego gorący oddech i łomotanie jego serca, stała się absolutnie pewna jego miłości.

- Och, co najmniej pięć razy.

- To powiem ci jeszcze, że w tej swojej kremowej sukni wyglądasz uroczo. Najbardziej jednak pragnę zobaczyć, co masz pod nią, ponieważ podejrzewam, że kryje ona ciało zdolne obudzić namiętność każdego mężczyzny.

Zarumieniona Eve się roześmiała.

- Marcusie Fitzalanie, oświadczam ci, że jesteś niepoprawny. Mimo to obiecuję, że wkrótce zobaczysz to, co tak pragniesz ujrzeć. - Ku swemu zaskoczeniu poczuła, że on już

.. rozpiną jej guziki. - Marcusie! Dżentelmen nie powinien zachowywać się w ten sposób.

Zwykle rozbiera mnie pokojówka, to jej zadanie.

- Odprawiłem ją dzisiaj. Zapewniam cię też, że kiedy wymaga tego sytuacja, potrafię ją doskonale zastąpić.

- Wierzę, że tak jest, jednak byłabym ci wdzięczna, gdybyś powstrzymał się od raczenia mnie szczegółami swoich dawnych podbojów. Zachowaj je łaskawie dla siebie... - Wstrzymała oddech, bo właśnie zaczął ściągać z niej suknię.

Eve została tylko w białej, miękkiej koszuli, która wkrótce także została zdjęta. Podobnie jak reszta garderoby.

Stała teraz, wysoka i szczupła, gibka i pełna wdzięku, i patrzyła na niego spokojnie. On zaś, oglądając ją od stóp do głów, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Jego spojrzenie napotkało jej spojrzenie. Patrzyli na siebie przez chwilę tak długą jak wieczność.

- Eve, wprost brak mi słów! - odezwał się wreszcie Marcus. - Wyglądasz niewiarygodnie. Jesteś cudowna. Zjawiskowa.

Drżała na całym ciele, patrząc w jego niebieskie jasne oczy. Rozchyliła wilgotne wargi. Czekwała na pocałunek, lecz ten nie nadchodził. Marcus przeciągnął koniuszkami palców po jej wargach. Zwlekał, badał jej nastrój.

- Zamierzam się z tobą kochać długo, bardzo długo, dopóki nie zaczniesz błagać o litość.

Uśmiechnął się, widząc blask w jej cudownych fiołkowych oczach. Te oczy mówiły mu, że Eve przyjmie to z wielką ochotą.

A potem zaczął robić to, do czego jego palce rwały się przez cały wieczór. Powoli, metodycznie rozplótł jej włosy i rozpuścił niby miękką, błyszczącą chmurę opadającą na ramiona. Aż wreszcie wziął Eve na ręce i zaniósł do łóżka.

Położył ją ostrożnie i pochylił się nad nią. Jego ciepłe, wilgotne usta zaczęły pokrywać pocałunkami każdy fragment jej ciała. Dotykał jej. Przeciągał ustami wzdłuż bioder, ud i czuł, że Eve poddaje mu się bez reszty. Jej pełne namiętności oczekiwanie do białości rozpaliło mu zmysły. Wreszcie przyłgnęła do niego, a on przykrył jej ciało swoim. Oddała mu się z taką wielkoduszością, że napełniło go to zdumieniem i radością. Zespolenie ich ciał okazało się czymś tak naturalnym, jak przyjście dnia po długiej nocy.

Później Marcus ogarnął Eve ramionami i zapytał:

- Szczęśliwa?

- Bezgranicznie.

- Wyglądasz cudownie. Oczy ci błyszczą, policzki masz zaróżowione. Jesteś taka promienna.

Chcę się z tobą kochać ponownie. - Gdy tylko to powiedział, poczuła powracającą falę pożądania. - Jesteś przepiękna, Eve. Byłaś taka już trzy lata temu; byłaś wtedy najbardziej

zniewalającą młodą damą, jaką w życiu spotkałem. Delikatną, niewinną, całkiem nieświadomą tego, jak na mnie działasz.

- A teraz? Jaka jestem teraz?

- Teraz jesteś jeszcze piękniejsza.

- Sądzę, panie Fitzalan, że pan mi schlebia, a czyni pan to po to, by mnie skusić.